

M.L. LONGWORTH

KLATWA



FONTANNY

Głos Longworth jest jak wykwinny rocznik
musującej Dorothy Sayers i dojrzałej Donny Leon.

— *Booklist*

M. L. Longworth

Verlaque i Bonnet
na tropie

Tom 6

Klątwa fontanny

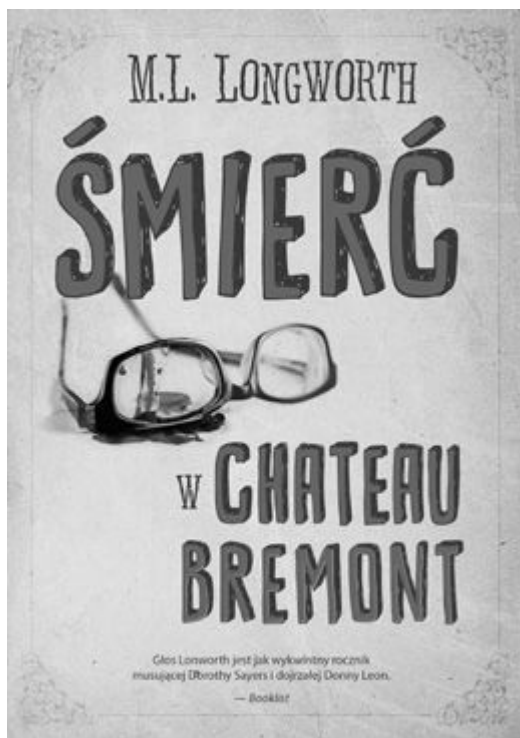
Przekład:

Małgorzata Trzebiatowska

smak  słowa

Sopot 2021

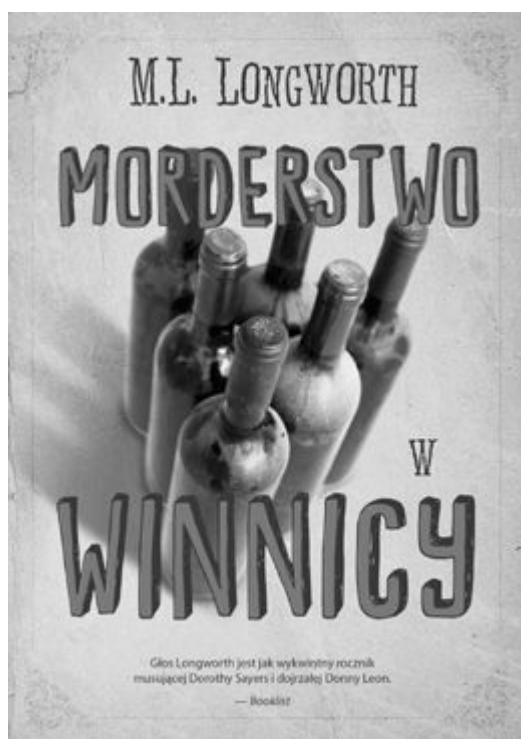
W SERII UKAZAŁY SIĘ



Śmierć w Chateau Bremont



Morderstwo przy Rue Dumas



Morderstwo w winnicy



Morderstwo na Île Sordou



Tajemnica odnalezionego płótna Cézanne'a

Tytuł oryginału: *The Curse of la Fontaine*

Copyright © Mary Lou Longworth, 2017.

Published by arrangement with Macadamia Literary Agency and Curtis Brown, Ltd.

All rights reserved. The moral rights of the author have been asserted.

Copyright © 2021 for the Polish edition by Smak Słowa

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Trzebiatowska

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

Edytor: Anna Świtajska

Redakcja i korekta: Anna Mackiewicz

Skład: Piotr Geisler

Projekt okładki: Agnieszka Karmolińska

Foto na okładce: © istockphoto.com / minemero

Druk: Drukarnia Abedik

Konwersja do EPUB/MOBI:

<http://www.gigaproject.pl/epuby>

ISBN: 978-83-66420-41-0

Smak Słowa

ul. Monte Cassino 6A

81-805 Sopot

tel. 507-030-045

Zapraszamy do księgarni internetowej wydawnictwa



www.smakslowa.pl





Dla Laurence i Jacques'a

Od autorki

W Aix-en-Provence jest wiele fontann i restauracji, ale te, które odgrywają główną rolę w niniejszej powieści, są wytworem wyobraźni autorki.

Prolog. Dei Corallini

Antoine'owi tak bardzo podobało się dei Corallini, że nieomal żałował, iż zaplanowali takie skromne wesele. Barokowe arcydzieło zostało wzniesione w XVII wieku za pieniądze zarobione na połowach koralowców w Morzu Śródziemnym. Miejscowi rybacy, wdzięczni za swój dobrobyt, ufundowali budowę kościoła. Pełni wdzięczności i dumy byli także rzemieślnicy, którzy przy nim pracowali i rzeźbili każdy kawałek kamienia. Jednak budowla, która powstała, nie była przesadzona ani kiczowata. Kamienie miały delikatny kolor kości słoniowej, elegancją dorównywały im pozostałe gładkie części fasady, pomalowane na jasne odcienie żółci, różu i zieleni.

Wyobrażał sobie, że rodzice Marine woleliby wystawny ślub w swoim kościele parafialnym, Saint Jean de Malte, ale czuł się za stary na taką tradycyjną uroczystość. Uparł się, że będą to Włochy, bo miłość do tego kraju dzielił z Marine, a poza tym chciał uniknąć ślubu w Aix-en-Provence. Chociaż miasto, w którym mieszkał i pracował, było cudowne, to jego zdaniem nie bardzo nadawało się na taką okazję. Pragnął, by ślub z Marine odbył się w sekrecie, w małej liguryjskiej wiosce, z dala od ciekawskich spojrzeń mieszkańców Aix. Prawie tak, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście i nie chciał ryzykować, że nagle ktoś nadbiegnie główną nawą i głośno sprzeciwi się ich związkowi. Od kiedy poznał Marine – na kolacji zorganizowanej przez zaprzyjaźnionego prawnika – nigdy nie myślał o sobie jako o żonatym mężczyźnie. To inni ludzie się pobierali, inni ludzie byli szczęśliwi, ale nie on.

Lekko zakrzywiona fasada pastelowego kościoła górowała nad wybrukowanym placem. Budowla zwrócona była w kierunku morza, jakby je ochraniała. Marynarze z daleka widzieli osadzone na wzgórzu dei Corallini. Verlaque spojrzał w górę, starając się skupić uwagę na różnorodnych posągach stojących w niszach na fasadzie, a nie na tym, co wydarzy się w kościele jeszcze tego samego ranka. Poniżej, drogą łączącą nadmorskie miasta i prowadzącą do Imperii, śmigwały samochody i skutery. Ktoś z wioski zawołał: „Dario! Dario!”, gdzieś trzasnęły drzwi. Verlaque'owi przyszła do głowy myśl, że dla jakiegoś mieszkańca wioski i dla Dario była to kolejna

zwykła sobota, podczas gdy dla niego ten dzień był tak doniosły.

Uśmiechnął się i ruszył w kierunku restauracji, planując, jak posadzą gości. Wraz z Marine zaprosili jej rodziców - Anatole'a Bonneta, lekarza rodzinnego, i Florence Bonnet, emerytowaną profesor teologii - a także Sylvie, najlepszą przyjaciółkę Marine, wraz z jej jedenastoletnią córką, Charlotte, Jean-Marcą Sauvata, ich wspólnego przyjaciela, Brunona Paulika, komisarza z Aix, i jego żonę, Hélène, oraz ich córkę, Léę, również jedenastoletnią. Na liście gości znaleźli się ponadto ojciec Verlaque'a, Gabriel, i jego partnerka, Rebecca Schultz, oraz Sébastien, brat Verlaque'a. Świadkiem Marine została Sylvie, on zaś wybrał Sébastiena, chciał bowiem, żeby przyniosło to coś dobrego - tak naprawdę jego kontakt z bratem był ograniczony. Sébastien uważał paryski rynek nieruchomości za ekscytujący w takim samym stopniu, w jakim Verlaque uznawał go za nudny.

Przed obowiązkowym ślubem cywilnym w Hôtel de Ville w Aix, który odbył się dwa tygodnie wcześniej, Marine i Antoine umówili się z kierownikiem ich ulubionej kawiarni, że zorganizuje dla nich aperitif na tarasie, gdzie mogli zaprosić kolegów i przyjaciół z Aix. Podawano szampana, a mieszkańcy miasta i turyści, idąc wąską ulicą, uśmiechali się na widok przyjęcia, które, jak sądzili, było improwizowane.

Żadne z nich nie lubiło tak zwanych „wyjazdowych ślubów”, ale liguryjska wioska leżała tylko o trzy godziny jazdy od Aix, gdzie mieszkała większość gości. Przecież nie zmuszali uczestników uroczystości do podróży na karaibską wyspę. Kolega Marine opowiadał jej o weselu kuzyna w kurorcie na Barbadosie. Goście - w tym dwie starsze panie - musieli odbyć czternastogodzinny lot do miejsca, które ani dla nich, ani dla państwa młodych nie było w żaden sposób znaczące. Marine przyjeżdżała do Paradiso - jak nazywała tę miejscowość w dzieciństwie - od wielu lat. Rodzice wynajmowali małe mieszkanie w niżej położonej części wioski, blisko plaży. Marine zabrała tam Antoine'a, kiedy już wiedziała, że go kocha. Od tamtej pory zawsze zatrzymywali się w starszej, wyżej położonej części i każdego ranka pokonywali setki stopni prowadzących do morza, po czym skakali do wody z płaskich skał znajdujących się poniżej piaszczystej plaży.

Zrobiło się już ciepło, choć był dopiero kwiecień i ledwie wczesny ranek. Powietrze było przesycone wilgocią, a Verlaque miał nadzieję, że nie zrobi mu się za gorąco.

Mało brakowało, a wybrałby się dziś bez skarpetek, w swoich czarnych mokasynach Westona. Marine roześmiała się, gdy wyszedł z łazienki w ich pokoju ubrany w kobaltowy garnitur, ale z gołymi stopami.

- Czy nie uważasz, że powinieneś włożyć skarpetki? - zapytała. - To ujdzie Włochowi, ale to chyba nie twój styl.

Spojrzał w dół na swoje gołe kostki.

- Może masz rację. A ty się nie ubierasz? - zapytał, widząc, że wciąż jest w szlafroku.

- W pokoju Sylvie i Charlotte - odparła Marine. - Ty masz zjeść śniadanie na dole razem z moimi rodzicami. Chcę, by moja suknia pozostała niespodzianką.

Verlaque zatarł ręce.

- Czy ma dekolt? Gołe plecy?

Marine uśmiechnęła się, wstała i otworzyła przed nim drzwi.

- Do zobaczenia później. - Pocałowała go i dodała: - A tak przy okazji, świetnie wyglądasz. Dobrze ci w tym kolorze.

- Denerwujesz się?

- Tak. Denerwuję się, ale jednocześnie jestem szczęśliwa i spokojna, jakbym unosiła się na wodzie. A ty?

- Martwię się o makaron na lunch - odparł Verlaque. - Mam nadzieję, że użyją wystarczająco grubego. Takiego, który naprawdę przesiąknie sosem.

Marine utkwiała wzrok w przyszłym mężu i zaśmiała się z ironią.

- I pomyśleć, że za kilka godzin będę twoją żoną.

- Jesteśmy takimi szczęściarzami - powiedział, całując ją. - Zejdę na dół i zjem śniadanie z twoim cudownym ojcem i gburowatą matką, a później zajrzę do restauracji, by sprawdzić, czy mają ładne kieliszki do wina.

Patrzyła na niego, wiedząc, że mówi serio.

- Powodzenia.

- Do zobaczenia w kościele!

Zamknęła drzwi i podeszła do komody, gdzie w najniższej szufladzie schowała opakowaną w bibułę suknię ślubną. Wyjęła ją, rozłożyła na łóżku i poszła do łazienki wziąć prysznic. Sylvie obiecała zająć się jej fryzurą. Ponieważ miała przyjechać Charlotte, Marine zaprosiła też Léę, wiedząc, że zaproszenie jednej jedenastolatki, a pominięcie drugiej byłoby niesprawiedliwe, a nawet bezduszne. Z tego samego powodu zrezygnowała z angażowania dziewczynki do sypania kwiatków.

Ksiądz Piero był pogodnym pięćdziesięcioletkiem, który najwyraźniej kochał swoją pracę, a na jego okrągłej, uśmiechniętej twarzy malowało się szczęście. Znali Piera od dwóch lat, od pewnego letniego wieczoru, kiedy ich ulubiona restauracja była przepełniona i zostali skierowani do jego stolika. Doskonale mówił po francusku i był pod wrażeniem tego, jak Marine posługuje się włoskim. Wysłali mu odręczny list z prośbą, by udzielił im ślubu, jeśli to możliwe - po francusku. Na wypadek gdyby ich nie pamiętał, załączyli swoje zdjęcie. Ale nie zapomniał swoich współbiedniaków i był dumny, że czarujący *giudice* i *professoressa* poprosili go o udzielenie im sakramentu małżeństwa. Zastrzegł jedynie, by uroczystość odbyła się rano, bo sobotnie popołudnia rezerwowano z półtorarocznym wyprzedzeniem. Zgodzili się od razu, planowali bowiem kameralny ślub. Idea porannej ceremonii z następującym po niej lunchem, bez didżeja i tańców do rana, bardzo im się spodobała. Ksiądz delikatnie zasugerował, by tak niewielka uroczystość odbyła się w jednej z kaplic.

Verlaque szedł wzdłuż średniowiecznych ulic szerokich na dwa metry i wysadzanych gładkimi, okrągłymi kamieniami rzeczonymi. Środek ulicy znaczony był linią z czerwonych cegieł. Pomimo swojej miłości do Paradiso nigdy nie doświadczyli nadmiernej uprzejmości ze strony mieszkańców wioski - z wyjątkiem Piera i pracowników restauracji. A tego ranka miejscową ludność reprezentowały głównie stare kobiety. Wpatrywały się teraz w niego zmrużonymi oczyma, po czym odwracały wzrok, bez uśmiechu. Bijąca od nich niechęć sprawiła, że mimo upału ciarki przebiegły mu po plecach. Po raz pierwszy od miesięcy zaniepokoił się z powodu dzisiejszego wydarzenia. Czy chodziło o wesele, czy o ślub? Marine Bonnet była ideałem, co do tego miał absolutną pewność. A jemu dużo brakowało do doskonałości. Był arogancki i apodyktyczny - z poczuciem winy przypomniał sobie, jak nalegał, by uroczystość odbyła się tutaj, w Ligurii, a nie w Aix. Marine szybko się zgodziła, ale czy miała jakiś wybór? Wydawało się, że całe ich rodziny

i wszyscy przyjaciele cieszyli się z ich zaręczyn, ale teraz wracały do niego ich słowa: „Masz takie szczęście, Antoine”, nigdy odwrotnie. On miał szczęście, że zdobył rękę Marine, ale być może ona wyciągnęła krótszą zapalkę.

Spojrzał na *palazzo* - okrągła ceramiczna płyta dumnie obwieszczała datę powstania budowli: 1578. Z bladożółtej fasady zwieszała się jasnoróżowa bugenwilla. Verlaque'owi bardzo podobały się róż i żółć zestawione z ciemną zielenią okiennic. Ktokolwiek wybrał te kolory, miał wyczucie estetyki, a mimo to powściągliwi mieszkańcy wioski prawie się nie uśmiechali. Być może dobry smak i ogólne poczucie szczęścia nie idą w parze. Jak na komendę starsza kobieta otworzyła drzwi *palazzo* i popatrzyła na niego, po czym szybko na powrót je zamknęła, tak że nie zdążył nawet powiedzieć „*buongiorno*”. Czy te stare kobiety go przejrzały? Czy one także uważały, że Antoine Verlaque nie jest wart Marine Bonnet?

Westchnął i ruszył dalej, pochylając głowę, by przejść pod niskim kamiennym łukiem. Panował tu półmrok, więc wpatrywał się w promienie słońca na końcu ciasnego tunelu, około sześciu metrów przed nim. W miarę jak szedł, jego kroki stawały się coraz głośniejsze i odbijały się echem od ociekających wilgocią starych kamieni. Przyspieszył, myśląc o długoletnim, nieszczęśliwym i nieuczciwym związku swoich rodziców, o miłosnych podbojach, których sam dokonywał, zanim poznał Marine, o własnym snobowaniu się i arogancji. Czy właśnie to dostrzegały w nim mieszkanki wioski i dlatego odwracały się z pogardą? Pod wpływem Marine wysubtelniał i stał się lepszym człowiekiem, przyznał to nawet jego najlepszy przyjaciel, Jean-Marc. A co on dał jej w zamian? Czy jakoś ją uzupełniał? Wybiegł z tunelu na plac zalany słońcem. Zmrużył oczy, dostrzegłszy potężną postać w czerni idącą w jego kierunku.

- *Signore Verlaque!* - To był *padre* Piero. Verlaque uściśnął dłoń księdza. - Dobrze się pan ma? - zapytał duchowny po francusku z lekkim włoskim akcentem. - Zobaczył pan ducha w tunelu?

- Własnego - odparł Verlaque.

Ksiądz uśmiechnął się i ujął dłoń sędziego.

- Dzisiaj się pan żeni. To normalne, że... się pan denerwuje.

- W tunelu - rzekł Antoine, starając się złapać oddech - czułem się tak, jakby goniły mnie wszystkie moje demony.

- W dniu waszego ślubu z pewnością nie potrzebujemy tu demonów.

Verlaque uśmiechnął się.

- Co mogę zrobić?

- Cóż, drogi sędzio - powiedział *padre* Piero, obejmując Verlaque'a ramieniem i kierując go do wyjścia z placu - mamy dwie opcje. Po pierwsze, może pan iść do spowiedzi...

Antoine zatrzymał się i roześmiał.

- Nie przystępowałem do spowiedzi od...

- Bierzmowania?

- Tak, coś koło tego.

Padre Piero nic nie powiedział i szedł dalej.

- A jaka jest druga opcja? - zapytał Verlaque, obracając się do księdza.

- *Un caffè corretto*.

- Kawa i grappa? To mi się podoba.

- Tak myślałem. Chodźmy do kawiarni, usiądziemy na tarasie z widokiem na morze. Jest pan dobrym człowiekiem, Antoine. Spotkałem wiele par, które miały się tu pobrać, sam pan widzi, jak piękna jest ta wioska i tutejszy kościół. To popularne miejsce na śluby. Pary pobierają się tutaj z wielu powodów, czasem właściwych, a czasem nie. Mogę tylko służyć radą, okazać zrozumienie, a potem odprawić ceremonię i życzyć im jak najlepiej. Oczywiście denerwują się w dniu ślubu, jak pan teraz. Mężczyźni martwią się o pieniądze, żałują też, że kończą się ich szalone lata. Może jestem staroświecki, może kobiety też się o to martwią. - Roześmiał się, kiedy skręcali w wąską ulicę wiodącą do kawiarni. - Ale większość kobiet martwi się samą uroczystością. Kwiatami. Sukniami. Weselem. Jedzeniem. Gośćmi. Ale pańska *Professoressa* jest - jak mam to ująć? - zen. Jest w niej wewnętrzne szczęście. Promienieje. To pan jej to dał.

1

Księżę i jego ogród

Le Duc de Pradet – dla przyjaciół Michel Xavier – był szczęściarzem i w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Urodził się w Paryżu w 1946, więc ominęła go wojna i niemiecka okupacja. Był za młody, by na własnej skórze odczuć problemy związane ze zdobywaniem racjonowanej żywności, które trwały do lat pięćdziesiątych, poza tym wciąż chronili go rodzice. Jako nastolatek uczył się ukochanego przedmiotu – nie prawa, które zmuszeni byli studiować jego kuzyni, ale historii. Jego ojciec nie był za bardzo praktyczny... W wieku dwudziestu pięciu lat księżę ożenił się z Marguerite i chociaż była zamożna, uczynił to z miłości, nie dla prestiżu czy posiadłości ziemskich.

Oczywiście, jego życie nie zawsze było usłane różami. Okazało się, że nie mogą mieć z Marguerite dzieci. Na początku doprowadzało ich to do rozpacz, ale z upływem lat przywykli do myśli o dwuosobowej rodzinie. Zapomnieli o swej bezdzietności i oddali się podróżom. Podczas gdy inne bezdzietne pary adoptowały dzieci lub bardziej angażowały się w życie swoich siostrzeńców i bratanków, księżę i księżna zbliżyli się do siebie jako para. Nie wycofali się z życia, wciąż mieli wielu przyjaciół i mnóstwo zobowiązań towarzyskich, ale po prostu cieszyli się sobą nawzajem. Zajmowali się wieloma sprawami – dbali o dom i ogród w Aix-en-Provence, o dworek w Burgundii i mieszkanie w lewobrzeżnym Paryżu. To wypełniało ich dni. I wtedy w wieku sześćdziesięciu trzech lat Marguerite zmarła na raka piersi.

Księżę siedział właśnie na drewnianej ławce w swoim ogrodzie. W tym tygodniu padało, ale dziś świeciło wczesne kwietniowe słońce. Rośliny były teraz zieleńsze niż o każdej innej porze roku, zbledną, kiedy przyjdzie typowe dla Aix suche lato. Temperatura utrzymywała się na wystarczająco niskim poziomie, by siedzieć na zewnątrz, nawet w pełnym słońcu. Już wkrótce stanie się to niemożliwe, zniknie neonowa zieleń liści, a księżę ucieknie do Burgundii, gdzie zostanie do połowy września.

Wstał, rozprostował nogi, podniósł swój kosz, sekator i rękawiczki z delikatnej skóry. Sumiennie podlewał rośliny, szczególnie róże, a kiedy spędzał czas w Paryżu lub w Burgundii, szczerze płacił służącej, by robiła to za niego.

Jasnożółte kwiaty odmiany Lady Banks były w pełnym rozkwicie, grona małych, delikatnych jak piórka kwiatków opadały kaskadami z kamiennego muru jego miejskiego domu. Ścinał kwiaty, nucąc coś pod nosem, i wkładał je delikatnie do koszyka. Marguerite miała talent do aranżowania kwiatów, teraz zajmował się tym Manuel, służący i kucharz księcia.

Otworzyło się okno u sąsiada i dobiegł stamtąd śmiech dziecka, ktoś zakasłał. W ogrodzie, należącym do dwunastu okolicznych budynków, zawsze było gwarno. Ale najwięcej hałasu robiły ptaki, których trele tłumiły odgłosy kroków z pobliskiej rue d'Italie, a także warkot samochodów i autobusów spieszących wzdłuż *boulevard* du Roi René. Księżę przystanął i uśmiechnął się, wspominając wspaniałe dwa tygodnie spędzone u przyjaciół, lorda i lady Ashcroftów, których miejski dom w Kensington także wychodził na wspólny ogród. Pomysł kupienia drewnianej ławki i wygrawerowania na jej oparciu inskrypcji pochodził właśnie stamtąd. U niego tekst brzmiał: „*Pour Marguerite, qui adorait ce jardin*”.

Znowu usłyszał kaszel i odwrócił się.

- Mme Dreyfus - powiedział z uśmiechem. Zwracał się do niej formalnym *madame*. Wiedział, że nigdy nie była mężatką, ale osiągnęła już poważny wiek. Była atrakcyjną kobietą, miała gęste siwe włosy obcięte prawie na chłopaka, które podkreślały głęboki ciemnoniebieski kolor jej oczu. Okulary do czytania w rogowej oprawie nosiła zawsze na łańcuszku na szyi, ubierała się wyłącznie w czerń i biel. Zajmowała się handlem antykami i zgadywał, że była w podobnym wieku co on lub może nieco młodsza.

- Wspaniałe róże - rzekła.

- Chciałaby pani kilka? - zapytał księżę, wskazując na kosz. - Na pewno ma pani w swoim sklepie mały elegancki wazon, może z Sèvres.

- Rzeczywiście, mam taki, który doskonale się nadaje - odparła. - Chętnie wzięłabym kilka róż, jeśli pan ma aż nadto.

- Mogę pobiec do domu i poprosić Manuela, by je dla pani

zapakował?

- Nie, nie - zaprotestowała.

- Ale ciernie...

- Mam chusteczkę - odparła, wyjmując staroświecką, płócienną chusteczkę z kieszeni swetra.

- Bardzo praktycznie - odrzekł książę i owinął łydki kwiatów chusteczką. - Kto zajmuje się teraz sklepem?

Kobieta wskazała na swój zegarek.

- Jest pora lunchu.

- Och, rzeczywiście - odpowiedział, patrząc w niebo. - Straciłem poczucie czasu.

- Nie słyszy pan gości restauracji? - Wskazała za siebie. - Mają szeroko otwarte okna.

- Nie, szczęśliwie nie. Ale słyszę fontannę, szczególnie w nocy. - Uświadomił sobie, że sklep Gaëlle Dreyfus i jej mieszkanie dzieliły od nowo otwartego lokalu zaledwie dwa budynki, natomiast jego dom i ogród znajdowały się po przeciwnej stronie ulicy. Nigdy nie słyszał żadnego dźwięku z restauracji i tak naprawdę nieczęsto chadzał rue Mistral. Tak jakby ta ulica znajdowała się o całe światy od niego.

- Między innymi dlatego tu jestem - powiedziała kobieta. - Chodzi o restaurację...

- Proszę usiąść - zaproponował.

Gaëlle Dreyfus usiadła na angielskiej ławeczce, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że wszystko w wyglądzie jej rozmówcy wskazuje raczej na angielskiego lorda niż francuskiego księcia. Poczynając od płaszcza marki Harris Tweed i wełnianej kamizelki, a kończąc na jego włosach - przerzedzonych i nieco zbyt długich z tyłu głowy. Jednak wysokie kości policzkowe, szerokie cienkie usta i niebieskie oczy - podobne do jej własnych - świadczyły o tym, że był kiedyś przystojnym mężczyzną.

- Mam klienta - zaczęła. - Architekta, który poinformował mnie, że szef kuchni z tej restauracji, a zarazem jej właściciel, wystąpił do władz miasta o pozwolenie na poszerzenie sali jadalnej o taras.

- Nigdy nie dostanie pozwolenia - szybko odpowiedział książę, dla

większego efektu krzyżując ręce. – W tym *quartier* nie ma ani jednej restauracji z tarasem.

– Och – westchnęła Mme Dreyfus. – Słyszałam, że nowa mer sprzyja raczej firmom niż...

– Mieszkańcom.

– Tak – przytaknęła, celowo nie dodając „dobrze sytuowanym” albo „arystokracji”.

– *Mais la fontaine* – mówił dalej. – Jest na liście zabytków.

– Tak, ale fontanna, technicznie rzecz ujmując, znajduje się na terenie restauracji, choć wszyscy dzielimy cały ogród.

– Moi rodzice brali z niej wodę.

„Ma pan na myśli to, że wysyłali służących, by ją przynieśli” – pomyślała Mme Dreyfus.

– Ja nadal tak robię – odparła.

– Czy to bezpieczne?

– Oczywiście, co roku woda jest testowana – odrzekła. – Naturalne źródła muszą być sprawdzane.

– Dobrze. Co możemy poradzić w tej sprawie?

– Częściowo właśnie dlatego tu przyszedłam – wyjaśniła. – Należę do Towarzystwa Historycznego w Aix, chcielibyśmy uzyskać pańską pomoc.

– Oczywiście, oczywiście – odparł z roztargnieniem.

Mme Dreyfus uśmiechnęła się.

– Właśnie zaczęłam informować innych sąsiadów – kontynuowała. – Bénédicte i Serge Tivolle, którzy mieszkają obok restauracji, już znają plan szefa kuchni... Bénédicte jest skarbniczką naszego komitetu. Rozmawiałam z Thomasem i Stéphanie Roche, mieszkającymi niedaleko restauracji, i z Marine Bonnet. Profesor Bonnet wykłada prawo na uniwersytecie i mieszka tu na najwyższym piętrze. – Wskazała na mieszkanie u góry, mniej więcej w połowie ogrodu, z wielkim tarasem ozdobionym pnącymi różami, krzewem jaśminu owijającym się wokół barierki i dwoma drzewkami oliwnymi w donicach.

- Profesor prawa... - wymruczał książę. Spotkał ją kiedyś na kolacji, lata temu. Pamiętał interesującą rozmowę, którą prowadzili, i jej wspaniały, głośny śmiech.

- Tak, niedawno wyszła za mąż za *juge d'instruction* z Aix. - Sprzedawczyni antyków uśmiechnęła się szeroko, jakby właśnie podała zwycięską odpowiedź w teleturnieju. Drzwi domu księcia otworzyły się i z wnętrza dobiegł zapach sera i jajek. - Przepraszam - odezwała się Mme Dreyfus, dostrzegłszy Manuela Arrudę stojącego w wykrochmalonym fartuchu w drzwiach kuchni - chyba pański lunch jest gotowy.

Książę odwrócił się i pomachał do Manuela.

- *J'arrive!* - zawołał. Chętnie zaprosiłby Mme Dreyfus na posiłek, ale nie wiedział, ile omleta i sufletu przygotował Manuel.

* * *

- Na suficie swojej biblioteki Montaigne miał cytaty wryte na belkach - powiedział *frère* Joël, upiwszy łyk mocnej gorącej kawy. - Często odwiedzałem jego dom, moi dziadkowie mieszkali nieopodal.

- Pamiętam bibliotekę i rzeźbione belki - odparł książę, podając zakonnikowi tacę z ciasteczkami. - Ale nie przypominam sobie, co tam było napisane.

- Słowa rzymskich filozofów - odparł brat zakonny. - Jedną z sentencji była rada Seneki, jak dobrze żyć.

- To temat bardzo znaczący dla Montaigne'a.

- Właśnie - potwierdził *frère* Joël. - Słowa te mówią, że jeśli popadasz w przygnębienie lub odczuwasz nudę na emeryturze, po prostu zainteresuj się otaczającym cię pięknem...

- Na przykład ogrodami - dodał książę pośpiesznie.

- Pańskimi różami - zasugerował *frère* Joël, patrząc na kwiaty odmiany Lady Banks. - Albo naszymi zabytkowymi budynkami w Aix.

- Można dokładnie studiować obrazy Cézanne'a w Musée Granet.

Obaj mężczyźni roześmiali się i wzięli ciasteczka z porcelanowej tacy, którą przyniósł Manuel. W zbiorach muzeum Granet w Aix

znajdowało się zaledwie dziesięć mniej znanych płócien najślawniejszego syna miasta.

Ksiązę powoli żuł ciasteczko, po chwili zapytał:

- Czy sugeruje ojciec, że wyglądam na przygnębionego? Albo znudzonego?

- Nie - odparł zakonnik po chwili wahania. - Ale obawiam się, że coś pana gryzie.

Minął rok, od kiedy *frère* Joël i ksiązę zapoczątkowali swoją kawową tradycję, teraz kultywowaną prawie codziennie o siedemnastej. Na wpół romański, na wpół gotycki kościół Saint Jean de Malte korzystał z tego samego ogrodu. Miał do niego dostęp przez małą drewnianą furtkę, która otwierała się na rue Cardinale, naprzeciwko kościoła. Ksiązę nie był szczególnie religijny, nie uważał się nawet za wierzącego, ale tak przywykł do niedzielnych mszy, że nie wyobrażał sobie, że mógłby nie pójść do kościoła, tak jak nie wyobrażał sobie, że mógłby nie zjeść śniadania albo nie znaleźć czasu na umycie się. Marguerite pochodziła z Bawarii, była głęboko religijna i wspaniale śpiewała. Ksiązę chodził teraz do kościoła bardziej po to, by posłuchać chóru i prowokacyjnych kazań *père* Jean-Luca, niż by wbijano mu do głowy Pismo Święte. Ale chociaż w Saint Jean de Malte nikomu nic nie wbijano do głowy i chociaż ksiązę podziwiał *père* Jean-Luca, czuł, że ma więcej wspólnego z braciszkiem z Périgourdin, który przybył do kościoła przed dwoma laty i który, podobnie jak ksiązę, uzyskał licencjat z historii.

Ksiązę spojrział na swojego młodego przyjaciela i powiedział:

- Czeka mnie raczej nieprzyjemna wizyta u mojego lekarza.

Frère Joël na chwilę spuścił głowę i spojrział na swojego rozmówcę.

- Przykro mi - odezwał się. - Czy lekarz postawił diagnozę?

- Jeszcze nie - odparł ksiązę. - Przede mną kolejne okropne badania. I zanim powie mi ojciec, żebym się nie martwił, to wyznam, że nie obawiam się śmierci. Podobnie jak krajan ojca z Périgourdin, Montaigne. Nie pamiętam, co jest napisane na rzeźbionych belkach, ale wiem, że dotyczy to odchodzenia: nie rozmyślaj o śmierci.

- Więc nie ma sensu się o to martwić - zauważył zakonnik, próbując się uśmiechnąć. - Czy jest coś, o czym chciałby pan porozmawiać?

- Zrzucić z siebie? Zanim...
- Nie to miałem na myśli - szybko odparł *frère* Joël.
- Od bardzo dawna się nie spowiadałem. Od dziesięcioleci.
- Możemy zrobić to tutaj.
- W ogrodzie? - zapytał ksiązę, patrząc na starannie przycięte żywopłoty. - Jest coś, co chciałbym wyznać. Ale nie dzisiaj. Przypuszczam, że powinienem przygotować się na najgorsze. Nawet na śmierć.
- Nie martwiłbym się...

Ksiązę się roześmiał.

- Też cytuje ojciec Montaigne'a? Co on takiego napisał? „Jeśli nie wiesz, jak umierać, nie trap się. Wkrótce Natura dobrze cię tego nauczy. Zrobi to najrzetelniej; nie musisz się kłopotać”.

2

Świat według Philomène Joubert

- Mogę ci pogratulować, Marine? - zapytała Philomène Joubert. Spotkały się na rynku, przy tym samym stoisku, kiedy patrzyły na pęczki miejscowych wiosennych szparagów.

- *Oui, merci beaucoup, Mme Joubert* - odparła Marine z uśmiechem i uścisnęła dłoń starszej pani. - To była mała uroczystość - dodała szybko, na wypadek gdyby Philomène Joubert uważała, że zaproszony powinien być cały chór Saint Jean de Malte. - We Włoszech.

- Przed niedzielną mszą twoja matka pokazała nam zdjęcia - powiedziała Philomène.

- Naprawdę? - zapytała Marine, nie kryjąc zdziwienia. Jej ojciec był lekarzem rodzinnym, a matka emerytowaną profesorką teologii. Z nich dwojga to właśnie matka była mniej skłonna do okazywania emocji czy entuzjazmu, a już na pewno obcy jej był nadmierny sentymentalizm.

- O tak - przyznała Mme Joubert. - Wyglądałaś pięknie. - Wybrała pęczek szparagów i taksowała go wzrokiem. - Mme Martin - zawołała, podnosząc warzywo w górę i machając nim w powietrzu. - *Vous en des blanches?*

Marine uśmiechnęła się, mając nadzieję, że handlarka miała białe szparagi dla jej sąsiadki, a ona sama będzie mogła na dzisiejszą kolację kupić więcej cienkich, zielonych. Tę odmianę poznała dzięki starszej kobiecie sprzedającej swoje produkty z małej łódki w Wenecji. „Risotto, risotto” - nalegała wtedy i Marine wykupiła cały zapas.

Mme Martin wręczyła klientce wiązki grubych białych szparagów. Philomène spojrzała na nie, skinęła głową i włożyła zakupy do materiałowej torby.

Potem podjęła przerwany wątek:

- I ten cudny różowy kościół, jak świeczka na weselnym torcie. -
Zaśmiała się z własnego żartu, a Marine jej zawtórowała.

- Jak miło słyszeć śmiech - skomentowała Mme Martin. - Dzisiaj
widać tu wiele ponurych twarzy.

- *Ah bon?* - zapytała Philomène. - Przy takiej pięknej pogodzie?

- To przez nudę.

Marine wybrała trzy pęczki najcieńszych zielonych szparagów
i umieściła je w koszyku. Philomène spojrzała na nią i zmarszczyła
brwi.

- Te nie mają takiego samego smaku jak białe.

- Wiem - odrzekła Marine z uśmiechem.

- Ludzie są znudzeni - mówiła dalej Mme Martin, ożywiając się
w związku z rozpoczętym przez siebie tematem.

- Kto jest znudzony? - zapytała Philomène, oceniając teraz kolejne
sezonowe warzywa - karczochy.

- Kiedy nie masz co robić, popadasz w przygnębienie - odparła
handlarka. - Proszę rozejrzeć się wokół siebie. Przynajmniej sześć
czy siedem moich przyjaciółek, które mają wszelkie powody do
szczęścia: zdrowie, dach nad głową, bezpieczny do życia kraj - jest
w depresji. Czego im brakuje?

Philomène zaczęła:

- Być może...

- No cóż, powiem paniom - przerwała jej Mme Martin. Podniosła
rękę i zaczęła liczyć na palcach: po pierwsze, dzieci albo dziecko.
Kiedy musisz zaopiekować się innym człowiekiem, nie możesz
zamartwiać się swoimi drobnymi problemami.

- Mam trzech wspaniałych synów - wtrąciła Philomène.

- Po drugie: jeżeli nie masz dzieci, a jest dużo takich ludzi, to
musisz być zadowolony z pracy.

Mme Joubert, która przez ponad czterdzieści lat pomagała mężowi
prowadzić drukarnię, kochała swoją pracę, ale teraz milczała.
Spojrzała na uśmiechniętą, potakującą Marine. „Świeżo upieczona

żona” – pomyślała. „Unosi się ponad ziemią”.

- A jeśli przypadkiem nie masz ani jednego, ani drugiego – ciągnęła Mme Martin – to potrzebujesz hobby. *Une passion!*

- A ja teraz z pasją udam się do domu i ugotuję te szparagi! – zakomunikowała Philomène, wręczając Mme Martin garść monet.

Marine wybrała tuzin cienkich karczochów, myśląc o tym, jak je przygotuje – będą fantastyczne z udźcem jagnięcym, jaki zaplanowała na kolację. Szybko zapłaciła Mme Martin, a ta przeniosła swą uwagę na inną klientkę, która dołączyła do rozmowy i która czytała właśnie w kobiecym piśmie artykuł o znaczeniu aktywności...

- Cóż, wracasz do swojego mieszkania? – zagadnęła Philomène. – Możemy iść razem.

Marine przytaknęła.

- Zamierzasz je sprzedać?

Zapytana uśmiechnęła się. Nie była ani trochę zaskoczona bezpośredniością sąsiadki. Philomène Joubert była z tego znana.

- Nie możemy się zdecydować. Każde z nas uwielbia swoje mieszkanie.

- Obyśmy mieli tylko takie zmartwienia.

- Moi studenci powiedzieliby, że to problem pierwszego świata – odparła Marine, kiedy szły wzdłuż rue Thiers. – Tak, los się do nas uśmiechnął. I jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Philomène skinęła głową.

- To, o czym mówiła Mme Martin, to żadne odkrycie. Powszechnie wiadomo, że jeśli się czymś zajmiesz, będziesz szczęśliwy. Oczywiście, miewałam chandrę, szczególnie wtedy, gdy François stracił pierwszą żonę albo gdy zamknęliśmy drukarnię, ale powiedziałam sobie: „Philomène, zrób choć jedną pożyteczną rzecz każdego dnia. Choć jedną”. Więc wstawałam z łóżka i piekłam ciasto. Albo zabierałam się do prasowania. Następnego dnia robiłam trochę więcej, a potem, *voilà*, poczucie pustki ustępowało.

Marine przytaknęła. Podobało jej się, że Philomène użyła słowa *vide* zamiast *triste*, było ono bardziej trafne i mocniejsze niż „smutek”. Znów odezwało się dokuczliwe ściskanie w dołku. Męczyło ją już od

dwóch tygodni, przychodziło i odchodziło, ale nikomu o tym nie mówiła. Pojawiało się w najdziwniejszych chwilach, zazwyczaj szczęśliwych, jak ta, gdy szła w porannym słońcu z sąsiadką.

- Mme Martin po części ma rację w tym, co mówi o pasji - zwróciła się do Mme Joubert. - Mam dobrą pracę, ale nie jestem pewna, na ile ją lubię.

- Nie nazwałabyś swojej pracy pasją? - zapytała Philomène i zmarszczyła brwi na widok przechodzących obok dwóch licealistek, które jadły croissanty. - *Bon appétit, les filles!*

- Nie mają gdzie usiąść i zjeść - powiedziała Marine w obronie dziewcząt. - W centrum potrzeba więcej parków i ławek. - Znowu powrócił ból w dołku. Trochę dziwnie się czuła, rozmawiając o pracy z kimś, kogo dobrze nie знаła, a nie z Antoine'em, Sylvie czy z rodzicami. Ale może to właśnie Philomène była najlepszą osobą do takiej rozmowy. Podjęła więc przerwany wątek: - Nie, to nie jest pasja. Kiedyś była. Ale mam hobby, które kocham.

- Och, co to takiego? - zapytała starsza kobieta. Wiedziała, że Marine Bonnet była bardzo wykształcona i kulturalna, podobnie jak jej nowo poślubiony mąż. Miała nadzieję, że odpowiedź profesor Bonnet nie będzie zbyt dziwna i że ją zrozumie.

- Pisanie - rzekła Marine.

- Ale i tak musisz pisać jako profesor, prawda? - Philomène odzyskała rezon, cieszyła się, że umiała odpowiedzieć.

- Tak, ale nie chcę już pisać prawniczych artykułów. Chcę pisać o życiu.

- Życiu sławnych ludzi? - Philomène nie mogła sobie wyobrazić, by Marine Bonnet pisała o gwiazdach kina i piłkarzach.

- Tak, chciałabym pisać biografie. Zaczęłam badać życie Simone de Beauvoir i Jean-Paula Sartre'a. Planuję napisać o ich wzajemnej relacji.

Philomène Joubert zatrzymała się na środku chodnika. Zagwizdała i rzekła z powątpiewaniem:

- Chcesz napisać o łóżkowym życiu tych dwojga? Nikt tego nie kupi, Mme Verlaque! Co za sprośności!

- Może to wcale nie było takie sprośne - odparła Marine.

- Akurat... - Philomène pokiwała palcem. - Ze swoimi studentkami - szepnęła, pochylając się w kierunku Marine. - Dziewczętami.

Marine starała się opanować wzdrygnięcie. Choć bardzo ceniła etykę pracy tej pary i uznawała ich otwarty związek (który był dobry dla nich, ale nigdy nie odpowiadałby jej samej), fakt, że Simone de Beauvoir sypiała ze swoimi studentami, czy to mężczyznami, czy kobietami, bulwersował ją. Ale być może ocena moralna nie należała wcale do niej. Mogła przecież jedynie prowadzić badania i czytać, ile tylko zdoła, oraz przedstawiać czytelnikom fakty. Czyż nie na tym polegała praca biografą? Nawet jej ukochany Montaigne przyznawał, że nie znał wszystkich odpowiedzi - obserwował i pisał, często kończąc zdania formułą: „choć nie wiem na pewno”. Problem polegał na tym, że Marine Bonnet koniecznie chciała wiedzieć. Przyznanie się do niepewności nie leżało w jej naturze. To między innymi dlatego Antoine Verlaque był dla niej tak dobrym partnerem. Pomagał jej zwolnić, odpuścić, porzucić perfekcjonizm.

* * *

Bear Valets biegł z wysiłkiem w dół rue Thiers, dźwigając dwie torby wypełnione różnymi rodzajami karczochów. Gdy zobaczył przed sobą dwie rozmawiające kobiety, zwolnił i zatrzymał się, odstawiając jedną z ciężkich toreb. Spojrzał na zegarek, dochodziła dziewiąta. Podniósł karczochy i ruszył dalej, patrząc na kobiety. Młodsza, wysoka była jego klientką i wyjątkowo ją lubił. Nie wiedział, jak się nazywa, ale przychodziła do restauracji z facetem ze złamanym nosem. Pomimo braku klasycznej urody mężczyzna był zdaniem Beara intrygujący. W jednej chwili autorytarny i poważny - zwłaszcza kiedy czytał listę win z włoskimi specjałami - w następnej czuły i zakochany, gdy patrzył na swą towarzyszkę.

Valets pracował w otwartej kuchni - takiej, jaką po raz pierwszy widział w Londynie - i przy każdej możliwej okazji przyglądał się swoim klientom. Gdy ostatni z nich kończyli swoje główne dania, przechadzał się po małej sali restauracyjnej. Rozmawiał z tą parą więcej niż raz i zauważył na ich palcach błyszczące obrączki. Kobieta bawiła się swoją, jakby wciąż się do niej przyzwyczajała. U mężczyzny wyglądała ona tak, jakby była tam od zawsze. Zadawali dużo pytań o posiłek i, jak wszyscy inni, chcieli wiedzieć, jak to się stało, że on, młody francuski kucharz, przyjął imię Bear. „Po liceum przeprowadziłem się do Anglii i moi koledzy nie potrafili wymówić imienia Sigisbert - odpowiadał zazwyczaj. - Więc od

tamtej pory jestem Bear”. I rzeczywiście, miał w sobie coś z niedźwiedzia, jak zgodnie uznali Marine i Verlaque, wracając z restauracji do jej mieszkania. Był niski, mocno zbudowany, ze sztywnymi kręconymi włosami i bokobrodami, które celowo utrzymywał długie, przycięte do około centymetra od jego szerokiego uśmiechu. Antoine Verlaque natychmiast go polubił.

Bear Valets, urodzony i wychowany w Aix, skończył szkołę średnią z bardzo dobrym wynikiem maturalnym z przedmiotów przyrodniczych i zamiast starać się o przyjęcie na którąś z francuskich uczelni medycznych lub farmaceutycznych, opuścił kraj, by uzyskać pełne stypendium na wydziale biologii University College w Londynie. Zawsze lubił lekcje angielskiego i kilka razy spędził wakacje z rodzinami w Walii, Wyoming i Yorkshire, gdzie szlifował język. Z powodzeniem ukończył pierwszy rok studiów, ale w połowie drugiego roku doszło do recesji i jego ojciec stracił pracę dyrektora w małej firmie farmaceutycznej. Bear próbował utrzymywać się z pieniędzy ze stypendium, ale nie był w stanie mieszkać w centrum Londynu ani płacić za dojazdy. „Zrób to, co ja zrobiłem” – poradził mu wtedy dobry, hinduski przyjaciel, z którym mieszkał w akademiku. „Znajdź pracę na pół etatu w restauracji”.

Bear zdał sobie nagle sprawę, dlaczego był tak zaintrygowany tą piękną klientką i dlaczego ryzykował, że spóźni się do pracy, by wolno ruszyć za nią wzdłuż rue Thiers. Przypominała mu Jane. Jane Clark – wspaniałą szefową z Cavolo Nero, szykownej restauracji na nabrzeżu Tamizy. Kiedyś mijał ten lokal, jadąc autobusem. Dostrzegł nazwę restauracji i niebieskie markizy osłaniające wielkie okna w budynku dawnej fabryki. Nacisnął na przycisk „stop” i wybiegł z autobusu. w tylnej kieszeni spodni miał schowane swoje CV. Jane i Judith stały przy barze, piły mocne espresso i z ołówkami w rękach przeglądały wieczorne menu. Rozpoznał je z artykułu w „The Guardian”, który czytał – Jane i współwłaścicielka restauracji, Judith Hodges, tworzyły jedyny taki kobiecy duet w Londynie, w dodatku awangardowy. Stawiały na rustykalną kuchnię z Włoch i na przepisy włoskiej teściowej Jane, co pozostawało w kontraście do menu inspirowanych przez sztywne, staromodne kluby męskie. Bear Valets udawał, że zajmuje się swoim telefonem komórkowym, a tak naprawdę przysłuchiwał się ich rozmowie.

- Użyjemy rukoli z Capri w sałatce z karczocha. Czy mamy jej wystarczająco dużo? – zapytała Jane.

- Tak – odparła Judith. – W sam raz.

Jane mogła się pochwalić wysoką i szczupłą sylwetką oraz falującymi, kasztanowymi włosami, natomiast Judith była niska, miała sterczące, czarne włosy i oliwkową cerę.

Menu na lunch serwowany tamtego dnia leżało na marmurowej ladzie. Bear odłożył telefon i bardzo dokładnie przeczytał jednostronicową listę dań. To było jak podróż do Włoch, taka, w jaką wyruszał z rodziną niejednym razem. Zupa z prażkowanej cukinii pochodzącej z prywatnego ogrodu w Suffolk, linguine z omułkami z rzadkim winem z Ligurii o nazwie Pigato, smażony na patelni organiczny kurczak nadziewany mascarpone i rozmarynem. Domyślał się, że mascarpone to gęsty kremowy serek, ale nie był pewien.

- Czy możemy ci pomóc, młody człowieku? - zapytała Judith i odstawiła swoją filiżankę espresso.

Pomieszczenie pachniało ziołami i oliwą z oliwek, a z kuchni dochodziły śmiechy i brzęk naczyń. Okno z tyłu budynku, którego nie widział z drogi, wychodziło na ogród i spienioną Tamizę, która, jak wiedział, czasem przemieszczała się w dwóch kierunkach z powodu występujących pływów.

- Chciałbym tu pracować - wypalił Bear. - W jakimkolwiek charakterze. - Podszedł do nich i uściśnął im dłonie. Wyjął swoje CV i wręczył je, jak mu się wydawało, miłszej z kobiet, Jane Clark. Ona spokojnie je przeczytała, podczas gdy Judith przyglądała się Bearowi z uniesionymi brwiami.

- Czy pracowałeś wcześniej w restauracji? - zapytała.

- Nie - uprzedziła go Jane.

- Jestem studentem na University College - powiedział Bear łamiącym się głosem. - Jestem Francuzem i uzyskałem osiemdziesiąt pięć procent na maturze. W naukach przyrodniczych.

- Nikt nie uzyskuje takiego rezultatu na maturze - stwierdziła Judith. - Nawet ja to wiem.

Jane wskazała na CV Beara.

- Mój ojciec stracił pracę - mówił dalej Bear, starając się patrzeć w jej przyjazne zielone oczy. - Potrzebuję pieniędzy. Jestem dobrym pracownikiem. Uwielbiam włoskie potrawy i zrobię wszystko, co potrzeba.

Wydawało mu się, że widzi uśmieszek na ustach Judith, ale Jane położyła dłoń na ramieniu koleżanki.

- Czy możesz dać nam chwilę? Jak wymawia się twoje imię?
- Si-dzis-ber. Ale wszyscy na uczelni nazywają mnie Bear.
- W takim razie zostaje Bear - zdecydowała Judith.

Kobiety opuściły bar i razem weszły do kuchni. Drzwi były lekko uchylone i widział, jak rozmawiają, podczas gdy pracownicy kuchni, młodzi i w większości atrakcyjni, wyjmowali warzywa ze skrzynek i siekali zioła. Dostrzegł, że Judith podnosi ręce i mówi coś do mężczyzny sprawiającego rybę. Bear nie słyszał jej słów. Jane wróciła do baru i uśmiechnęła się.

- Czy możesz zacząć pracę już dziś wieczorem? Brakuje nam jednej osoby. Miałam zadzwonić do mojego męża i poprosić, żeby zszedł na dół. - Wskazała na sufit. - Na górze ma pracownię architektoniczną.

Bear uśmiechnął się szeroko. Podobało mu się jej poczucie humoru, wiedział przecież, że jej mąż jest bardzo znanym architektem - czytał o nim w gazecie.

- Tak, mogę.
- Możesz sprzątać ze stołów. Jamie - ten facet z jasnymi rozczochranymi włosami - wszystko ci pokaże. Tutaj pracujemy niekonwencjonalnie, kelnerzy często pomagają w kuchni. Odpowiada ci to?
- *Si!* - odparł Bear, rozpromieniony.
- Świetnie. Czy masz jakieś pytania, bo jeśli nie, to Jamie poszuka dla ciebie odpowiedniego fartucha.

Bear ugryzł się w język, by nie zapytać, czy w restauracji pracuje ktokolwiek o imieniu niezaczynającym się na „j”. Zamiast tego zadał inne pytanie:

- Co to jest *cavolo nero*?

3

Kolacja

Marine miała na sobie białą, dopasowaną w biuście sukienkę z luźnym wielowarstwowym dołem kończącym się tuż nad kolanem. Verlaque'owi zdawało się, że pamięta nazwę tkaniny: *dotted swiss*. Był bardzo rozczarowany, że Marine nie przyjęła jego propozycji wyprawy na zakupy do Paryża czy Rzymu, ale kupiła kieckę na internetowej wyprzedaży. Sukienka miała wycięcie w łódkę i krótkie rękawy odsłaniające szczupłe, lekko opalone i pokryte tysiącami piegów ręce Marine. Przyciągnął album prawie do nosa i spojrzał na swoją żonę. Trzymała mały bukiet różowych i białych piwonii, które kupili zaraz po przekroczeniu granicy na przydrożnym straganie, tuż przy stacji benzynowej. Trwał sezon na te kwiaty, a Marine zapomniała kupić wiązankę w Aix. Kosztowały piętnaście euro, Marine skróciła ich łodygi za pomocą piknikowego noża, który trzymał w schowku w samochodzie, i związała kwiaty jedną ze swoich gumek do włosów. W hotelu włożyła je do umywalki w łazience.

Odwrócił stronę w grubym białym albumie, który był prezentem od Sylvie, i zaciągnął się cygarem Bolivar Super Corona. Sylvie, renomowana fotograficzka, poleciła swojego najlepszego studenta, Régisa, do robienia zdjęć na ślubie i weselu. Ona sama chciała się odprężyć i korzystać z przyjęcia. Wiedziała też, że może zerkać na Régisa i sugerować mu kolejne ujęcia. Zresztą nie mogli tak po prostu poprosić Sylvie o robienie fotografii. To tak jakby poprosić kucharza z trzema gwiazdkami Michelina o przygotowanie hot dogów, rozmyślał Verlaque. A Régis spisał się doskonale – przeplatał fotografie czarno-białe z kolorowymi, portrety z ujęciami grupowymi i z martwą naturą: tu srebrna miska wypełniona lokalnymi czereśniami, tam samotna szampanówka stojąca na niskim kamiennym murku, a zaraz potem skrzące się morze. Roześmiana Marine, przyłapaną przez Régisa na tym, jak pospiesznie poprawia szminkę na ustach.

Jego ojciec wyglądał dobrze. Wysoki i szczupły – tak inny od Antoine'a. Rebecca uśmiechała się, ujmując go pod rękę. Wyglądali

na szczęśliwych, jakby byli razem od dziesięcioleci, a nie zaledwie od miesięcy. Rebecca Schultz pracowała w Yale jako historyk – specjalistka od Cézanne’a. Verlaque poznał ją podczas jednego ze swoich śledztw. Po wywołaniu najpierw sporego zamieszania doktor Schultz ostatecznie pomogła policji w Aix w potwierdzeniu autentyczności dziewiętnastowiecznego portretu namalowanego przez Cézanne’a. Śledztwo zaprowadziło ich do Paryża, a kiedy Rebecce śledził niebezpieczny typ na motocyklu, Verlaque umieścił ją w jedynym bezpiecznym paryskim domu, jaki znał, a mianowicie u swoich rodziców. Do głowy mu nie przyszło, że jego ojciec i pani historyk sztuki mogliby się w sobie zakochać. W tamtym czasie jego matka cierpiała na anoreksję i przebywała w hospicjum. Wkrótce potem umarła.

Dokładniej przyjrzał się fotografii i zobaczył to, czego nie dostrzegł za pierwszym razem. Na prawo od tej pary, kilka metrów za nimi, stała matka Marine ze skrzyżowanymi ramionami i zmarszczonymi brwiami. Verlaque roześmiał się w głos. Spojrzał na wyraz twarzy Florence Bonnet. Czy jej dezaprobata dotyczyła tego, że Rebecca była o trzydzieści lat młodsza od jego ojca? Czy może tego, że związali się ze sobą, kiedy jego matka jeszcze żyła? A może chodziło o to, że Rebecca Schultz była Afroamerykanką adoptowaną przez parę Żydów?

Verlaque głęboko zaciągnął się cygarem. Czy doktor Bonnet była antysemitką? Albo rasistką? To zupełnie nieprawdopodobne. Antoine wybrał najłagodniejszą opcję i uznał, że matka Marine nie akceptowała różnicy wieku tej pary. Tak naprawdę on też jej nie akceptował. Czy Régis dostrzegł dezaprobate w wyrazie twarzy teolożki patrzącej na parę? A może to wspaniałe zdjęcie było dziełem przypadku? Nawet jeśli tak, to zostało doskonale zakomponowane. Verlaque, wciąż się śmiejąc, usłyszał, jak drzwi wejściowe otwierają się i zamykają. Marine weszła do kuchni, a stamtąd na taras. Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

- Co jest takie zabawne? - zapytała.

Verlaque podniósł album.

- Spójrz na swoją matkę. Pomędzy tatą a Rebeccą.

Marine wybuchnęła śmiechem.

- *Maman* nie jest zbyt dobra w ukrywaniu tego, co myśli.

- *Ah bon?* - zapytał Verlaque ironicznie. - Powinniśmy zatrudnić ją

w Pałacu Sprawiedliwości - dodał. - Wystraszyłyby na śmierć młodych bandytów.

- Moglibyśmy zaangażować do pomocy także Philomène Joubert - zasugerowała Marine. - Dziś rano roztaczała swój urok na ryneczku.

Verlaque roześmiał się jeszcze bardziej i odłożył album, gestem wskazując Marine, by usiadła mu na kolanach. Tak zrobiła, po czym objęła go za szyję i oparła głowę na jego ramieniu. On podniósł album i swoje cygaro.

- Antoine, trudno jest palić i oglądać ślubne zdjęcia, gdy ktoś siedzi na twoich kolanach!

- Ale ja to potrafię. Popatrz tylko. - Przełożył stronę, a Marine zachwiała się, niemal tracąc równowagę.

Wstała i pokazała na zegarek.

- Goście przychodzą za niecałe dwie godziny. Zabiorę się do gotowania.

- Przyjdę i ci pomogę - rzekł Verlaque. - Chcę tylko jeszcze raz popatrzeć na zdjęcia.

Marine roześmiała się.

- Dam ci pięć minut, a potem poprzycinasz karczochy.

- Czy mogę...?

- Nie, nie możesz jednocześnie palić cygara.

Verlaque coś mruknął, a Marine znów się roześmiała. Założyła fartuch i zaczęła wyjmować produkty z lodówki, zerkając na swojego świeżo upieczonego męża, który po raz setny oglądał fotografie ze ślubu. Na końcu jego złamanego kiedyś, a teraz skrzywionego nosa opierały się okulary do czytania. Uśmiechał się szeroko. Jak bardzo sędzia śledczy z Aix-en-Provence zmienił się od czasu, gdy spotkała go po raz pierwszy - wtedy był kłębkim nerwów ledwie skrywanym za szklaneczką whisky i cygarem.

Verlaque zamknął album i zgasił cygaro w wielkiej czerwonej popielnicze Havana Club, urodzinowym prezencie od brata, Sébastiena. Kiedy wszedł do kuchni, pocałował Marine w szyję i umył ręce nad zlewem.

- Przypomnij mi, kto przyjdzie - poprosił, wycierając ręce

w ściereczkę.

- Sylvie, nasi sąsiedzi, Thomas i Stéphanie Roche, oraz Gaëlle Dreyfus. Będzie nas szóstka.

- Gaëlle ma sklep z antykami przy rue Cardinale, prawda? Mój ojciec uwielbia to miejsce.

- Tak - potwierdziła Marine, stawiając przed nim miskę z tuzinem karczochów. - A Roche'owie zajmują mieszkanie z ogrodem przy naszej ulicy, kilka budynków stąd.

- Czy to ten ogród z portugalskimi płytkami na ścianie? - zapytał. - Widać go z tarasu.

- Właśnie ten - przytaknęła.

- *Azulejos* - szepnęła Verlaque, obejmując żonę.

Marine pocałowała go i odszepnęła:

- *Azulejos* - lepiej wymawiając portugalskie słowo.

- Popisujesz się - rzekł. - No dobrze, co mam robić?

Marine otworzyła szufladę, wyjęła trzy różne noże i położyła je przed nim. Verlaque spojrział na żonę zdumiony.

- Ząbkowany nóż służy do obcinania czubków karczocha - wyjaśniła. - Potem obrywasz większość zewnętrznych liści, dopóki nie dojdiesz do żółtych. Dużym nożem rozcinasz warzywo wzdłuż na ćwiartki, a małym ostrym nożykiem wybierasz włochaty środek i wszelkie inne ostre kawałki.

- Więc niewiele zostanie - zauważył, marszcząc brwi. - Dużo pracy, a tak mało miększu.

- Tak, i dlatego karczochy są takie drogie, sprzedają je w eleganckich sklepach w słoikach z oliwą z oliwek. - Postawiła przed nim miskę zimnej wody i wycisnęła do niej cytrynę.

- Po co cytryna?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała szybko. - Szukałam przepisu dzisiaj, między zajęciami. Teraz przestań zadawać pytania, bo nie zdążymy.

Verlaque skinął głową, widząc, że Marine traci cierpliwość. Gotowanie było jedyną znaną mu rzeczą, która wytrącała ją

z równowagi - nie działało tak na nią ani prowadzenie wykładów, ani pisanie prawniczych artykułów w nierealnie krótkim czasie, ani poznawanie nowych ludzi czy robienie zakupów w sobotę na zatłoczonym rynku, czyli wszystko to, czego on unikał za wszelką cenę. Marine skrzywiła się i potarła nos. Odwróciła się tyłem, ale Verlaque widział jej podenerwowanie. Nie miała w zwyczaju podnosić głosu i wpadać w zniecierpliwienie. Chwycił karczocho i ząbkowany nóż, mówiąc:

- Baranina, karczochy, ziemniaki i świeże szparagi. To będzie wspaniałe.

Pierwsza przybyła Gaëlle Dreyfus. Kiedy zapraszano ją na kolację, czasem wybierała jakiś drobiazg ze swojego sklepu i dawała go w prezencie. Tak też zrobiła tego wieczoru. Marine odwiedzała sklep Gaëlle już jako dziesięcioletnia dziewczynka. Zawsze kochała antyki, szczególnie srebra i porcelanę stołową, być może dlatego, że nie dorastała w otoczeniu takich przedmiotów. Przed godziną zamknięcia Gaëlle wybrała komplet kryształowych podpórek pod noże firmy Baccarat. Starannie owinęła je w liliową bibułę, bo pudełko od tego zestawu pochodzącego z lat czterdziestych dawno już zaginęło. Był to dość ekstrawagancki podarunek dla gospodarzy, ale oni właśnie się pobrali, a ona kupiła komplet w dobrej cenie od kogoś, kto nie znał jego wartości.

Marine prezent bardzo się spodobał, co uszczęśliwiło Gaëlle. Mąż pani profesor, przedstawiony po prostu jako Antoine, szybko zdjął ze stołu przygotowane przez nich podpórki i zastąpił je baccaratami.

- Życzę państwu wielu lat szczęścia - powiedziała Gaëlle.

- Dziękuję - rzekła Marine. - Chyba powinniśmy wznieść toast szampanem, ale...

- Nie, nie - zaprotestowała Gaëlle. - Poczekajmy na resztę.

Pięć minut później dołączyli do nich pozostali goście, dokonano prezentacji, a Verlaque wyjął szampana z wiaderka z lodem.

- Thomas otworzył kiedyś szampana szablą! - oznajmiła Stéphanie Roche.

- Ale tylko w ogrodzie - wyjaśnił Thomas. - Tak naprawdę robiłem to dla dzieci.

- Och, więc to możliwe? - zainteresowała się Sylvie, aż

podskakując, gdy korek wystrzelił. - Myślałam, że to mit.

- Absolutnie nie - odparł Thomas.

- Od jak dawna mieszkają państwo przy naszej ulicy? - zapytała gospodyni.

- Kupiliśmy apartament, kiedy mieszkaliśmy jeszcze w RPA, gdzie Thomas pracował jako inżynier - odparła Stéphanie. - Dorastałam w Aix, więc kupiliśmy tu mieszkanie na emeryturę. Przeprowadziliśmy się pięć lat temu.

- Och, emerytura - powtórzyła Gaëlle. - To magiczne słowo.

Aperitif przebiegał gładko. Goście z przyjemnością wypili kilka kolejek szampana (otwarta została druga butelka) i częstowali się cienko pokrojoną kielbasą obtaczaną w zielonym pieprzu, którą polecał Marine rzeźnik, świeżymi rzodkiewkami z solą morską do dipów, a także migdałami i słodkim marynowanym czosnkiem podanymi w małych miseczkach. Mimo że goście nie mieli ze sobą wiele wspólnego, rozmowa toczyła się swobodnie. Wszyscy obecni zgodzili się, że promowane przez mer nowe centrum handlowe, zbudowane na końcu głównej ulicy Aix, Cours Mirabeau, to katastrofa.

- Niczego tam nie kupuję - wykrzyknęła Stéphanie, krzyżując ręce na piersiach.

Gaëlle zatrzymała dla siebie myśl, że Mme Roche nigdy nie kupiła niczego także w jej sklepie.

- Jestem dumna z tego, że księgarnie przeciwstawiły się pani mer i wielkiemu biznesowi - odezwała się Marine.

- To dlatego FNAC nie sprzedaje książek? - Thomas pytał o dużą franczyzę, która sprzedawała elektronikę, płyty DVD, CD, a w Paryżu także książki.

- Tak, zgodzili się na to, podpisując umowę - wyjaśniła Marine. - Mogą sprzedawać muzykę i elektronikę, ale nie książki.

- Byłeś we FNAC? - żona Thomasa wbiła w niego wzrok. Mężczyzna spojrzał na swój kieliszek do szampana i mruknął, że potrzebował porady w sprawie komputera.

- Uwaga, uwaga. - Verlaque podniósł swój kieliszek. - Za naszych księgarzy.

- Ta anglosaska księgarnia na końcu ulicy to fantastyczne miejsce na popołudniową herbatę - powiedziała Gaëlle. - Czasem chodzę tam, zanim ponownie otworzę sklep o wpół do piątej. Jest coś cudownego w herbacie, babeczkach i zapachu książek.

Aperitif trwał w najlepsze, goście zachowywali się najwłaściwiej, jak umieli, unikając tematów, które mogłyby popsuć sąsiedzkie relacje, takich jak polityka. Podczas rozmowy o nowej siedzibie teatru tańca w Aix, zaprojektowanej przez marsylskiego architekta, Marine zauważyła, że Stéphanie Roche uprzejmie kiwa głową, a jej mąż ziewa.

- To klejnot wśród budynków - stwierdziła Gaëlle Dreyfus. - To tak naprawdę szklane pudełko, ale jakim wspaniałym rozwiązaniem było obramowanie go czarnymi betonowymi belkami, zmierzającymi w różnych kierunkach i przecinającymi się, by utworzyć sieć. - Mówiąc, wykonywała rękami szybkie ukośne ruchy. - A ja nawet nie lubię współczesnej sztuki!

- Ja też uwielbiam ten budynek - oznajmiła Sylvie. - Potrzebujemy więcej czarnych budowli.

Marine zauważyła, że Thomas Roche się zachnął.

- Pewnego wieczoru zatrzymałam się w drodze z biblioteki do domu - odezwała się, przesuwając naczynia z oliwkami na stoliku do kawy. - Sala prób była oświetlona i widziałam tańczącą grupę teatralną. To było hipnotyzujące, stałam tam pewnie z dziesięć minut.

Verlaque uniósł się i dolał gościom szampana.

- Poza tym ten architekt jest wielbicielem cygar. W tym miesiącu jego zdjęcie było na okładce „L'Amateur de Cigare”.

- Och, daj spokój, Antoine - powiedziała Sylvie, mrugając okiem. - Nikogo nie interesują twoje głupie cygara.

* * *

Godzinę później wszyscy siedzieli przy stole jadalnym. Udziec barani był doskonale dopieczony, różowy, a ziemniaki i karczochy, które piekły się pod mięsem, były pikantne i soczyste. Kiedy Verlaque cienko kroił mięso, Marine serwowała wino, wolno obchodząc stół.

- Och, kobieta podaje wino - skomentował Thomas Roche.

Sylvie spojrzała na Marine przez stół i bezgłośnie powiedziała:

- Kretyn.

- I do tego serwuje wina, które sama wybrała - oznajmił Verlaque z uśmiechem. - Chciałem kupić czerwone bordeaux, ale moja żona całkiem słusznie zauważyła, że kwaśny smak karczochów wymaga kwiatowego białego wina.

Kiedy zaczęli się ze sobą spotykać, Marine dopiero poznawała wina. Szybko jednak nauczyła się je doceniać i rozumieć. Podchodziła do tego jak do każdej nowej dla siebie dziedziny - czytała. Ślęczała nad atlasami win i uczyła się na pamięć licznych *appellations controlées* we Francji. Potem dokładnie studiowała wiedzę na temat win z Bordeaux, z Burgundii i z doliny Rodanu. Pochłaniała biografie wytwórców win i ich krytyków. Ostatnią książką był prezent od Verlaque'a - wspomnienia Jancis Robinson, wybitnej angielskiej krytyczki winiarskiej.

- Jest po angielsku - usprawiedliwił się. Marine wymamrotała podziękowanie i chwyciła książkę, po czym, uklepawszy pod głowę dwie poduszki, otworzyła ją na pierwszej stronie. - Ale myślę, że mogłaby być napisana nawet po rosyjsku, a ty i tak byś ją połknęła - zażartował, widząc ekscytację Marine kolejną lekturą.

- Och, to Châteauneuf-du-Pape! - zakrzyknął Thomas. - Nie szkodzi, że białe, panie Antoine. Tak trudno je tu zdobyć.

Verlaque odpowiedział uśmiechem, starając się, by wyglądał na szczerzy.

- Kiedyś spotykałam się z nowojorczykiem - odezwała się Gaëlle. - Zabrał mnie do swojej ulubionej restauracji na Manhattanie - Veritable, Veritas, coś takiego - i przedstawił mnie właścicielowi, który posiadał całe morze Châteauneuf-du-Pape.

- Janke! - zawołał Thomas, teatralnym ruchem odkładając serwetkę. - Dlaczego?

- Miał ogromną piwnicę z winami - wyjaśniła Gaëlle. - Trzymał tam osiemdziesiąt tysięcy butelek. Wszystkie Châteauneuf-du-Pape - dodała pośpiesznie, uśmiechając się do Verlaque'a. - Białe i czerwone, jak sądzę.

- Nie bardzo urozmaicona kolekcja, muszę stwierdzić - odezwał się

Thomas Roche.

„A kto cię pyta o zdanie?” – pomyślała Sylvie.

- Panie Thomasie - zwrócił się do niego Verlaque, sięgając przez stół, by nalać gościowi więcej wina - czy był pan w tej nowej restauracji przy rue Mistral? Szef kuchni jest naprawdę dumny ze swojej listy win. W większości włoskich...

Starał się podtrzymywać konwersację z sąsiadem Marine, chociaż nie mieli ze sobą nic wspólnego i najprawdopodobniej nie zasiądą już przy jednym stole. Ale dobre wychowanie kazało mu włączyć innych do rozmowy.

Marine, widząc, że twarz Thomasa Roche'a pokrywa się czerwienią, dodała szybko:

- Szef kuchni jest uroczy, ma wiele entuzjazmu. Wszyscy nazywają go Bear, to skrót od Sigisberta.

- Rozmawiał pan z nim? - Stéphanie Roche zwróciła się do Verlaque'a.

Ten rozejrzał się wokół stołu, zaskoczony.

- Oczywiście - odparł. - Uwielbiamy tam jadać. - Spojrzał na Marine.

- Tak - potwierdziła. - On, mam na myśli Beara, ma naprawdę interesujący życiorys. Studiował nauki przyrodnicze na londyńskim...

- Nie obchodzi mnie, co studiował! - krzyknął Thomas Roche.

Jego żona odłożyła nóż i widelec i rzekła:

- Jak sądzę, wszyscy wiecie, że ten szef kuchni otrzymał pozwolenie na wybudowanie tarasu w ogrodzie. W naszym sąsiedztwie!

Mazarin było bardzo atrakcyjnym obszarem w centrum Aix. Wznosiły się tam osiemnastowieczne rezydencje wpisane na listę zabytków i w większości podzielone na mieszkania. W tym małym *quartier* działało kilka sklepów i tylko dwie albo trzy restauracje. Ta prowadzona przez Beara najmniej rzucała się w oczy, ukryta za rzeźbionymi drewnianymi drzwiami i z zaledwie jednym oknem wychodzącym na ulicę. Tylko mała mosiężna tabliczka zdradzała jej nazwę: La Fontaine. Zakupy robiło się przy rue d'Italie. Choć ulica ta formalnie należała do Mazarin, przeciwnego zdania byli

uprzywilejowani mieszkańcy domów przy rue Cardinale, rue du 4 Septembre czy rue Goyrand, gdzie często jedynymi dźwiękami były śpiew ptaków i szmer wody w fontannach.

Stéphanie Roche rozejrzała się po obecnych, szukając wsparcia.

- Proszę nie patrzeć na mnie - odezwała się Sylvie. - Mieszkam w biednej dzielnicy miasta. - Przez chwilę trzymała w górze swój pusty talerz. Verlaque podskoczył, by ją obsłużyć.

- Dla państwa nie ma to wielkiego znaczenia - mówiła dalej Stéphanie. - Nie mieszkanie na parterze i nie dzieli was od restauracji dwoje drzwi, tak jak nas.

- To prawda - przytaknęła Marine. - Ale czy rozmawialiście o tym z Bearem? Podobno zobowiązał się, że nie będzie odtwarzał muzyki na zewnątrz i że umieści tam tylko kilka stolików.

- Księżę jest po naszej stronie - rzekł Thomas, nie odpowiadając na pytanie gospodyni.

- Prawdziwy księżę? - dopytywała się Sylvie, zerkając znad talerza.

Marine spojrzała na swoje kolana i stłumiła śmiech.

- Napisaaliśmy petycję i przyniosłem ją ze sobą - mówił dalej Thomas, nie zauważając ironii w pytaniu Sylvie. - Miałem nadzieję, że ją podpiszecie, a pan, panie sędzio, mógłby pociągnąć za pewne sznurki w biurze naszej mer. - Uniósł łokieć i wykonał taki gest, jakby chciał kogoś popchnąć.

- Ona mnie nie znosi, a ja nie znoszę jej - odparł Verlaque, wzruszając ramionami. - Cóż mogę powiedzieć? Początki naszej znajomości były niefortunne.

Gaëlle Dreyfus milczała. Miała nadzieję, że Thomas Roche porzuci temat swojej głupiej petycji, która według niej, jak wszystkie petycje, na nic się nie zda. Ona sama mogła wykonać bardziej wartościową robotę w Towarzystwie Historycznym, którego członkowie zbierali fakty związane z fontanną i ogrodem. Mieli nadzieję, że zgromadzą ich wystarczająco dużo, by przekonać miejskich planistów do rezygnacji z tarasu. Zmieniła temat rozmowy, kierując ją na wieloletnią sąsiedzką debatę o progach zwalniających. W Mazarin mieściły się dwie szkoły, podstawówka i gimnazjum, w którym Cézanne i Zola stali się nierozłącznymi przyjacielami. Mieszkańcy od lat starali się nakłonić władze miasta do zainstalowania jednego albo dwóch progów na ich ulicach lub

też zamknięcia ruchu dla kierowców nieposiadających identyfikatorów. Sylvie próbowała stłumić ziewanie, a Verlaque zasugerował, by pomogła mu w kuchni z deserem.

- Beczka śmiechu - wyszeptała, wyjmując z szafki sześć deserowych talerzyków.

- Eksperyment. Nieprędko go powtórzymy. Ale sprzedawczyni antyków jest całkiem sympatyczna. A tak przy okazji, album ze zdjęciami, który nam dałaś, jest fantastyczny. Widziałas fotografię mojego ojca i jego... - zawahał się, myśląc „Kim była Rebecca?“, po czym dokończył zdanie: - Jego dziewczyny?

Sylvie roześmiała się.

- Stojąca z tyłu doktor Florence Bonnet z grymasem niezadowolenia na twarzy?

- Więc też zauważyłaś ten szczegół.

- Régis był naprawdę dumny z tego ujęcia - odparła Sylvie. - To jedna z cech wielkiego fotografa i wciąż powtarzam to moim studentom. Wybitna fotografia jest...

- Ostra - przerwał jej Verlaque z szerokim uśmiechem.

- Tak, pacanie. Jest też doskonale zakomponowana, ma interesujący temat, ale w sferę dzieł wybitnych przenoszą ją ukryte niespodzianki. Za każdym razem, kiedy na nią patrzysz, pojawia się coś nowego.

- No cóż, powiedz Régisowi, że wykonał świetną robotę.

Verlaque podniósł ciasto Opera, które wcześniej kupił u Michauda, a Sylvie podążyła za nim z talerzykami. Usłyszeli śmiech dochodzący z jadalni i Verlaque odczuł ulgę.

- To nie jedyna rzecz, jaką mój szalony kolega zrobił, kiedy byliśmy młodzi i głupi - mówił Thomas Roche, nalewając sobie kieliszek wina i stawiając butelkę przed sobą. Nie zaproponował wina innym gościom. Marine spojrzała na swojego męża i mrugnęła. - Kiedyś porzucił pannę młodą przy ołtarzu w Bretanii...

- Niezupełnie - przerwała mu Stéphanie Roche. - Zrobił to kilka tygodni przed ślubem, chociaż zaproszenia zostały już rozesłane.

- A potem ożenił się z miejscową dziewczyną - mówił dalej jej mąż.

Sylvie spojrzała na Verlaque'a zaskoczona. Najwyraźniej stracili

coś, kiedy byli w kuchni. Miejscowa dziewczyna, ale z którego kraju?

- Piękność z RPA! - wyjaśnił Thomas, odpowiadając tym samym na wątpliwości Sylvie.

- Czarną jak węgiel - dodała Stéphanie, sznurując usta.

Sylvie celowo odłożyła talerzyki na stół z głośnym stuknięciem.

- I mieli dwoje dzieci i nigdy nie zgadniecie, co się stało - kontynuował Thomas.

Pozostali popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami. Verlaque zaczął starannie kroić ciasto i spoglądając w górę, rzekł:

- Chyba musi pan nam powiedzieć.

- Pierwsze dziecko, chłopiec, było czarne! - ryknął Thomas. - A następne, dziewczynka urodzona dwa lata później...

- *Elle était impeccable!* - wtrąciła się jego żona, machając rękami.

- Doskonała? - zapytała Marine, chwytając za krawędź stołu.

- No cóż, biała, oczywiście! - wykrzyknęła Stéphanie z szerokim uśmiechem.

* * *

Verlaque usiadł na skraju łóżka i zdjął buty.

- To była wspaniała kolacja, Marine - powiedział.

Marine odwieszała bluzkę do szafy, odwróciła się.

- Nie miałam pojęcia, że Roche'owie są tacy. Żałuję, że ich zaprosiłam.

- Nie martw się - pocieszał ją Verlaque. - Nie wiedziałaś, chciałaś zachować się jak dobra sąsiadka. Możemy ich „unfriendować”, jak mówią moi młodszy koledzy. To ma chyba coś wspólnego z Facebookiem.

Marine roześmiała się.

- Przynajmniej nie powiedziałaś z Bookfacem.

- Nigdy tak nie mówiłem!

- Zdarzyło ci się raz u Paulików.

Zdjęła spodnie i wciąż się śmiejąc, umieściła je na wieszaku.

- No cóż, jeśli moje technologiczne upośledzenie tak cię bawi, mogę je zaakceptować - stwierdził Verlaque. - O co chodzi? Wyglądasz na zmartwioną.

Marine usiadła obok i westchnęła.

- O rany, to było westchnienie godne Florence Bonnet - zauważył, biorąc żonę w ramiona. - Kiedy coś rozgotowała...

Marine roześmiała się.

- Albo kiedy jedno słowo dzieliło ją od rozwiązania krzyżówki w „Le Monde”, ale nie mogła go sobie przypomnieć.

- Czy chodzi o pracę?

- Niezupełnie - odparła, biorąc głęboki oddech przed następnymi słowami. - Wysłałam rękopis.

- Skończyłaś? - zapytał, odsuwając się od niej na sekundę, by spojrzeć jej w twarz.

Marine skinęła głową.

- To wspaniała wiadomość! Jestem z ciebie dumny. Nie powiedziałaś mi, że skończyłaś!

- Och - rzekła Marine, wzruszając ramionami.

- To twoje skromne wzruszenie ramion.

Uśmiechnęła się.

- Skończyłam już przed kilkoma tygodniami, ale za bardzo się bałam, by wysłać książkę do wydawcy.

- Rozumiem to.

- Naprawdę?

- Absolutnie. Poświęciłaś tyle czasu tej pracy...

- Kosztem moich zajęć na uczelni.

- Studenci prawdopodobnie nawet nie zauważyli. Czym więc się martwisz? Że odrzucą rękopis?

Marine zrobiła przerwę, zanim odpowiedziała.

- Niezupełnie. Martwię się, co zrobię, jeśli go przyjmą.

- A więc to taka skromność? Żartuję oczywiście.

- Ponieważ uważam, że tekst jest dobry - rzekła Marine, wstając. Zaczęła przemierzać pokój. - Jest oryginalny, a niektórzy mogą go uznać nawet za szokujący.

Verlaque uśmiechnął się szeroko, szczęśliwy, że jego żona znów jest w pełni sobą. Cieszył się też, że spaceruje po pokoju w samej bieliźnie.

- Więc w czym problem?

- Że zostanie opublikowany i wszyscy będą go oceniać negatywnie. Ty. Sylvie. Moi rodzice i koledzy. Krytycy.

Chciał jej powiedzieć, że za bardzo wybiega myślą w przyszłość, ale tego nie zrobił. To były jej lęki i miała do nich prawo.

- Komuś może się nie podobać - powiedział. - To normalne i musisz się na to przygotować.

Marine zaczęła podnosić buteleczki perfum ze swojej toaletki i rozstawiać je dookoła.

- Kiedyś miałam przyjaciela, który twierdził, że Sartre i Beauvoir okłamywali siebie nawzajem i wszystkich innych - powiedziała. - I miał rację. Chcieli żyć inaczej niż burżuazja, ale to im się kompletnie nie udawało... Sartre był klasycznym kobieciarzem prosto z Moliera, a Beauvoir to zносиła...

Verlaque wtrącił:

- Tak jak wiele kobiet przed nią.

Marine obróciła się.

- Właśnie. A co, jeśli czytelnicy znienawidzą tę książkę z tego powodu? Jak mogę sprawić, by życie bohaterów wydawało się... wartościowe? A nawet godne podziwu?

- Być może nie będziesz w stanie tego zrobić - stwierdził Verlaque.

- Jesteś biografką, nie sędzią. - Uśmiechnął się, jego żart był niezamierzony. - Po prostu przedstaw czytelnikom fakty i zapewnij im przyjemną lekturę.

4

Początek problemów Beara

Wczorajsza zupa z karczochów okazała się hitem i dzisiaj Bear znów ją zrobił. Posłużył się prostym przepisem Jane i Judith, do którego potrzebował dużych karczochów, parmezanu i cytryny, podanych z *crostini* przesiąkniętymi zapachem czosnku i ułożonymi na wierzchu.

- To właściwie pewnego rodzaju oszustwo - powiedział praktykant Florian Miotto, obserwując, jak Bear przygotowuje danie. - Wszystko świetnie smakuje z *crostini* z suszonymi na słońcu pomidorami.

- Dajmy ludziom to, czego pragną - odparł Bear z uśmiechem. - Po co przygotowywać wymyślne potrawy, skoro wszyscy pragniemy prostoty? Ale ona wymaga najlepszych składników.

Bear wiedział, że w tym, co rzekł Florian, jest ziarno prawdy. On sam nie przeszedł rygorystycznych francuskich praktyk zawodowych, które pracownicy kuchni rozpoczynali tu już w wieku trzynastu lat. Również Judith i Jane nie miały za sobą takiego doświadczenia. Ale odznaczały się odwagą i wyobraźnią, a poza tym trafiły w odpowiedni czas. Kiedy otworzyły restaurację, mieszkańcy Londynu bardzo dobrze zarabiali i po dniu pracy w City chcieli zasiąść do potraw w dobrym stylu o optymistycznych włoskich nazwach. Judith i Jane odniosły sukces i szczerze dzieliły się z pracownikami swoją wiedzą - Jamie był teraz supergwiazdą z własną siecią restauracji, a Hugh, inny zastępca szefa kuchni, prowadził swój program telewizyjny, nadawany z jego wiejskiego domu w Dorset.

Kiedy Bear zdobył dyplom w dziedzinie nauk przyrodniczych na University College w Londynie, zatrudnił się w restauracji na pełen etat. Jego rodzice uważali, że gotowanie to faza przejściowa i że ich Sigisbert wróci do Francji i zajmie się pracą w laboratorium. Ale kiedy po pięciu latach Bear nadal pracował w Cavolo Nero, zaczęli odkładać pieniądze, by mógł kiedyś mieć własną restaurację. Jego

ojciec znowu znalazł pracę, w nowej firmie farmaceutycznej, która po czterech latach weszła na giełdę. Zbił na tym fortunę.

„I oto jestem tutaj” – pomyślał Bear, patrząc przez okna na ogród na tyłach budynku. Z powrotem w domu, w Aix. Jego rodzice dali mu pieniądze na zakup mieszkania na parterze przy rue Mistral, z dostępem do wspólnego dla wszystkich mieszkańców ogrodu. Mieszkanie powyżej było do wynajęcia, więc zdecydował się na ten krok. W dolnym mieszkaniu, przekształconym w restaurację, urządzono kuchnię z elementami ze stali nierdzewnej. Kuchnia, podobnie jak w Cavolo Nero, otwierała się na salę restauracyjną z dwudziestoma pięcioma miejscami. To było pierwsze tego typu rozwiązanie w Aix. W akcie szaleństwa kupił wysokiej klasy lodówkę na wina marki Liebherr z dwójgiem szklanych drzwi oraz biały marmur karraryjski na blaty kuchenne.

Krzesła nie stanowiły kompletu, ale wszystkie były stare i drewniane, kupione za radą jego matki na garażowych wyprzedażach, na stronie leboncoin.

Ale to dostęp do ogrodu przekonał Beara do tego miejsca. Zielona przestrzeń była niewielka, ale zadbana i właściwie zaaranżowana, mogła pomieścić cztery, pięć stolików i przenośne promienniki na chłodniejsze pory roku. Restauracja z ogrodem. To przypominało mu ogród na zboczu w Cavolo Nero, gdzie Jane i jej asystenci uprawiali zioła, a także ogrody warzywne ciągnące się w dół do Tamizy. Tutaj ogród był płaski i nie sąsiedował z potężną rzeką, ale miał wodę – w siedemnastowiecznej fontannie, wyrzeźbionej przez anonimowego kamieniarza i wpisanej na listę zabytków.

- Twoja kolej na mycie okapu – odezwał się Bear do Floriana. To był jeden z jego pierwszych obowiązków w Cavolo Nero. Szybko zorientował się, że każdego dnia po zamknięciu lokalu pracownicy restauracji na zmianę wspinają się na kuchnię i szorują wnętrze okapu. Dotyczyło to również personelu z sali restauracyjnej oraz Judith i Jane. Florian jęknął, a Mamadou, ich pomywacz, uśmiechnął się szeroko. Czyścił okap dzień wcześniej.

Florian wskoczył na kuchnię, wsadził głowę do wnętrza okapu i zaczął go myć, mówiąc:

- To wisienka na torcie. – Jego głos odbijał się echem od stali. – Kiedy zdecydujesz się zostać kucharzem, wiesz, że jesteś wariatem, tak jak każdy w branży restauracyjnej.

- Mów za siebie – mruknął Bear.

Florian ciągnął dalej:

- Zauważasz to, kiedy wszyscy twoi przyjaciele w weekend dobrze się bawią, a w wakacje podróżują po Europie, podczas gdy ty pracujesz.

Bear skinął głową i dodał:

- Nie zapomnij o wieczorach.

- Możesz się poparzyć, skaleczyć i odmrozić sobie tyłek, wchodząc do chłodni - wyliczał Florian. - Potrzebujesz siły atlety, by nosić stulitrowe garnki z rosółem z połówki krowy, i zręczności baleriny, by poruszać się pomiędzy zapracowanymi współpracownikami w kuchni mniejszej niż ta u twojej mamy.

Bear uśmiechnął się szeroko i mrugnął okiem do Mamadou, który odłożył ręcznik kuchenny i z uwagą słuchał.

- I jaką musisz mieć koordynację - mówił dalej Florian. - Kiedy przygotowujesz ostateczną prezentację talerza, pieprzoną pęsetą układasz płatki kwiatów lub małe kawałki tymianku... I te wszystkie narzędzia, których potrzebujesz - przerwał, by na chwilę wychylić głowę z okapu. - Własny komplet bajecznie drogich japońskich noży, kupiony akurat wtedy, gdy wszyscy twoi kumple kupują samochody czy motory...

- Garnki, patelnie i wymyślne kieliszki - włączył się Mamadou.

- Wytworne włoskie sztucce - odezwał się Bear, bo właśnie takie nabył. - Musisz też borykać się z kredytem hipotecznym, jeżeli jesteś szczęściarzem i kupisz lokal. Masz przy tym nadzieję, że będzie to dobra dzielnica i właściwa, wystarczająco ruchliwa ulica. - Przerwał i pomyślał o swoich obecnych trudnościach z projektem adaptacji tarasu. Wyraz jego twarzy zmienił się. Widząc to, Florian i Mamadou wrócili do pracy.

Bear zdjął fartuch i starannie go złożył, choć wiedział, że fartuch trafi do prania, a on dostanie wieczorem czysty. Wyszedł z kuchni i udał się do pustego teraz ogrodu. Poprzednia właścicielka mieszkania, Béatrice Germain, mieszkała tu sama przez ponad pięćdziesiąt lat. Nigdy nie wyszła za mąż i nie miała dzieci, ale opiekowała się kotami. „Stara, szalona kobieta z kotami” - pomyślał Bear. „Co za banał. Ale niech ją Bóg błogosławi”. Po jej śmierci mieszkanie i ogród zostały bez opieki, podczas gdy siostrzeńcy i siostrzenice zmarłej kłócili się o spadek. Cztery lata później Bear i jego ojciec w końcu podpisali umowę kupna i trzeba było kolejnych

dwóch lat, by wyremontować wnętrze i otrzymać pozwolenie na prowadzenie restauracji w eleganckiej dzielnicy Mazarin. Otwarcie odbyło się w pierwszy weekend września. Z Londynu przyleciała Judith z mężem. Jane, która była w tym czasie w Nowym Jorku – gdzie jej mąż przeprowadził renowację skrzydła muzeum w modnej dzielnicy i właśnie odbywało się uroczyste otwarcie – przysłała dwa tuziny róż i skrzynkę szampana Pol Roger. Tego wieczoru restauracja La Fontaine była całkowicie wypełniona gośćmi i także teraz, po dwóch latach, wciąż nie narzekała na ich brak.

Bear rozejrzał się. Wcześniej szybko oczyścił ogród na otwarcie i od tamtej pory nie miał czasu, żeby się nim zająć. W fontannie bulgotała woda wypływająca z głębokiego podziemnego źródła – była zdarna do picia i bardzo dobra. Niedawno śpiewająco zaliczyła test przeprowadzony przez urzędnika z magistratu.

Mamadou wyszedł i stanął obok Beara. Po kilku chwilach przerwał milczenie:

- Mógłbyś tu uprawiać zioła.

Bear skinął głową i uśmiechnął się.

- To byłoby fantastyczne. Bazylia, rozmaryn, tymianek, oregano, majeranek. Wokół drzewa oliwnego.

- Zanim tu przyjechałem, śniłem o drzewach oliwnych – powiedział Mamadou. Pogrzebał w ziemi swoim znoszonym adidasem. – Ale ta ziemia, szefie, jest do niczego. Zupełnie do niczego. Jest bardziej sucha niż w Togo.

- Wiem – odrzekł Bear. – Muszę przekopać ten ogród i zacząć wszystko od nowa. Nawieźć nowej ziemi i utwardzić to miejsce, gdzie będą stoliki.

- Pomogę panu, szefie – obiecał Mamadou.

- Dziękuję! Oczywiście ci zapłacę – rzekł Bear. – Jeden z naszych gości jest kamieniarzem i zasugerował, byśmy wyłożyli taras kolorowymi cementowymi płytami, które stosowano w XIX wieku. Zaoferował, że zrobi to za kilka darmowych posiłków.

- Transakcja barterowa – skomentował Mamadou.

- Właśnie.

- Ja wolę gotówkę.

Bear roześmiał się i poklepał swojego pracownika po ramieniu. W kwietniowym słońcu blizna Mamadou jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Zazwyczaj Bear nie zwracał na nią uwagi, ale teraz, kiedy Mamadou rozglądał się po dziedzińcu, szef kuchni przyjrzał się jej bliżej. Biegła od kącika prawego oka Mamadou, w dół jego policzka, gdzie skręcała w stronę ucha i wracała, idąc za linią jego szczęki, a w końcu zatrzymując się w kąciku ust. Bear spojrzał na niebo i wyobrażał sobie drzewko oliwne, pokryte setkami kwiatów. Wtem podniesione głosy dochodzące z sali restauracyjnej kazały obu mężczyznom obrócić się do tyłu. Kelner La Fontaine i kierownik sali, Jacques Oller, pospiesznie wszedł do ogrodu.

- O co chodzi? - zapytał Bear, widząc zdenerwowanie na twarzy Ollera.

Gdy Jacques Oller trafił do La Fontaine, miał już za sobą ponad piętnastoletnią karierę w dwugwiazdkowej restauracji w północnej części miasta. Pracując tam, pomógł zmienić to nieznane bistro w elegancką restaurację z gwiazdkami Michelina. Ale tych piętnaście lat odcisnęło się na jego zdrowiu - czekała go operacja biodra, a ponadto pogorszył się jego stan psychiczny, z natury uprzejmy i opanowany, z biegiem lat Oller stał się kłębkim nerwów. Lekarz zalecił mu ubieganie się o rentę lub zatrudnienie się w dużo mniejszym lokalu. Od kolegów usłyszał o Sigisbercie Valetsie i zadzwonił do niego, prosząc o rozmowę. Zawodowa wiedza Ollera okazała się imponująca, w tym znajomość włoskich win, które stały się jego pasją.

- Kieruj się instynktem - poradziła kiedyś Bearowi Jane.

I tak zrobił. Zatrudnił Ollera od razu tamtego dnia i zgodził się, by podobnie jak inni pracownicy miał udział w zyskach.

Bear dostrzegł wysokiego, chudego mężczyznę, w wieku około sześćdziesięciu lat, stojącego w drzwiach restauracji. Oller i Mamadou wyczuli, że coś jest nie tak, i pozostali w ogrodzie, podczas gdy Bear wszedł do środka. Już miał się odezwać, ale mężczyzna był pierwszy.

- Jestem pańskim sąsiadem - rzekł, wyciągając swoją długą, szczupłą rękę. - Thomas Roche.

Bear skinął głową i uściśnął podaną mu dłoń. Jeśli Jane nauczyła go, jak polegać na swoim instynkcie - które zioła najlepiej pasują do makaronów, a które do zup, jak upewnić się, że ryba od sprzedawcy jest świeża: mięso sztywne przy dotknięciu palcem, błyszcząca

i jędrna skóra, nienaruszone łuski, skrzela w głęboko czerwonym kolorze i czyste niezamglone oczy - to Judith przekazała mu biznesową mądrość i pewność siebie. Kiedy wręczył swoją rezygnację w Cavolo Nero, Judith naląła dwa kieliszki swojej ulubionej grappy z Piemontu o smaku rumianku. „Bądź tak miły i kreatywny jak Jane - powiedziała, wychylając grappę. - Ale jeśli zajdzie taka potrzeba, bądź wredny jak ja”.

- Sigisbert Valets - powiedział Bear bez uśmiechu. Zauważył, że Roche lekko zadrżał. Wyrafinowane, średniowieczne imię Beara zazwyczaj zaskakiwało tych, którzy zbyt długo wpatrywali się w tatuaże na jego przedramionach.

- Czy mogę z panem chwilę porozmawiać? - zapytał Roche.

- Zgaduję, w jakiej sprawie pan tu przyszedł - odparł Bear.

- Mam ze sobą petycję - rzekł Roche, poklepując szarą kopertę, którą trzymał w rękach. - Została podpisana już przez siedemdziesiąt osób, a jeszcze nie skończyłem odwiedzin w sąsiedztwie.

- Chodzi o ogród, jak przypuszczam.

- To nie ma nic wspólnego z ogrodem, młody człowieku. Chodzi o taras. Taras ze stolikami na zewnątrz.

- Kiedy otrzymałem pozwolenie na taras - Bear zaakcentował słowo „pozwolenie” tak, jak zrobiłaby to Judith, a potem uśmiechnął się tak jak Jane - obiecałem wspólnocie mieszkańców, że ograniczę liczbę stolików do pięciu i nigdy nie będę odtwarzał tam muzyki. Fontanna stłumi wszelkie hałasy i będziecie słyszeć wyłącznie ludzi, którzy dobrze się bawią, ale w miesiącach letnich do nas wszystkich docierają takie odgłosy z tego dziedzińca. - Gdyby musiał, poruszyłby temat balkonów i tarasów, które zostały zbudowane nielegalnie przez większość właścicieli mieszkań w Mazarin.

- To kopia petycji dla pana - powiedział Roche. Wyjął kilka kartek z koperty i wręczył je Bearowi, ale kopertę zatrzymał dla siebie.

Bear się uśmiechnął.

- W przyszłym tygodniu spotykam się z Towarzystwem Historycznym w Aix. Ta fontanna - rzekł Roche, wyciągając rękę - jest wpisana...

- Wiem - przerwał mu Bear. - Jestem z tego bardzo dumny. Ale

teraz muszę się przygotować do kolacji. Do widzenia, M. Roche. -
Skierował dłoń ku sali restauracyjnej, wskazując sąsiadowi drogę do wyjścia.

Roche wyszedł, machając do Beara ręką.

Bear włączył ekspres do espresso i usiadł przy jednym z małych stolików o marmurowych blatach. Oparł głowę na dłoniach. Co zrobią Roche i jego poplecznicy? W ramach protestu usiądą przed wejściem do restauracji? Być może. To przecież Francja.

5

L'anchoïade

Gaëlle zamknęła sklep o dziewiętnastej i szybko przeszła przez Cours Mirabeau. Po południu miała dwie klientki. Pierwsza z nich, bardzo miła niemiecka turystka, zakochała się w rzadkim, jasnożółtym komplecie porcelany, ale w żaden sposób nie mogła zabrać go do domu Ryanairem. Druga była studentką z Paryża – tego ranka długo zastanawiała się nad zakupem małego, lnianego obrusa i ostatecznie wróciła po niego po południu. Gaëlle z miejsca polubiła tę dziewczynę i zaproponowała jej dziesięcioprocentowy rabat.

- To takie miłe - ucieszyła się dziewczyna. - Każdy mały gest ma znaczenie!

- Właśnie - przytaknęła Gaëlle. - Co pani studiuje?

- Historię sztuki na Sorbonie.

- W takim razie dam pani dwadzieścia procent - oznajmiła Gaëlle. Następną myśl zachowała dla siebie: „Trafiłaś na prawdziwą bizneswoman”.

Była wzruszona, kiedy dziewczyna obiecała, że w swoim paryskim studio zrobi zdjęcia obrusa i przyśle je e-mailem. To był jeden z powodów, dla których zajęła się antykami: oczywiście czuła głęboki szacunek do *le patrimoine* i miała rozległą wiedzę historyczną, ale pociągała ją także idea wymieniania się przedmiotami, dawania im nowych domów, nowego życia.

Spojrzała na zegarek i ruszyła pospiesznie dalej, zatrzymując się tylko na chwilę, by przywitać się z przyjaciółmi, którzy pili aperitif na tarasie Le Mazarin. Troje spośród nich obdarzyła *bise*, usprawiedliwiając się, że nie może zostać.

Kiedy żegnając się z nimi, zawołała „*À bientôt*”, prawie wpadła na Antoine'a Verlaque'a, który wychodził z małego sklepu tytoniowego przy rue Clemenceau.

- *Bonsoir, M. Verlaque* - rzekła, wyciągając szyję do *bise*.

Verlaque pocałował ją w oba policzki.

- Dobry wieczór. Proszę zwracać się do mnie Antoine.

- Mów mi Gaëlle, proszę - odparła. - Bardzo dziękuję za wczorajszy wieczór. Cudownie było lepiej was poznać, a jedzenie i wino były doskonałe.

- Przekażę to Marine.

- Napisałam jej dzisiaj rano esemesa - powiedziała. - Wiem, że teraz prowadzi zajęcia, więc nie chciałam dzwonić.

Verlaque uśmiechnął się i skinął głową. „Oto zachowanie z klasą” - pomyślał. „Nie takie jak Thomasa Roche, który sam sobie nalewał wina, albo jego żony rasistki «*elle était impeccable!*»” Jakby chcąc wytłumaczyć się przed nią z zachowania swoich sąsiadów, powiedział:

- Mamy nadzieję wkrótce powtórzyć ten wieczór, z naszymi sąsiadami z drugiego piętra. Oni nie są...

- Rasistowskimi dupkami? - dopowiedziała Gaëlle.

Verlaque roześmiał się, a Gaëlle zakryła usta.

- Mam trochę niewyparzony język. Przepraszam. To był cudowny wieczór. Powiedz Marine, że była bardzo dzielna, obierając te wszystkie karczochy! Mnie przerażają nawet po trzydziestu latach w Prowansji.

Verlaque uśmiechnął się ponownie.

- Na pewno jej to powiem.

Gaëlle poklepała go po ramieniu i wskazała na swój zegarek.

- Za pięć minut mam spotkanie. Muszę bieć.

Verlaque zasalutował i pożegnał się, po czym wyjął z kieszeni marynarki obcinarkę do cygar i przyciął końcówkę cygara. Ruszył przed siebie, myśląc o kolacji, którą obiecał przygotować dla Marine. Zamierzał skorzystać z ulubionego „oszukańczego przepisu” Emmeline - jego angielskiej babci - w którym wykorzystywała ona resztki baraniny i ziemniaków i dodawała pastę pomidorową, wodę oraz kilka łyżek pasty Patak's Vindaloo, przywożonej przez nią z Londynu. Verlaque nie znosił globalizacji,

szczególnie w Europie, w zakresie jedzenia i wina, ale w skrytości ducha poczuł ulgę, kiedy znalazł słoik Patak's w sekcji *cuisine du monde* w Monoprixie. Kupił też grand cru gewurztraminer z Alzacji, by pasował do curry, mając nadzieję, że słodczyz wina będzie współgrała z przyprawami.

Gaëlle Dreyfus obróciła się, by spojrzeć na sędziego, i uśmiechnęła się, widząc, jak rusza naprzód z cygarem w jednej ręce i różową plastikową torbą z Monoprixu w drugiej. „Życie w małżeństwie” – zamyśliła się. „Gotuje obiad albo przynajmniej robi zakupy”. Poprzedniego wieczoru Antoine Verlaque zrobił na niej wielkie wrażenie, a dzisiaj polubiła go jeszcze bardziej. Wspólni znajomi surowo go oceniali, nazywali paryskim snobem, hedonistą i kobieciarzem. Opowiadali o rodzinnym majątku zrobionym na mące, ale jej Verlaque wcale nie wydawał się zadufany w sobie. Być może kiedyś taki był i zmienił się pod wpływem Marine. To całkiem prawdopodobne.

Podążała dalej w górę rue Clemenceau, starając się nie patrzeć na wystawy sklepowe. Zbliżały się lipcowe wyprzedaże, ale postanowiła, że mimo rabatów nie będzie w tym sezonie kupować ubrań. Zawsze miała słabość do butów i torebek, ale posiadała wystarczająco dużo i jednych, i drugich. Pięć minut później dotarła do rue Granet, ulicy, którą zawsze lubiła, bo nie było na niej żadnych restauracji i barów, tylko małe prywatne sklepiki, takie jak jej własny. Zadzwoiła pod numer czternaście i usłyszała: „Montez!”, po czym rozległo się kliknięcie i czerwone frontowe drzwi otworzyły się. Zmieniali miejsca spotkań i dziś wieczorem było to mieszkanie Anthony'ego Sauze'a, profesora historii na uniwersytecie. Sauze był wysoki, szczupły i kościsty, miał charakterystyczne cienkie czarne wąsy, kozią bródkę, a na oczach lenonki. Profesor pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Historycznego w Aix. Chociaż Gaëlle od ponad roku zasiadała w radzie towarzystwa, Sauze był tak skryty, że nie miała pojęcia, czy był żonaty, czy rozwiedziony, czy był gejem, czy też zdeklarowanym kawalerem. Weszła na drugie piętro, drzwi do mieszkania Sauze'a otworzyły się i właśnie miała powiedzieć „Cześć, Anthony”, kiedy ujrzała przed sobą sekretarza towarzystwa, Roberta San Martina. Mężczyzna złożył *bise* na jej policzku, w jego oddechu wyczuła czosnek.

- Anthony jest w kuchni - oznajmił, strzepując okruszki z pogniecionej, kiedyś zapewne białej koszuli, która z wiekiem przybrała szary odcień. - Zrobił to swoje boskie *anchoïade*.

Gaëlle skinęła głową. Nie znosiła anchois. Weszła do pokoju dziennego, który równie dobrze mógłby stanowić foyer w hotelu dla ludzi biznesu, tak bardzo brakowało mu charakteru. Choć podstawowe elementy były dobrej jakości, co Gaëlle zauważyła ze smutkiem: wysoki sufit, rzeźbione gzymsy i – co rzadkie w Aix – drewniane podłogi. Jednak na ścianach wisiały zaledwie odbitki starych sztychów, i to oprawione w tanie ramki, a nieciekawe meble pochodziły z katalogu, najprawdopodobniej Camif, z którego często korzystali francuscy urzędnicy. Robert San Martin szybko usiadł i zanurzył kawałek bagietki w zachwalanym przez siebie *anchoïade* Anthony'ego. Bénédicte Tivolle, sąsiadka Gaëlle z Mazarin, spojrzała znad miseczki oliwek, z której wykałaczką wyławiała spomiędzy czarnych owoców te zielone. Bénédicte uczyła filozofii w liceum Vauvenargues.

- Och, Gaëlle, dobry wieczór. Za *anchoïade* Anthony'ego można dać się pokroić.

- Tak słyszałam – odparła Gaëlle. - Anthony, czy zamierzasz spędzić w kuchni cały wieczór? - zawołała.

Zawsze trudno było skłonić pozostałych członków zarządu, by wreszcie zaczęli spotkanie.

- Zaraz idę – odkrzyknął Sauze. Usłyszała wyskakujący z butelki korek i odchyliła się na winylowym krześle, zadowolona, że przynajmniej będzie wino. Sauze wyszedł z kuchni w plastikowym fartuchu z nadrukiem *Dawida* Michała Anioła. Gaëlle roześmiała się w głos.

- Ludzie wciąż kupują takie rzeczy we Florencji? - zapytała.

Sauze podał butelkę wina San Martinowi i spojrzał na swój fartuch.

- Sprezentowali mi go studenci.

- Och, przepraszam, Anthony - wymamrotała Gaëlle.

Ale Sauze, niezrażony, mówił dalej:

- I pamiętam, że nie przepadasz za anchois, Gaëlle, więc mam dla ciebie trochę salami. Zaraz wracam.

- Pójdę ci pomóc, bo trzeba już dołożyć *anchoïade* - odezwała się Bénédicte, wpatrując się w San Martina.

Gaëlle wbiła się w krzesło i obserwowała, jak San Martin napełnia kieliszki po brzegi. Otworzyła usta, by zasugerować mu, aby

napełniał je tylko w trzech czwartych, ale po swoim komentarzu na temat fartucha postanowiła to przemilczeć. Bénédicte i Sauze wyszli z kuchni, niosąc nowe półmiski z potrawami, postawili je na stoliku do kawy. Gaëlle poczuła ulgę, gdy Sauze zaproponował, żeby rozpoczęli obrady od razu, w czasie jedzenia, bo chciał wcześniej skończyć.

- Jakaś gorąca randka, Anthony? - zapytał San Martin, odkrawając kolejny kawałek chleba.

- Dziś wieczorem na Arte jest specjalny program o zimnej wojnie - odparł Sauze i wyglądał na równie zasmuconego, jak wtedy, gdy Gaëlle skrytykowała jego fartuch.

Pochyliła się do przodu i zaklaskała w dłonie.

- Dobrze więc, zaczynamy. Prezes się wypowiedział.

Robert San Martin pogrzebał w swojej torbie i wyciągnął długopis i notatnik, na którym Gaëlle dostrzegła fotografię clowna puszczającego bańki. Przetarła oczy i westchnęła.

Sauze zakasłał, jak zawsze, gdy rozpoczynał zgromadzenie.

- Spotkanie Towarzystwa Historycznego w Aix uważam za otwarte. Nasz pierwszy temat to zakład fryzjerski przy rue Espariat - powiedział Sauze. - Właśnie się dowiedziałem, że w wyniku naszych skarg i dzięki wspaniałym zdjęciom Bénédicte właścicielka została zobligowana przez miasto do zmiany witryny sklepowej.

Cała grupa wyraziła aplauz.

- Powinna też zmienić nazwę - zauważyła Bénédicte. - *Epi-tête! C'est horrible!*

- Tak - zgodził się Sauze, pociągając za swoją kocią bródkę. - Człowiek się zastanawia, kto chce obciąć włosy w miejscu o nazwie Nastrozona Głowa.

- W każdym razie witryna w kolorze rózu, który kojarzy się z gumą do żucia, nie ma racji bytu przy rue Espariat - rzekła Gaëlle. - Zwłaszcza w sąsiedztwie średniowiecznego kościoła.

- Ustalono. Numer dwa - restauracja przy rue Mistral. - Sauze spojrzał na Bénédicte i Gaëlle, które mieszkały nieopodal lokalu.

- Zaczę od tego - odezwała się Bénédicte - że szef kuchni, który pochodzi z Aix, jest bardzo miłym człowiekiem. A wszyscy wiemy,

jak trudno obecnie prowadzić mały biznes.

- Zgadzam się - przytaknęła Gaëlle. Próbowała się uśmiechnąć, ale czuła się zdominowana przez troje pracowników budżetówki (Robert San Martin, choć był głupkiem, zajmował zbyt wysokie stanowisko w Canal de Provence, by kiedykolwiek mógł je utracić).

- Ale nie można pozwolić restauratorowi na ustawienie w Mazarin kilku stolików na zewnątrz - mówiła dalej Bénédicte.

- Restauracje po tej stronie miasta mają zewnętrzne ogródki - przypomniał jej Sauze.

Eleganckie Cours Mirabeau dzieliło Aix-en-Provence na dwie części. Na północy znajdowało się *vieille ville*, którego kręte wąskie uliczki zdradzały średniowieczny rodowód. Na południu rozciągało się *ville neuve*, czy też nowe miasto - Le Mazarin - wzniesione na siatce z XVII i XVIII wieku. Już wtedy Mazarin było drogim miejscem do życia i z biegiem lat nic się w tej kwestii nie zmieniło. Sauze, nie chcąc urazić pozostałych członków zarządu, dodał:

- Ale rozumiem, ta okolica musi być chroniona. To powinno się zacząć tutaj już wiele lat temu.

Bénédicte podniosła palec wskazujący.

- Jest więcej powodów, by nie naruszać tego ogrodu.

- Poza tym, że ty i Gaëlle z niego korzystacie - wtrącił San Martin, wycierając usta wierzchem dłoni.

Gaëlle już miała stanąć w obronie siebie i swojej sąsiadki, gdy zobaczyła wyraz zatroskania na twarzy mężczyzny - jego komentarz nie był krytyczny.

- *Oui* - powiedziała Bénédicte, sznurując usta i kiwając głową tak, jak zwykła to robić, gdy tłumaczyła studentom jakąś filozoficzną ideę. - *La fontaine*.

- Samo źródło płynęło tutaj już w starożytności - przypomniała Gaëlle. - I fontanna jest wpisana na listę zabytków. Wykonał ją anonimowy rzeźbiarz w 1664 roku. Stała w tym miejscu dla upamiętnienia egzekucji - powieszenia miejscowego chłopca.

- Kiedy to się stało? - zapytał San Martin.

- W 1660 - odparła Gaëlle. - W tym samym roku, w którym do miasta wjechał Ludwik XIV.

- Ach, Król Słońce - wtrącił się Sauze. - Był wtedy młodym człowiekiem i przybył do Prowansji, by ostudzić protesty przeciwko monarchii.

- Przyjechał siedemnastego stycznia - dodała Gaëlle.

- Brawo, Gaëlle - odezwała się Bénédicte, puszczając do niej oko.

- To dzień moich urodzin - wyjaśniła.

- Wiedziałam, że jesteś Koziorożcem - oznajmiła Bénédicte, kiwając palcem w stronę Gaëlle.

Sauze zakasłał.

- A wracając do XVII wieku. Ludwik spędził w Aix dwa miesiące. To była sroga zima, Rodan zamarzł w Arles...

- Mogę to potwierdzić - rzekł San Martin, krztusząc się lekko tapenadą, którą zjadł zbyt szybko.

Sauze skrzywił się i mówił dalej.

- Ludwik każdego ranka dokonywał przeglądu swoich oddziałów, potem szedł na mszę, a po południu polował. Pierwsze kroki wielkiego króla.

Gaëlle roześmiała się.

- Nie posuwałabym się w ocenach tak daleko. Później doprowadził do tego, że szkatuły państwowe świeciły pustkami. Poza tym to nie była zupełnie radosna wizyta. Doszło do powieszenia...

- Och, chłopca, który nie chciał śpiewać „*Vive le Roi!*”, kiedy Ludwik wjechał do miasta - wtrącił Sauze.

- On się jakoś nazywał - zauważyła Gaëlle łamiącym się głosem. - Valère Maurin. Miał dwadzieścia trzy lata.

- Teraz sobie przypominam... - odezwał się San Martin. - Został zabity w waszym ogrodzie. - Spojrzał na Bénédicte, a potem na Gaëlle.

- To prawda. Zamierzam wykorzystać tę historię podczas moich pieszych wycieczek po mieście - oznajmiła ta druga.

- Nie możesz wprowadzać grup ludzi do ogrodu - zaprotestowała prędko Bénédicte.

- Nie rozumiem, jaki problem... - zaczęła Gaëlle, ale przerwał jej

Sauze:

- Zawsze możesz zatrzymać się przy swoim sklepie i tam opowiedzieć turystom o zamordowaniu Maurina.
- W ten sposób będziesz mogła sprzedać więcej antyków! - stwierdził San Martin i ukroił sobie gruby plaster salami.
- Dziękuję za sugestię, Robercie - odrzekła Gaëlle.

Sauze roześmiał się, a San Martin spojrział na niego z zakłopotaniem. Pochylił się do przodu i zapytał:

- A klątwa? Czy rzeczywiście istnieje?
- Béatrice Germain, ta starsza pani, która mieszkała w miejscu obecnej restauracji, opowiedziała mi wiele historii, przekazanych jej przez dziadków, którzy byli pierwszymi właścicielami domu - odezwała się Gaëlle. - Valère Maurin został powieszony na więzie, który obumarł natychmiast po śmierci mężczyzny i od tamtej pory nic w tym miejscu nie wyrosło. Zły los wydawał się dotyczyć wszystkich tych, którzy tu mieszkali, oraz tych, którzy próbowali coś uprawiać w tej części ogrodu. Jej rodzice zamierzali tam urządzić ogródek warzywny.
- Co się z nimi stało? - zapytał San Martin.

Sauze wznosił oczy do nieba.

- Każde z nich dożyło siedemdziesięciu kilku lat - odparła Gaëlle - ale stracili dwóch synów podczas drugiej wojny światowej. Synowie należeli do *résistance* i zostali rozstrzelani przez gestapo w tym ogrodzie.
- Och, stąd tablica pamiątkowa przy rue Mistral... - domyślił się Sauze.
- Tak, to na ich cześć. A Béatrice urodziła martwe niemowlę. Jej jedyne dziecko. Kilka miesięcy później jej mąż wyszedł z domu. Nigdy nie dowiedziała się, co się z nim stało.
- To wyjaśnia wszystkie te koty. - San Martin powoli postawił swój kieliszek na stoliku do kawy. - Jaka smutna historia - zamyślił się.
- Niektóre rodziny są przeklęte... - zauważył Sauze.
- Nie tylko ich rodzina miała takiego pecha - mówiła dalej Gaëlle. - Co pięćdziesiąt lat wydarzała się jakaś tragedia, a tuż przed nią... - zrobiła przerwę i pokręciła kieliszkiem - ...pojawiało się

ostrzeżenie.

San Martin szerzej otworzył oczy.

- Źródło wysychało - wyjaśniła Bénédicte.

6

Lunch w La Fontaine

Następnego ranka Bear Valets leżał w łóżku i planował specjalności dnia. Z boku stało świeżo zaparzone cappuccino. Tak wyglądał jego codzienny rytuał - oczami wyobraźni widział gotową listę i notował ją na pierwszym lepszym kawałku papieru, jaki udało mu się znaleźć. Kuchnia w jego restauracji była niewielka w porównaniu z tą w Cavolo Nero i nigdy nie miał tylu resztek produktów, żeby je wykorzystać w nowych daniach. Ale i tak bardzo uważał na swoje zaopatrzenie, nie chciał niczego marnować. Lista wyglądała następująco: *mesclun*, marchewka, cebula, czosnek i ziemniaki przywożone z organicznej farmy, mięso i kości od rzeźnika, który dwa razy w tygodniu przyjeżdżał z Drôme, owoce morza dostarczane z Bandol przez rybaka, który nie znosił jeździć samochodem do Aix i stale na to narzekał. Wyroby mleczarskie dojeżdżały razem z warzywami - teściowie farmerki posiadali gospodarstwo mleczne w Savoie, i wreszcie różne składniki suche, w tym suszony makaron premium z Włoch, ryż arborio, organiczna polenta i skrzynki toskańskiej oliwy z oliwek. Jeśli czegoś jeszcze brakowało, czy też przyszło mu do głowy w ostatniej chwili, kupował to na rynku. Czasem myślał, że tak naprawdę spędzał więcej czasu na przygotowaniu listy niż na gotowaniu.

Zarówno Florian, jak i Mamadou mieli klucze do restauracji i słyszał ich teraz, jak krążą na dole - najprawdopodobniej kłócili się o muzykę, która ma lecieć z taniego radiomagnetofonu w kuchni. Wszedł spod kołdry i powłókł się pod prysznic. Nie każdy szef kuchni potrafiłby mieszkać nad swoją restauracją, ale jego trzymało to przy zdrowych zmysłach. Wykończony napływem gości w czasie lunchu, wdrapywał się po schodach, brał prysznic i padał na łóżko. Budził się w porze kolacji, by zaczynać wszystko od początku. Florian i Jacques Oller mieli kawalerki w centrum, niedaleko Place des Cardeurs, ale ze wstydem skonstatował, że nie wie, gdzie mieszka Mamadou. Czy jego pomywacz szedł do domu w trakcie popołudniowej przerwy, czy też miał za daleko? Czy spacerował ulicami Aix, by wreszcie położyć się w Parc Jourdan? Bear nie miał

pojęcia.

Kiedy się ubrał, powoli zszedł na dół, poirytowany tym, że nie może zatkać uszu, bo w jednej ręce trzyma kawę, a w drugiej listę produktów.

- Florian, ścisz tę muzykę.

Florian spojrział na swojego szefa z drugiej strony pomieszczenia i wzruszył ramionami.

- Nie słyszę cię!

Bear roześmiał się i wyjrzał przez tylne okno sali restauracyjnej. Widział Mamadou, który siedział na skraju fontanny, mył pory i rozmawiał sam ze sobą. Mamadou przyszedł z ulicy, kiedy La Fontaine się otworzyła, i z miejsca został zatrudniony. Był pełen entuzjazmu i gdy padło pytanie, czy interesuje go jedzenie i gotowanie, jego oczy rozbłysły. Szczegółowo opisał posiłki, jakie przygotowywał z mamą w wolne dni i święta w Togo. Kilka dni później, kiedy rozmawiali w spokojnych godzinach po lunchu, Bear wspomniał, że Mamadou musi strasznie tęsknić za rodziną. Mówiąc to, myślał o tym, co jego rodzina zrobiła dla niego, i o tym, że mieszkała w tym samym mieście. Afrykanin tylko skinął głową i odwrócił się do niego plecami, biorąc do umycia garnek po makaronie. Od tamtej pory nie rozmawiali na ten temat.

- Twoja muzyka jest tak głośna, że nawet nasza zmywarka się boi - powiedział Bear do Floriana.

Postawił swoją filiżankę z kawą na kuchennym blacie ze stali nierdzewnej i sięgając w stronę Floriana, ściszył muzykę.

- Nie doceniasz grunge'u z początku lat dziewięćdziesiątych - narzekał Florian.

- Nie - odparł Bear z uśmiechem. - Ale doceniam, że stawiasz się tutaj punktualnie każdego ranka i nigdy nie narzekasz, że w kółko wykonujesz tę samą pracę.

Florian zasalutował szefowi.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. A przy okazji, dziś rano przejrzałem lodówkę i zostało z wczoraj wystarczająco dużo dorsza, by przygotować na lunch specjalność zakładu.

- Wielkie umysły myślą podobnie. Zróbmy dorsza w sosie curry.

Florian uniósł brwi.

- Nawet Włosi kochają curry - rzekł Bear. - Dodam trochę szafranu, tak jak oni. To będzie jednodaniowy posiłek, podawany z ryżem basmati. Co z dostawą szparagów?

- Wszystko zużyliśmy wczoraj.

- Trzeba iść na rynek i kupić więcej.

- Czy nie potrzebujemy trochę świeżej kolendry? Do curry? - zapytał Florian.

- Rzeczywiście - potwierdził Bear.

Otworzyły się drzwi od zaplecza i wszedł Mamadou z durszlakiem w ręku.

- Pory są pokrojone i umyte w świeżej źródlanej wodzie! - oznajmił, przechylając durszlak tak, by szef mógł sprawdzić.

- Dzięki - powiedział Bear. - Teraz musimy umyć małe i szpinak, pokroić pomidory w kostkę i pokruszyć ziarenka pieprzu...

- Zacznę od mały - zdecydował Florian, poprawiając fartuch.

- A co ja mam robić, szefie?

- Może pójdziesz na rynek?

Mamadou szeroko się uśmiechnął.

- Wystarczy, że dasz mi listę!

Bear powiedział mu, co trzeba kupić, wręczył dużą skrzynkę i wyjął trochę pieniędzy z tylnej kieszeni.

- Tylko na pewno idź do Mme Martin! - krzyknął Bear, kiedy Mamadou wybiegał przez frontowe drzwi. - Postaraj się jak najwięcej kupić właśnie u niej!

Mamadou wrócił po niecałej godzinie.

- Mam świetny pomysł, szefie. Umieścimy nazwę restauracji na skrzynce. Darmowa reklama!

- Ludzie widzieliby też, że kupujemy świeże produkty - dodał Florian, trzymając w ręce duży tasak do mięsa. Mamadou cofnął się o krok.

- Florian - rzekł Bear, wskazując na tasak. - Kilka razy już cię ostrzegałem. Uważaj. Zobaczmy, jak sobie poradziłeś, Mamadou. - Zajrzał do skrzynki, wyciągnął pęk świeżej kolendry i powąchał. - Doskonala.

- I za darmo - oznajmił Mamadou. - U Mme Martin już jej nie było, ale znalazłem jeszcze trochę u tej młodej pary naprzeciwko.

- Ci młodzi z organicznego gospodarstwa w Pertuis?

- Tak - potwierdził Mamadou. - Od nich kupiłem też miętę i truskawki. Mme Martin wcześniej miała truskawki, ale kiedy tam dotarłem, już je wyprzedala.

- Do diabła! - zawołał Bear. - Ale dobrze zrobiłeś, że kupiłeś u nich. - Wyjął owoce, spróbował jednego, a drugi wręczył Florianowi.

- Róże - powiedział Florian.

Bear zamknął oczy i przełknął.

- Zgadza się, smakują bardziej jak kwiaty niż owoce. Tak właśnie powinno być.

- Na rynku też najpierw spróbowałem, żeby się upewnić - odezwał się Mamadou. - Podasz je z chantilly?

Florian roześmiał się.

- Szybko się uczy. - Wskazał na pomywacza.

- Tak, potrzebują tylko nieco chantilly i trochę lodów, które zrobię, wykorzystując tokańskie wino santo - odrzekł Bear. - Możesz pomóc mi przy lodach, Mamadou. Przynieś z lodówki dwanaście jaj i kremówkę.

- I butelkę twojego najlepszego santo? - zapytał Mamadou.

- Dwie butelki.

* * *

Marine przyszła do restauracji pięć minut przed czasem. Zarezerwowano dla niej stolik pod oknem - jej ulubione miejsce. Czekaając na Sylvie, zamówiła dużą butelkę wody gazowanej. Ze swojego miejsca widziała ludzi przechodzących ulicą, ale także otwartą kuchnię, a przez drzwi na zapleczu również dziedziniec. Schyliła głowę prawie do poziomu blatu i poprzez ogród dostrzegła

swój balkon.

- Czy wszystko dobrze, *madame*? - zapytał Jacques Oller. Stał obok niej i otwierał dużą butelkę San Pellegrino.

Marine szybko podniosła głowę.

- Tak - odparła, śmiejąc się. - Widzę stąd moje mieszkanie.

- Więc nie ma pani daleko - zauważył Oller.

- Nie - zgodziła się. - Mniej więcej dwie minuty pieszo.

Oller nalał jej wody i odszedł. Słyszac głuchy dźwięk, Marine spojrzała w górę. Sylvie właśnie rzuciła na stół swoją ogromną, włoską torbę.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, składając *bise* na policzku przyjaciółki.

- Chcesz trochę wody? - zapytała Marine, unosząc butelkę.

- Tak, poproszę. Czy już zamówiłaś?

- Nie, oczywiście, że nie. Dwie specjalności dnia to dorsz i kotlety z baraniny ze świeżą miętą.

Sylvie próbowała przeczytać menu z tablicy zawieszanej na ścianie.

- I to, i to brzmi bardzo dobrze.

- Też tak sędzę - odparła Marine, marszcząc brwi.

- Coś nie tak?

- Wczoraj na kolację jadłam baraninę w sosie curry.

Sylvie roześmiała się.

- *Pas de chance!*

- Specjalny przepis Antoine'a z wykorzystaniem resztek mięsa.

- I jak życie w małżeństwie? - zapytała Sylvie. - Antoine wydaje się przeschęśliwy.

- Bo jest. Oboje jesteśmy.

Jacques Oller wrócił, by przyjąć zamówienie.

- Wezmę dorsza - zdecydowała Sylvie, zakładając ręce i odchylając

się do tyłu.

- Poproszę to samo.

- Białe wino? - zaproponowała Sylvie, mrugając okiem.

- Masz zajęcia dziś wieczorem?

- Żadnych. Skończyłam na dziś. Rano miałam trzygodzinne zajęcia z fotografii.

Marine przygryzła górną wargę.

- Dobrze, napijmy się wina. Nie widziałyśmy się od wesela.

- Przyniosę paniom listę win - rzekł Oller. - Choć mogę od razu powiedzieć, że naszym winem tygodnia jest chardonnay z gór Górnej Adygi. Będzie idealne do curry z dorsza.

- Świetnie - rzekła Sylvie, patrząc przez stół na przyjaciółkę.

- Brzmi doskonale.

Oller uśmiechnął się i odszedł.

- Potrzebowaliśmy takiej restauracji w Aix - stwierdziła Sylvie. Rozejrzała się dookoła i wbiła wykałaczkę w oliwkę. - Jest elegancka, ale nie snobistyczna.

- I inna od tych modnych teraz lokali z puszczaną przez głośniki muzyką house. Z całym wystrojem w szarościach. To chyba ostatni krzyk mody.

- Gdzie kelnerzy związują włosy w kucyki i noszą naszyjniki - dodała Sylvie, wzdrygając się.

Oller pojawił się ponownie z wiaderkiem z lodem, winem i dwoma wysokimi delikatnymi kieliszkami. Marine z ożywieniem pochyliła się do przodu, kiedy otwierał butelkę.

- Czy pani spróbuje, *madame*? - zapytał ją kelner.

- Tak, proszę.

Sylvie uśmiechnęła się, patrząc na przyjaciółkę, która, jeśli chodzi o wina, w ciągu roku zmieniała się z neofitki w nieomal koneserkę.

- Jest wyborne - stwierdziła Marine, odstawiając kieliszek.

Oller uśmiechnął się i rozlał trunek.

- Jeśli będą panie czegokolwiek potrzebowały, proszę dać znać - powiedziała, zanim odszedł i zajął się innymi stolikami w lokalu pełnym ludzi czekających na lunch.

Marine wyjęła z torebki swój telefon i sfotografowała etykietę na butelce.

- Alois Lageder - zastanawiała się, obracając butelkę. - Germańskie nazwisko.

- Górna Adyga znajduje się na granicy Włoch i Austrii - powiedziała Sylvie, upijając łyk wina. - Mam kolegę, którego rodzice wychowywali się tam podczas wojny. Byli Włochami i raz w tygodniu szli na austriacką stronę góry, by wymienić swoje wino na mleko i śmietanę.

- *Dźwięki muzyki* - zauważyła Marine.

- Tak, z nazistami i tym wszystkim.

Marine roześmiała się i podniosła kieliszek.

- Za życie w czasach pokoju. Przynajmniej u nas. W tylu innych krajach wojna jest częścią codziennego życia. Dziś rano kolejna łódź pełna Afrykanów została uratowana przez Włochów. Było tam ponad czterystu uchodźców... Przerażonych...

- Twoi sąsiedzi Roche'owie czekaliby na brzegu morza i używali długich tyczek, by zawracać te łodzie. Wyobrażam to sobie.

Marine ukryła twarz w dłoniach.

- Nie przypominaj mi o nich - poprosiła. - Tamten wieczór to kompletna porażka.

- Och, dobrze jest czasem spotykać się z odmiennymi ludźmi - zauważyła Sylvie. - Zaproś kilku rasistów na kolację i zobaczysz, co się będzie działo.

- O wilku mowa - rzekła Marine, wbijając się głębiej w krzesło. - W stronę restauracji idzie M. Roche. Z jakimś facetem, który wygląda na wojskowego. Nigdy nie lubiłam fryzury na jeża.

- Ale Roche nienawidzi tego miejsca - zdziwiła się Sylvie i obróciła się, by wyjrzeć przez okno. - Może zamierza pomalować sprayem drzwi wejściowe.

- O nie! Wchodzi do środka.

Sylvie spojrzała na Marine.

- Udawaj, że go nie widzisz.

Thomas Roche i trochę młodszy od niego znajomy szli prosto do kuchni, gdzie, jak zauważyły przyjaciółki, Bear Valets właśnie pochylał się nad kuchenką.

- M. Valets! - zagrział Roche. - Mam coś dla pana!

Jacques Oller natychmiast stawił się u boku szefa.

- W czym mogę pomóc, sir?

Roche zbył kelnera machnięciem ręki.

- Chcemy rozmawiać z tym wybitnym szefem kuchni!

- Co za dupek - szepnęła Marine.

Bear podniósł wzrok i odłożył drewnianą łyżkę.

Roche mówił dalej, nie czekając, aż szef kuchni stanie obok niego.

- Mam tutaj w ręku petycję podpisaną przez ponad dwieście osób!

Marine spojrzała na Sylvie, zdumiona.

- Jak zdobył dwieście podpisów? Ja nie podpisałam, Antoine też nie.

Bear skinął głową i właśnie miał podnieść petycję z baru, kiedy podszedł Mamadou, obracając w rękach ręcznik kuchenny.

- Jakiś problem, szefie?

Roche zobaczył prawie dwumetrowego Afrykanina i cofnął się o krok. A jego kumpel drżącą ręką wskazał na pomywacza, zakręcił się na pięcie i prawie biegiem ruszył do drzwi wejściowych. Roche został sam.

- Proszę uważnie przyjrzeć się petycji - powiedział Roche, powoli wycofując się w kierunku drzwi. Dla lepszego efektu podniósł palec do góry. - To nie koniec! Na pewno tu wrócę! - Obrócił się, z pewnym trudem otworzył drzwi i wyszedł.

- *I'll be back!* - krzyknął Florian z kuchni, imitując głos Arnolda Schwarzeneggera.

Sylvie i Marine wybuchnęły śmiechem, podobnie jak część pozostałych gości.

Marine odłożyła serwetkę, wstała i podeszła do baru.

- Czy dobrze się pan czuje? - zapytała Beara.

Ten uśmiechnął się i skinął głową.

- Dziękuję. Przepraszam, ale zapomniałem, jak się pani nazywa.

- Marine. - Kobieta wyciągnęła rękę. - Marine Bonnet.

- Dzięki - powiedział Bear, ściskając jej dłoń. - Wszystko w porządku. M. Roche był tu wcześniej i ostrzegł mnie, że jeszcze wróci. Poznaje też jego towarzysza, mieszka tuż za rogiem. Jednak nie spodziewałem się awantury w porze lunchu. - Odwrócił się do Mamadou i rzekł: - Naprawdę ich przestraszyłeś.

Ale Mamadou zniknął. Wrócił już do zlewozmywaka, małego pomieszczenia przy otwartej kuchni. Z uwagą mył garnki i patelnie.

7

Rzut kostką

Marine i Verlaque umówili się na spotkanie w jego mieszkaniu, za rogiem od katedry Saint-Sauveur. Kiedy o wpół do szóstej skończyła zajęcia, zadzwoniła do męża i zaproponowała, że zatrzyma się u rzeźnika na rue d'Italie i kupi steki z polędwicy wołowej na kolację.

- Brzmi świetnie - odparł. - Tylko upewnij się, by ukroił ładny gruby stek, a my się nim podzielimy. To lepsze niż dwa cienkie. Zjemy u mnie, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Marine uśmiechnęła się.

- Wiesz, ja też mam płytę kuchenną.

- Wiem. Ale ja mam piwniczkę na wino. A taki stek wymaga grand cru.

- Burgund? - zapytała, idąc przez Parc Jourdan drogą z uniwersytetu do domu.

- Właśnie. Mam jedną butelkę z wioski na południe od Beaune, nie tak kosztowną jak côte du beaune czy côte de nuits. W tej wiosce uprawia się głównie grona pinot noir, a w sąsiednich miejscowościach, oddalonych zaledwie o jakieś trzy kilometry, głównie białe...

Marine uśmiechnęła się, zadowolona z quizu. Zatrzymała się, by popatrzeć na młodą matkę, która huštała córkę na placu zabaw.

- Mercurey - odpowiedziała. - A Rully to sąsiednia wioska ze szczepami chardonnay.

- *Merde.*

- Następnym razem musisz zadawać trudniejsze pytania - upomniała go Marine, idąc dalej. - Masz w lodówce warzywa na sałatkę?

- Nie, lepiej kup trochę rukoli. Czy to kłopot?
- Nie, żaden - zapewniła. - Możemy podać stek na talerzu z rukolą i oliwą z oliwek, tak jak to robią w sławnym włoskim mieście.
- Rzymie?
- Nie, we Florencji, głupku.

Verlaque roześmiał się, a Marine usłyszała, że zapala cygaro. Zapytał:

- Będiesz do mnie mówić po włosku, kiedy przyjdiesz do domu?
- Tak, jeśli teraz przestaniesz gadać i pozwolisz mi zrobić zakupy.
- Do zobaczenia wkrótce - odrzekł. - Zejdę do piwnicy po to Mercurey.
- Uważaj na złe licho.
- Dzięki - powiedział Verlaque. W budynku wielorodzinnym, w którym mieszkał, we wspólnej piwnicy na klepisku rozstawiono pięć lub sześć pułapek na szczury. Za każdym razem, gdy schodził po butelkę wina, obawiał się, że znajdzie w pułapce martwego gryzonia. Szybko dodał: - Chyba kupię do kuchni lodówkę na wino, ze szklanymi drzwiami...
- Twoja kuchnia jest za mała.
- Wyrzucę zmywarkę.

Marine roześmiała się, ale wiedząc, że to nie do końca był żart, powiedziała:

- Widzę przed sobą *périphérique*, więc się rozłączę.
- Tak, nie daj się przejechać.
- Dzięki - zakończyła rozmowę i włożyła telefon do kieszeni płaszcza. Była mężatką zaledwie od kilku tygodni, ale już wiedziała, że jej mąż zadzwoni z prośbą, by kupiła więcej jedzenia - sera, pomidorów cherry, świeżych bagietek. I tak kupiłaby to wszystko, a dodatkowo coś specjalnego dla niego.

Czterdzieści minut później Marine stała przed domem, w którym mieszkał Verlaque, na malutkiej uliczce prowadzącej od Place des Archevêches. Postawiła teczkę, torebkę i materiałową torbę z zakupami na chodniku i włożyła klucz do rzeźbionych

drewnianych drzwi. Trzymając je otwarte prawą ręką, pochyliła się, podniosła torby i postawiła je w korytarzu na biało-czarnej marmurowej posadzce.

- *S'il vous plaît, mademoiselle* - usłyszała głos za sobą. Wciąż pochyłona, spojrzała w górę i uśmiechnęła się na widok trzydziestokilkuletniego mężczyzny sięgającego ponad jej głowę i trzymającego dla niej otwarte drzwi.

- *Merci!* - rzekła, popychając torby w głąb przejścia i prostując się.
- To bardzo miłe z pańskiej strony.

- *De rien, mademoiselle* - odparł, kłaniając się lekko, i odszedł.

- *C'est madame!* - zawołała za nim Marine, machając kluczami. - Świeżo po ślubie!

Właśnie podnosiła torby, gdy ze schodów zbiegł Antoine.

- Mam otwarte okna w pokoju dziennym i cię usłyszałem. Powinnaś była do mnie zadzwonić z rue d'Italie - powiedział, posapując.

- Wszystko w porządku - odparła. - Na początku torby nie wydawały się ciężkie...

- Wiem, dopóki nie znajdziesz się w połowie drogi do domu. - Podniósł torby z zakupami i teczkę, a potem pocałował żonę. - Wino oddycha. Będzie ci bardzo smakowało.

- O rany - odrzekła, kiedy wchodzili do jego mieszkania na trzecim piętrze. - Wypiliśmy z Sylvie butelkę wina do lunchu. Tak naprawdę ona wypła więcej niż ja, bo miałam popołudniowe zajęcia.

- Gdzie jadyście lunch? - zapytał Verlaque, kiedy weszli razem do mieszkania, a on położył zakupy na kuchennym blacie z białego karraryjskiego marmuru.

- W La Fontaine. Było wspaniale.

- Co zamówiłyście? W szczegółach poproszę.

Marine opisała curry z dorsza. Verlaque roześmiał się i nalał im obojgu po kieliszku Mercurey z 2003 roku.

- Mmm, ten pinot jest mocniejszy niż zazwyczaj - powiedziała, gdy upiła łyk.

Verlaque starał się powstrzymać uśmiech i udawał, że naturalnie

omija się słowo „noir”.

- Jest z 2003 - odpowiedział powoli.

Marine pomyślała przez chwilę i uniosła palec wskazujący.

- Fala upałów.

- Właśnie - potaknął. - Rozmawiałem z pewnym winiarzem z Burgundii, który powiedział, że nie lubił sprzedawać tego rocznika.

- Uważam, że jest przepyszne - powiedziała, gdy upiła kolejny łyk.

- Ja też - zgodził się Antoine. - Ma zapach i aksamitność typową dla Burgundii, ale nutę...

- Côte du Rhône.

- Właśnie. - Podniósł butelkę i przyjrzał się etykietce. - Zawartość alkoholu czternaście procent. To nie do pomyslenia w Burgundii. To dlatego tamten winiarz nie chciał sprzedać wina... Mówił, że to nietypowe dla jego regionu.

- Rozumiem - powiedziała Marine. - Wszystkie te kwestie terytorialne. - Mrugnęła do męża i założyła fartuch. - Zrobię sałatkę, przygotujesz stek na grilla?

Pracowali obok siebie, słuchając wieczornej audycji jazzowej w publicznym radiu. Leciła piosenka Gregory'ego Portera i Marine kołysała się w przód i tył, powoli dolewając oliwy do sałatki z sosem winegret. Verlaque wyjął moździerz i tłuczek i zaczął ucierać ziarnisty pieprz.

- Dlaczego nie użyjesz młynka do pieprzu? - zapytała, wpatrując się w męża.

- Bear mi o tym powiedział - odparł, nie przerywając swojego zajęcia. - Mówił, że to klasyczne zadanie wstępne w każdej kuchni, i uważałem, że stek zasługuje na takie potraktowanie.

- Czy możesz zacząć flambirować stek w koniaku?

- Oczywiście. - Verlaque nabrał garść mielonego pieprzu i wtarł go w mięso. Włączył palnik gazowy.

- W trakcie lunchu doszło do incydentu - powiedziała Marine. - Thomas Roche wpadł do La Fontaine z jakimś kumplem i rzucił Bearowi na stół petycję w sprawie powstrzymania ekspansji

restauracji na zewnątrz.

- Żartujesz - zdziwił się Verlaque. - Jak zareagował Bear?

- Nie musiał nic robić - odparła. - Jego pomywacz podszedł, by mu pomóc, i kolega Roche'a uciekł. Dosłownie uciekł. Wkrótce potem Roche wziął z niego przykład.

- Wspaniale! - skomentował Verlaque. - Ten facet to palant.

- Daj mi znać, kiedy steki będą prawie gotowe - powiedziała Marine, zdejmując fartuch. - Mam coś specjalnego do posmarowania.

- Solone masło z Brytanii?

- Nawet coś lepszego - odparła. - Masło truflowe. Zatrzymałam się przy sklepie z serami Andréi i coś ci kupiłam. A oprócz tego kilka serów na zakończenie.

Uśmiechnął się.

- Dziękuję. Miałaś naprawdę dużo zakupów do zrobienia. Zwykle posyłałem Arnauda, by kupić żywność. Po naszym ślubie przestałem, sam nie wiem dlaczego. Czy powinniśmy dalej korzystać z jego usług? Dzieciak robi dobry użytek z tego, co zarobi, i wiesz, jaki jest silny. Należy do uniwersyteckiej drużyny siatkówki, noszenie zakupów to dla niego pestka.

- Tak, przyda się jego pomoc - odparła Marine. - Tym bardziej że wie, co lubisz - co my lubimy.

- Mam szczęście - my mamy szczęście - do takich miłych sąsiadów.

- Mmm - mruknęła, popijając kolejny łyk wina. - Na co umarł ojciec Arnauda?

- Rak albo atak serca - odparł Verlaque. - Nie pamiętam. Arnaud miał trzynaście lat.

Marine pomyślała o serach i stekach, które właśnie mieli zjeść, i o wystającym brzuchu swojego męża. Antoine grał w rugby podczas studiów prawniczych, ale to było całe wieki temu. Jakby czytał w jej myślach, podniósł butelkę wina.

- Czerwone - powiedział. - Dobre dla zdrowia.

* * *

Verlaque trzykrotnie zastukał w swój pusty kieliszek.

- Mam na koniec jeszcze kawałek chèvre, ale ani kropli wina.
- Klasyczny problem - skomentowała Marine, wlewając reszkę wina do jego kieliszka.
- Zostaw trochę dla siebie.
- Nie. Zamiast tego napiję się koniaku.

Uniósł brwi.

- Czy chciałabyś do tego cygaro?
- Jeszcze nie jestem tak zaawansowana - powiedziała Marine ze śmiechem. Podeszła do secesyjnego barku i nałała sobie koniaku. Powąchała go, zanim upiła łyk. - Na szczęście nie mam jutro zajęć.
- Co wykładałaś dziś po południu? - zapytał Verlaque, biorąc do ust ostatni kawałek sera.

Przeszedł przez pokój dzienny, by usiąść w swoim ulubionym skórzanym, klubowym fotelu.

- Historię prawa. - Zajęła miejsce na sofie naprzeciwko niego i zrzuciła balerinki. - Zahaczyłam o Rabelais'go i Montaigne'a.
- Och, Montaigne jest dla ciebie bardzo ważny.
- Jego postać pasowała do tego wykładu - odparła. - Jako szesnastowieczny prawnik walczył o reformę prawa. Wśród jego kolegów po fachu szerzyła się korupcja i Montaigne dostrzegał, że zwyczajni obywatele omijali zasady zamiast ich przestrzegać.
- Pamiętam - rzekł Verlaque, smakując kilka ostatnich łyków wina.
- Mój dziadek opowiedział mi historię o Montaigne'u, kiedy byłem na pierwszym roku studiów. Montaigne zobaczył kiedyś mężczyznę leżącego na ulicy, krwawiącego po ugodzeniu nożem. Do umierającego podeszła także grupa chłopów niosących wodę i chleb. Montaigne błagał ich, by dali temu mężczyźnie trochę wody, ale oni uciekli.
- Przerażeni tym, że będą odpowiedzialni, jeżeli pomogą - podsunęła Marine.
- Właśnie. Dla mojego dziadka ta historia była lekcją moralności - pomagaj swojemu sąsiadowi - ale Montaigne wykorzystywał ją, by odnieść się do problemów prawnych. Jego apele doprowadziły do

rzeczywistego postępu, o ile pamiętam.

- Właśnie - zgodziła się. - Choć niektóre jego opinie były... zbyt wywrotowe... dla szesnastowiecznych twórców prawa. Montaigne wierzył, że największy problem dotyczący prawodawstwa polegał na tym, że nie brało ono pod uwagę naszej ludzkiej kondycji, niedoskonałości naszej egzystencji.

- Kto jest winny? - zapytał Verlaque z uśmiechem. - *Pas moi*.

- Dowody, szczególnie w tamtym okresie, często były fałszywe lub nieprecyzyjne - mówiła dalej Marine coraz głośniejszym i szybszym głosem. - Więc jak sędzia mógł podjąć decyzję, która byłaby w stu procentach właściwa?

- Ale mimo to musiał ją podjąć.

- Tak. Montaigne żartował, że werdykty sędziów często zależą od tego, czy dobrze strawili drugie śniadanie.

Verlaque się roześmiał.

- Powiedział to jak prawdziwy mieszkaniec Périgourdin. A Rabelais? Co o tym myślał?

- Bohater jego książki, sędzia Bridlegoose...

- Której? - ze śmiechem zapytał Antoine.

- W jednym z tomów powieści *Gargantua i Pantagruel* - odparła zniecierpliwiona. - Sędzia miał na biurku stos papierów i spędził całe godziny na czytaniu dokumentów i rozmyślaniu, lecz nie był w stanie podjąć decyzji, dopóki w końcu nie odkrył rozwiązania.

- Jakiego? - zapytał Verlaque i dopił wino.

- Prostego - odparła Marine, przeczesując palcami poprzetykane siwizną włosy. - Rzucił kostką.

8

Jeden dzień z życia

Następnego ranka Verlaque wyszedł z domu o wpół do dziewiątej. Skierował się w dół rue Adanson i szedł swoją zwyczajową trasą, skręcił w lewo w rue Littéra, a potem od razu w prawo, w stronę najwęższej uliczki Aix, o szerokości mniejszej niż metr, rue Esquicho-Coude. Poranki stały się na tyle ciepłe, że można było wyjść z domu tylko w marynarce. Jeśli słońce wciąż będzie świeciło tak jak teraz, to do południa tarasy kawiarni się zapełnią. Od czasu, kiedy kupił nowy telefon komórkowy, popadł w obsesję na punkcie pogody i ustawił sobie wgląd w pogodę panującą w jego ulubionych miastach: Paryżu, Sztokholmie, Rzymie i Aix. Bawiło go to, jak zmienna potrafiła być aura w tych miastach – a przecież wszystkie znajdują się w Europie. To był jego sposób na podróżowanie bez wstawania z fotela, bo w tej sekundzie, kiedy sprawdzał temperaturę, opady czy zamglenie, wyobrażał sobie siebie w tamtych miejscach – stał na moście albo siedział w kawiarni. Dla zabawy dodał jeszcze Hawanę, gdzie temperatura zawsze oscylowała wokół trzydziestu stopni. Któregoś dnia pojedzie tam i sprawdzi to osobiście.

Kiedy zbliżał się do rue Esquicho-Coude, poczuł, że mimowolnie ściga ramiona, jakby miały się nie zmieścić w wąskiej uliczce. Jej prowansalska nazwa oznaczała „uliczkę ściśniętych łokci”.

Dobiegły go głosy mężczyzny i kobiety rozmawiających o skałach i kamieniach, a kiedy podszedł bliżej, usłyszał coś o laboratorium i Pałacu Sprawiedliwości, chwilę później rozmowa zeszła na temat lunchu.

- Dzień dobry - przywitał się i wyciągnął rękę do inspektora Jules'a Schoelchera, przeniesionego z Alzacji, oraz do inspektor Sophie Goulin.

- Dzień dobry panu! - powiedział Jules, chwytając dłoń sędziego w żelazny uścisk.

- Dzień dobry, panie sędzio - odrzekła Sophie Goulin, również

podając mu rękę.

- Co tu się dzieje? - zapytał Verlaque, zwracając uwagę na gumową rękawiczkę na jej dłoni.

Goulin wskazała niszę na rogu Esquicho-Coude, w której stała figura Maryi trzymającej Dzieciątka.

- Dziś rano ktoś uszkodził posąg - odparła. - Zadzwoił do nas jeden z mieszkańców, który słyszał uderzenia kamieni o ścianę.

Oratorium przy Esquicho-Coude, jedno z dwunastu wzniesionych w Aix w XVII wieku, nie miało należytej osłony: tylko trzy cienkie poziome pręty i dwa pionowe.

- Czy ją zraniono? - zapytał Verlaque, natychmiast żałując doboru słów.

- Nie, nie tak bardzo - odrzekł Schoelcher, kompletnie zaskoczony sentymentalnością szefa.

- Na jej twarzy widać kilka zadraśnień - powiedziała Sophie Goulin.
- Ale może były tam już wcześniej. Zadzwoimy do Towarzystwa Historycznego, mają dokładne fotografie oratoriów.

- Jakiś pijany idiota - mruknął Verlaque, patrząc na rzeźbę.

- Być może - zgodziła się Goulin. - To szczególnie smutne, ponieważ zostało już niewiele Czarnych Madonn. Kiedyś było ich więcej.

Verlaque zerknął na młodą panią inspektor z uznaniem. Jeszcze raz popatrzył na Maryję przytulającą niemowlę.

- Zawsze widziałem po prostu matkę i syna - rzekł. - Nigdy nie zauważyłem koloru jej skóry.

- Ktoś zauważył - stwierdził Schoelcher. Nie musiał przypominać swojemu szefowi ani koleżance o niedawnym wzroście popularności francuskiej nacjonalistycznej partii Front Narodowy. - Założę się.

Sędzia pozostawił inspektorów i wąskimi ulicami starego Aix poszedł w kierunku Pałacu Sprawiedliwości. Idąc, wypatrywał innych oratoriów, usiłował przypomnieć sobie, dlaczego zbudowano ich tak wiele w siedemnastowiecznym Aix.

„To ma związek z zarazą” - pomyślał. „Czy były to prośby do świętych o wstawiennictwo u Boga w celu powstrzymania drugiej fali epidemii? Czy też stanowiły podziękowania za oszczędzenie

życia wielu ludziom podczas wybuchu zarazy?”. Sądził, że to pierwsze.

Zadzwoił jego telefon komórkowy. To była Rebecca Schultz, partnerka jego ojca.

- Dzień dobry, Rebecco - przywitał się.

Rebecca była dwujęzyczna i czasami rozmawiali po francusku, a czasami po angielsku. Tego ranka sędzia wybrał tę drugą opcję.

- Widzę, że zapisałeś mój numer - odparła. - Nie przeszkadzam ci?

- Idę do pracy - rzekł. - Mogę rozmawiać.

- Mam dwie sprawy - zaczęła. - Chcielibyśmy, żebyś zdobył dla nas dobre miejsca na letnim festiwalu operowym.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Świetnie. A po drugie, mam pytania dotyczące francuskiego systemu sądownictwa.

Roześmiał się.

- Mów dalej.

- My, twój ojciec i ja, śledziliśmy przypadek Rolanda Perdigona. Twój ojciec próbował wyjaśnić mi rolę sędziego śledczego - takiego jak ty - której po prostu nie rozumiem. Nie miej mi tego za złe, ale uważam za skandaliczne to, że sędzia, który zbiera dowody i rozpoczyna dochodzenie, w tym wypadku przeciwko byłemu prezydentowi, zarządza także oficjalnym śledztwem. Czy również wyda werdykt, jeśli sprawa zostanie skierowana do sądu? Czy w tym momencie nie będzie stronniczy?

- Zastanawiałaś się nad tym wszystkim już wtedy, gdy przesłuchiwałem cię tutaj w Aix?

- Oczywiście - potwierdziła Rebecca. - Ale wtedy byłam zbyt przerażona, by zapytać.

- Przepraszam - powiedział Verlaque z uśmiechem. - Sędzia śledczy zajmujący się sprawą Rolanda Perdigona, zresztą mój szkolny kolega, wystąpił o formalne dochodzenie. Usłyszałem o tym dzisiaj rano.

- Więc on uważa, że były prezydent jest winny.

- Tak - odparł Verlaque z wahaniem. - Istnieje wystarczająco dużo przesłanek, by wszczęcie śledztwa było zasadne. Wasz system w Stanach Zjednoczonych jest kontradiktoryjny. Słyszałeś to określenie?

- Jestem historyczką sztuki - odparła, popijając sok pomarańczowy.
- Więc nie.

- W waszym systemie to pozwani i oskarżeni oraz ich prawnicy - wielu prawników - zbierają dowody na korzyść tych pierwszych oraz takie, które obciążają drugą stronę. Sędzia ma dopilnować przestrzegania prawa, a ława przysięgłych decyduje, czy oskarżony jest winny. Sędzia pełni raczej funkcję obserwatora.

- Jak w konkursie, w którym dwaj rywale starają się dowieść swojej racji.

- Właśnie - odpowiedział. - Tak naprawdę zachęca się obie strony do walki i kładzie nacisk na zwycięstwo.

- Czy to nie jest normalne? Przecież chcesz dowiedzieć się, czy oskarżony jest winny, prawda?

- Lubię myśleć, że w mojej pracy tutaj we Francji bardziej chodzi o odkrycie prawdy. - Zorientował się, że może wyjść na zarozumialca, i pomyślał o wczorajszej rozmowie z Marine o Montaigne'u i Rabelais'm.

Wyobraził sobie sękatę dłoń sędziego z powieści Rabelais'go, który rzuca kostką na swoim biurku. Uśmiechnął się i mówił dalej:

- System kontradiktoryjny jest jak te kukielki, Punch i Judy, prawda? Dochodzenie przeradza się w wojnę pomiędzy obroną i oskarżeniem.

- To teraz opisz wasz system - poprosiła Rebecca. - Jeśli masz chwilę.

Verlaque otworzył frontowe drzwi do Pałacu Sprawiedliwości i usiadł na ławce w wewnętrznym dziedzińcu, zadowolony, że zdecydował się rozmawiać z Rebeccą po angielsku.

- My mamy system inkwizycyjny - zaczął. - Posługuje się nim większość kontynentalnej Europy, podobnie jak prawie cała Ameryka Południowa oraz Afryka i Azja. Jest on powiązany z powszechnym prawem cywilnym.

- Rozumiem.

- Do prawdy dochodzi się, kiedy sąd przesłuchuje osoby związane ze sprawą. Niezależny prokurator lub sędzia śledczy oddziela dowody wiarygodne od niewiarygodnych. Przesłuchując powodów, świadków i podejrzanych, kieruje się interesem państwa. Następnie decyduje, kiedy jest dość materiału dowodowego, by wszcząć sprawę.

- Więc w waszym systemie proces trwa krócej.

- Owszem - potwierdził Verlaque, patrząc na pojawiających się w drzwiach i przechodzących przez dziedziniec ludzi. - Ale system jest powolny i niejasny, a wielu sędzi, że nieskuteczny. Zebranie dowodów może zająć nawet dwa lata. Ale odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, to tak, jeżeli sędzia kieruje kogoś do sądu, to bardzo możliwe, że zakłada jego winę, tak jak w przypadku Rolanda Perdigona. W tej sprawie, podobnie jak w wielu innych równie poważnych prowadzonych przez sądy *assize*, jest dziewięciu sędziów przysięgłych i trzech sędziów.

Verlaque nie powiedział jej o brakach personalnych. O tym, że we Francji jest zaledwie pięciuset sześćdziesięciu dwóch sędziów śledczych, którzy muszą się zajmować sześćdziesięcioma tysiącami przypadków rocznie. Niektórzy sędziowie, szczególnie w Paryżu, rozpatrują jednocześnie około stu przypadków.

- To musi być szalone marnotrawienie talentu sędziego śledczego - zadumała się Rebecca - jeżeli cały czas poświęca on na szukanie dowodów w różnorodnych sprawach, małych czy dużych. Policja powinna chyba przejąć trochę drobniejszych spraw, by sędziowie mogli skoncentrować się na tych większych?

Roześmiał się.

- To doskonały pomysł.

Sędziowie już współpracowali z francuską policją w miastach i miasteczkach, podobnie jak z żandarmami z wiosek, ale te wzajemne relacje często były napięte. Wiedział, że obecny system działał na policjantów demotywująco, i przysiągł sobie, że będzie się starał udoskonalić go w Aix. W systemie nie doceniano ani starych metod policyjnego dochodzenia, ani tych wykorzystujących najnowsze techniki. Kładziono nacisk na to, co sędziowie znali najlepiej: przesłuchania i grę na emocjach. Ale współpraca z komisarzem tak pełnym zrozumienia, jak Bruno Paulik, ogromnie mu pomagała. Z nadzieją pomyślał, że Paulik znajdzie dziś czas na wspólny lunch.

- Czy ta kwestia jest już dla ciebie bardziej zrozumiała?
- Tak, dziękuję - odparła Rebecca. - Teraz będę mogła z większą śmiałością dyskutować z twoim ojcem.
- A przy okazji, wydałaś werdykt w sprawie obrazu?
- Owszem - odpowiedziała. - To prawdziwy Cézanne. Ale dyrektor Muzeum Orsay zbierze więcej ekspertów. Jeden z nich nie może dotrzeć do Paryża przed połową lata. Zatem pozostaje nam tylko czekać.
- No cóż, lepiej pójdę już na górę. - Verlaque podniósł się, rozciągnął i po krótkim wahaniu dodał: - Serdeczności dla taty.
- Przekażę! - odparła radośnie Rebecca, jakby to, że syn przekazuje ojcu ciepłe słowa, było najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

Odłożyła telefon i wyciszyła go. Musiała jeszcze poszukać materiałów do referatu o Cézannie, który miała wygłosić w Amsterdamie, i potrzebowała spokoju. Na jej laptopie leżała szara koperta nadesłana przez Marine. Znajdowało się w niej pięć fotografii ze ślubu. Rebecca podniosła kopertę, chcąc ją odłożyć, ale potem zawahała się i sięgnęła do środka po jedno ze zdjęć. Już wcześniej zdecydowała, że je oprawi i umieści w pokoju dziennym. Młody fotografik - był ciemnoskóry, tak jak ona, ale nie zapamiętała jego nazwiska - ustawił się w drzwiach kościoła, tuż za Marine i Antoine'em, którzy stali na schodach i patrzyli na plac. Poranne światło wlewało się do świątyni, nowożeńcy machali do stojących niżej przyjaciół i członków rodziny. Ktoś rzucał garście ryżu i fotograf uchwycił moment, gdy ziarna unosili się w powietrzu. Rebecca uśmiechnęła się. Bardzo podobała jej się ta fotografia - turkusowe morze za wsią, czerwone dachy zabytkowych *palazzos* i goście weselni, których było wprawdzie niewielu, ale z ich twarzy biła ogromna radość. Zbliżyła zdjęcie do oczu, by przyjrzeć się, jak na nim wyszła. Obejmowała ramionami ojca Antoine'a, Gabriela, który machał ręką. Matka Marine wyraźnie dała do zrozumienia, że nie aprobuje różnicy wieku między nimi, ale Rebecca nie przejmowała się tym tak bardzo, jak Gabriel. Gdyby jej rodzice wciąż żyli, pewnie też by to zaakceptowali. Wiedziała, że za dziesięć lat Gabriel będzie po osiemdziesiątce, a ona przekroczy zaledwie czterdziestkę, ale umówili się, że nie będą planować dalej niż rok do przodu. Mieli szczęście, że odnaleźli się nawzajem, i powtarzali to sobie głośno co wieczór, trzymając się za ręce.

* * *

Jak się okazało, Bruno Paulik znalazł czas na wspólny lunch. Verlaque namawiał go, by zjedli w La Fontaine, ale Paulik tłumaczył, że stara się zrzucić wagę, a poza tym nie ma czasu iść przez całe miasto. Zjedli więc sałatki w kawiarni na Place de Verdun, naprzeciwko Pałacu Sprawiedliwości, a później obaj żalowali tej decyzji.

- Jeżeli jesz sałatkę z ziemniakami i bekonem, równie dobrze mógłbyś zjeść domowe danie z makaronem - powiedział sędzia, kiedy po kilku popołudniowych spotkaniach znaleźli się z powrotem w jego gabinecie i byli gotowi wypić kawę.

Paulik pogłaskał się po brzuchu.

- Wiem - odparł. - W La Fontaine nie byłoby dużo drożej.

- Ale zamówilibyśmy wino - zauważył Verlaque, włączając ekspres do kawy. - A to podwoiłoby sumę na rachunku.

- Hélène była pod wrażeniem wyboru win w La Fontaine, kiedy ostatnio tam jedliśmy - powiedział Paulik.

Żona Paulika była producentką win, która dzięki finansowej pomocy Antoine'a Verlaque'a produkowała teraz własny trunek u stóp Mont Sainte Victoire.

- A tak przy okazji, Hélène przesyła pozdrowienia.

Sędzia wręczył Paulikowi espresso i zaczął przygotowywać następne.

- Pozdrów ją ode mnie. Jak tam wina?

- Świetnie - odparł Paulik. - Mam wspaniałe wieści. W zeszłym tygodniu przyjechał dziennikarz z Nowego Jorku, z dumą pochwałę się, że z najważniejszego winiarskiego czasopisma.

Verlaque odwrócił się od ekspresu i popatrzył na kolegę.

- Żartujesz?

- Ani trochę.

- I co?

- Zachwycił się naszymi winami - odpowiedział Paulik z szerokim

uśmiechem. – Hélène będzie na okładce wrześniowego numeru.

Verlaque wznosił ręce do góry.

– Alleluja! – Podeszedł do Paulika i go objął. – Gratulacje!

– *Oh, excusez-moi* – usłyszeli od drzwi głos Mme Girard, sekretarki sędziego.

– Proszę wejść i przyłączyć się do naszych czułości – zaśmiał się Paulik.

Mme Girard, dobrze sytuowana sześćdziesięciolatka, która nie musiała pracować, ale za bardzo lubiła swoje zajęcie, by zrezygnować, odparła:

– Może innym razem, komisarzu. Sędzio Verlaque, przyszedł raport z wypadku samochodowego.

Wręczyła sędziemu szarą kopertę, po czym, taksując mężczyzn lekko zdziwionym spojrzeniem, obróciła się na swoich balerinkach od Chanel i wyszła.

Verlaque podniósł kopertę i usiadł za biurkiem.

– Ona myśli, że jesteś gejem – szepnął.

Paulik wycelował w sędziego palec.

– To prawda, przez lata opierałem się pańskim awansom.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Paulik usiadł.

– Czy to ten podwójny wypadek samochodowy?

– Tak – potwierdził Verlaque, zakładając okulary.

Czytał, a Paulik kończył swoją kawę. Następnie zdjął okulary i potarł oczy.

– Biedna dziewczyna.

– Samobójstwo?

– Według doktor Cohen to bardzo prawdopodobne. Nie miała śladów alkoholu ani narkotyków we krwi i wcześniej wysłała przyjaciółce pożegnalną wiadomość.

– Bardzo smutne – skomentował komisarz.

Verlaque spojrział na zdjęcie dwudziestodwuletniego zgniecionego

renault clio, którym dziewczyna o czwartej rano wjechała w drzewo. Dzień wcześniej przekroczyła dozwoloną prędkość na przejściu dla pieszych i zabiła starszą kobietę.

Paulik rzucił okiem na zegarek i wstał.

- Przed pójściem do domu muszę podjechać do Le Tholonet - oznajmił. - Caroline Rosa i jej prawnicy odpierają ataki.

- Spodziewaliśmy się tego - przypomniał Verlaque. - Bardziej lubiłem nasze miasto, zanim zaczęli się tu osiedlać słynni aktorzy i aktorki. Czy ona naprawdę sądzi, że nikt nie zauważy zbudowanego nielegalnie domku gościnnego o powierzchni stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych?

- Jest w dobrym guście - powiedział Paulik, kierując się do wyjścia.

- Taka była jej odpowiedź, kiedy otrzymała papiery.

- W dobrym guście, ale bez pozwolenia.

- Była w szoku, kiedy wręczono jej nakaz sądowy - rzekł Paulik, zatrzymując się przy drzwiach. - Życie jest łaskawe dla takich ludzi jak Rosa... bogaci rodzice, prywatne szkoły, uroda... więc bardzo ich zaskakuje, kiedy coś nie idzie po ich myśli. W każdym razie każdy dzień zwłoki w wyburzeniu domku gościnnego kosztować ją będzie trzysta euro. Muszę jechać i ją o tym poinformować.

- To na razie - odezwał się sędzia. - I przekaz Hélène moje gratulacje.

Założył okulary, podniósł leżący na biurku plik dokumentów i zaczął czytać. Przebiegał wzrokiem raporty z przesłuchań świadków napadu z bronią w rękę i wracał myślami do rozmowy z Rebeccą. Jego komisarz został oddelegowany, by upomnieć bogatą aktorkę, a on pracował nad tym, co Rebecca nazwała „zwykłymi przestępstwami”. Wolałby pozywać do sądu skorumpowanych urzędników, biznesmenów i szefów mafii.

Do drzwi zapukał Jules Schoelcher, a Verlaque gestem wskazał mu, by wszedł.

- Przepraszam, że przeszkadzam - rzekł inspektor - ale właśnie dzwonił właściciel restauracji w dzielnicy Mazarin. Był naprawdę roztrzęsiony.

Verlaque zdjął okulary i spojrzał na Schoelchera.

- Sigisbert Valets? Czy coś mu się stało?

- Tak, to ten gość. Nic mu nie jest - odparł Schoelcher. - Ale jego pomywacz jest w histerii. W trakcie popołudniowej przerwy kopał w ogrodzie za restauracją i natrafił na szkielet.

- Rozumiem, że mówisz o kocie.

- Zgadza się, znalazł też szkielety kotów - potwierdził Schoelcher. - Ale ten należy do człowieka.

9

Pięć rozmów

Verlaque stał obok doktor Agnès Cohen i oboje wpatrywali się w płytki grób. Świeciło słońce i dobiegał ich śpiew ptaków, stłumione odgłosy z wnętrza restauracji, gdzie inspektorzy policji przesłuchiwali roztrzęsiony personel, oraz daleki szum ruchu ulicznego.

- Przypuszczam, że to zabójstwo - odezwał się Verlaque. - Biorąc pod uwagę płytki grób.

- Tak. Jestem zdziwiona, że odkrycie go zabrało tak dużo czasu.

- Szef kuchni powiedział mi, że był zbyt zajęty pracami w restauracji, by zająć się ogrodem - wyjaśnił sędzia. - A po śmierci poprzedniej właścicielki nieruchomości przez cztery lata stała pusta...

- Walka o spadek?

- Oczywiście - odparł Verlaque. - W tym wypadku dzieci sióstr. Powiedziano mi, że adaptacja lokalu na restaurację zajęła dwa lata, restauracja działa od dwóch lat, więc ten szkielet ma co najmniej osiem lat. Ale czy ciało nie rozkłada się dłużej niż osiem lat?

Pani patolog uklękła, oparła łokieć na kolanie i spojrzała na grób.

- Normalnie w zwykłej glebie i umiarkowanym klimacie ciało rozkłada się przez dziesięć do dwunastu lat... ale my nie mamy umiarkowanego klimatu. Szczególnie w 2003 roku... cały proces przyspiesza w skrajnym upale. Widzę tu nienaruszone kawałki skóry i organów wewnętrznych... - Wskazała na nie dłonią, ale sędzia stał nieporuszony. - Więc osiem lat mogło w zupełności wystarczyć.

Verlaque pomyślał, że pochowanie ciała w ogrodzie w centrum miasta nie było zbyt logiczne. Czy ofiara została zamordowana tutaj, w ogrodzie? Czy też sprowadzona tu już po śmierci?

- Płeć? - zapytał.

- Mężczyzna - szybko odpowiedziała Agnès Cohen. - Duże kości, proszę spojrzeć też na okolice miednicy. - Znow wskazała na szkielet. - Kobiety mają większy obszar podłonowy. Co więcej, jego broda ma kwadratowy kształt, a czoło jest cofnięte, podczas gdy u kobiet jest ono zaokrąglone.

Verlaque starał się nie patrzeć na czoło Agnès Cohen i zamiast tego starał się wyobrazić sobie czoło Marine. Ale przed oczyma ukazywały mu się tylko jej orzechowe oczy i piegi.

- Czaszka nie wydaje się uszkodzona, ale dowiem się więcej, gdy zabiorę go do laboratorium - oznajmiła doktor Cohen, zmiatając trochę ziemi ze szkieletu.

- Zawsze pani tak mówi - odparł Verlaque z uśmiechem.

Kobieta odwzajemniła uśmiech.

- Będę mogła sprawdzić jego uzębienie w rejestrach dentystycznych i przeanalizować kości pod kątem pęknięć i złamań, które można przypisać wcześniejszym urazom. Wydaje mi się, że kiedyś złamał lewą nogę, ale trudno to stwierdzić z całą pewnością. Mamy teraz nowy test pozwalający pozyskać próbki mineralne z kości i odnieść je do różnych wód pitnych na ziemi. Mój stażysta ma na tym punkcie obsesję.

- Może pani stażysta będzie umiał powiedzieć nam, czy zmarły był mieszkańcem Aix - rzekł Verlaque, patrząc na szkielet. Zacytował początek aixańskiego sloganu: - *Ville d'eau...*

Doktor Cohen skończyła za niego:

- *Ville d'art, ville de music.* Mamy za mało obrazów Cézanne'a i w mojej opinii bilety do opery są zbyt drogie, ale cieszymy się wspaniałą wodą źródlaną. - Spojrzała na wiekową fontannę, stojącą niecały metr od szkieletu. - Ale ta stara biedna fontanna nie działa.

* * *

Bear Valets stał na środku swojej restauracji i z prawdziwą ulgą myślał o tym, że ekipa śledcza już wyszła. Obrócił się i przyglądał sali jadalnej. Sędzia był przekonany, że La Fontaine będzie musiała przez jakiś czas być zamknięta.

- Proszę mi wierzyć - powiedział, czując dochodzący z kuchni zapach bulionu - to mnie boli tak samo jak pana.

Bear spojrział na siedzącego przy jednym ze stolików Mamadou, który w końcu przestał się kołysać w przód i w tył. Florian przygotował dla niego filiżankę gorącej czekolady. Bear słyszał fragmenty ich rozmowy, a może raczej monologu Floriana.

- To przepis mojej babci - zachęcał Florian. - Zawsze twierdziła, że dobry kucharz potrzebuje jednego lub dwóch ostrych noży, ale pewnego dnia ni z tego, ni z owego zamówiła *saucier* z katalogu Redoute. Wciąż nie wiemy dlaczego...

Mamadou spojrział na Floriana ze zdziwieniem, a Bear pochylił głowę, by ukryć uśmiech.

„Kogo obchodzi twoja babcia, Florian?” - pomyślał.

Ale jednocześnie był wzruszony wrażliwością swojego pracownika. Mamadou najbardziej z nich wszystkich przeżywał szok po znalezieniu szkieletu.

Florian mówił dalej, odchylając się teraz na oparcie krzesła i patrząc w sufit:

- Używała osiemdziesięcioprocentowej czekolady Lindta, dodawała mleka, śmietany, laski wanilii i odrobiny cukru i umieszczała to wszystko kolejno w makutrze. Czekolada wirowała w niej bez końca. Kiedy odwiedzaliśmy babcię w jej malutkim mieszkanku w Poitou, już na schodach czuliśmy zapach czekolady. Wraz z bratem szybko pokonywaliśmy dwa ostatnie biegi schodów. Wiesz, czego dodawała na końcu?

Mamadou upił łyk gorącej czekolady i pokręcił głową.

- Masła - szepnął pod nosem Bear, a Florian wykrzyknął:

- Masła!

Bear pomyślał o Jane i Judith, które w deszczowe dni także robiły dla personelu gorącą czekoladę, zazwyczaj z dodatkiem grappy.

„Tak naprawdę w Londynie nie ma wielu deszczowych dni - próbowała protestować Judith, wyglądając przez ogromne okno na rzekę i na niebo. Jest po prostu szaro, to wszystko”.

José, pochodzący z Sewilli zastępca szefa kuchni, tylko głośno prychnął.

Bear tęsknił teraz za tą londyńską szarością, kolorem niebieskopopielatym, srebrnym, a czasem nawet fioletoworóżowym.

Dzisiaj błękitne niebo Prowansji go przytłaczało.

* * *

Gaëlle Dreyfus siedziała w dobrze urządzonym pokoju dziennym w domu księcia, otoczona pierwszymi wydaniem książek i miernymi obrazami olejnymi przedstawiającymi sztywnych przodków gospodarza. Podniosła porcelanowy spodek, by przeczytać widniejący na odwrocie napis.

- Czy podoba się pani ta porcelana? - zapytał księżę, wychodząc z kuchni ze srebrną tacą, na której stał dzbanek do herbaty. Manuel miał wolne popołudnie.

- O tak - odparła z uśmiechem, nie czując w najmniejszym stopniu zakłopotania faktem, że próbowała poznać pochodzenie zastawy. Tak naprawdę uważała, że kolory kwiatów są zbyt krzykliwe. Miała jednak właśnie pić z filiżanki z miśnieńskiej porcelany, wyprodukowanej - była tego pewna - w Niemczech w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku. A to zapierało dech w piersiach.

- To ulubione filiżanki mojej zmarłej żony - powiedział księżę, nalewając herbaty. - Osobiście uważam, pewnie tak jak pani, że kolory są zbyt krzykliwe.

- Zgadzam się - przyznała z namysłem. - Ale pomyśleć, że kiedy powstał ten komplet, wciąż żyli Ludwik XVI i Maria Antonina.

- Tak, wtedy i jeszcze przez następne trzy lata - oznajmił księżę, siadając. - Nasza ukochana fontanna przestała działać w dniu, gdy zostali zamordowani. Przeczytałem to w zapiskach historycznych, które mam tu na półkach. To zostało dobrze udokumentowane.

Gaëlle pochyliła się do przodu.

- Pan żartuje.

- Nie drażniłbym się z panią, droga Gaëlle.

Sposób, w jaki wypowiedział słowo „droga”, sprawił, że jej ciało zadrżało tak, jak nie zdarzyło się to od ponad dziesięciu lat. Ale nie potrafiła zdecydować, co było bardziej ekscytujące: awanse przystojnego i bogatego mężczyzny czy picie herbaty z filiżanki, która miała ponad dwieście lat.

Księżę zapytał:

- Czy wierzy pani w klątwę fontanny?

- O tak.

- Zabawne, nie sądziłbym, że żydzi są równie przesądni, jak my, katolicy.

- Byłam wychowana jako agnostyczka - odparła Gaëlle. - Mój ojciec był żydem, ale niepraktykującym, a mama była katoliczką, jednak przestała chodzić na msze, gdy jej rodzice wydziedziczyli ją w dniu jej zaręczyn. Więc trzymam się moich uprzedzeń i oczywiście nie lubię zorganizowanej religii. - Podniosła filiżankę i przyjrzała się jej delikatnemu wzorowi, nie chcąc patrzeć w niebieskie oczy księcia, które już wcześniej uznała za piękne.

- Więc nie będzie pani zaskoczona, gdy powiem, że fontanna znowu przestała działać - powiedział książę. Pochylił się do przodu. - Niewątpliwie z powodu morderstwa - dodał.

- Morderstwa? - zapytała, spoglądając w górę. - Kto tak mówi?

- No cóż... oczywiście, że to morderstwo - wyjąkał książę. - Mój służący, Manuel, mówi, że cała rue d'Italie aż huczy o szkielecie. Pochowanym w płytkim grobie. Przed siedmioma lub ośmioma laty. Czy słyszała pani coś o tym?

- Oczywiście, że słyszałam o szkielecie.

- Nie. Chodzi mi o to, co działo się w tamtym czasie. Czy ktoś tu kopał?

Gaëlle spojrzała na księcia i zauważyła, że jego oczy otwierają się szerzej.

- To tak dawno temu. Ledwie cokolwiek pamiętam. Mme Germain zawsze robiła tam hałas, z wszystkimi jej kotami i puszkami. - I dodała całkiem niepotrzebnie: - Była śmieciarą.

- Zapomniałem o tych wszystkich kotach - rzekł, odchylając się do tyłu.

- I niczego pan nie widział ani nie słyszał? - zapytała Gaëlle. - Kłótni? Kogoś wołającego o pomoc? - Od chwili znalezienia szkieletu czuła się coraz bardziej winna. Ktoś został zamordowany i pochowany, a nikt z nich niczego nie słyszał.

- Nie stąd, to byłoby raczej niemożliwe.

- A z góry? - nie ustępowała.

Książę skinął głową.

- Być może z trzeciego piętra, gdzie mieszka Manuel. Tak... -
Wydawał się pogrążony w swoich myślach.

- No cóż, niewątpliwie zjawi się tu policja, by zadawać wszystkie te pytania - rzekła Gaëlle. Nagle poczuła ulgę. Profesjonaliści przejmą dochodzenie i znajdą rozwiązanie, a oni będą mogli wrócić do swojego nudnego życia.

* * *

Antykwariuszka miała rację: przez następne dni Bruno Paulik, Sophie Goulin i Jules Schoelcher przesłuchiwali tych mieszkańców, których mieszkania i siedziby wychodziły na wspólny ogród. Jak się wydawało, nikt nie słyszał niczego niezwykłego. Gaëlle ledwie pamiętała Béatrice Germain.

- Zmarła zaledwie osiem lat temu - powiedziała do męża Sophie Goulin pewnego wieczoru, kiedy kładli do łóżka swoich dwóch małych synków. - Czy to nie smutne? Wspomnienia ludzi także mocno się różnią. Niektórzy pamiętają pewne szczegóły: błękitny fartuch czy zniszczone białe adidasy. Ale czy dobrze pamiętają? Czy też zawodzi ich pamięć? A może przekonują siebie, że sąsiadka nosiła właśnie te rzeczy? Inni nie mogą sobie przypomnieć zupełnie nic.

- W każdym razie starsza pani już wtedy nie żyła, prawda? Kiedy doszło do morderstwa?

Sophie skinęła głową.

- Mieszkańcy zgadzają się tylko co do tego, że Mme Germain robiła dużo hałasu w ogrodzie.

- Więc kiedy tamtej nocy usłyszeli hałas, nie zwrócili na niego uwagi.

- Właśnie - potwierdziła Sophie z westchnieniem. - Chociaż Mme Germain już nie żyła.

Jej mąż przechylił głowę na bok.

- Można spojrzeć na to w bardziej pozytywny sposób - powiedział. - Mme Germain była taką ważną postacią w okolicy, że kiedy tej strasznej nocy sąsiedzi usłyszeli jakieś zamieszanie, uznali, że to

ona. Według nich wciąż tam była. Myślę, że to wzruszające.

* * *

- Spotkałam dzisiaj Beara - odezwała się Marine. - Siedział w kawiarni i miał ponury wyraz twarzy.

- Nic dziwnego - odparł Verlaque, okręcając makaron wokół widelca. - Restauracja została zamknięta na tydzień. To boli. Czy dodałaś do tego płatki papryczek chili? Jest fantastyczne.

Odłożyła widelec i westchnęła.

- *Oui?* - zapytał Antoine.

- Nie wykazujesz się wielką empatią.

- Co mogę zrobić, Marine? Na jego posesji znaleziono szkielet.

- Wiem, wiem.

- Rozmawiałem z Arnaudem, ma zrobić nam zakupy. Dostarczy je do mnie, bo ma klucze.

- Ach - odparła Marine. - To oznacza, że będziemy jedli kolacje u ciebie.

- Masz coś przeciwko?

- Nie - odpowiedziała. - Jesteśmy małżeństwem, więc to także moje miejsce.

Uśmiechnął się.

- Cieszę się, że tak myślisz.

Marine rozejrzała się po swojej przestronnej jadalni, która wychodziła na jeszcze większy pokój dzienny. Verlaque, patrząc na nią, powiedział:

- Tu zawsze było dla ciebie za dużo miejsca.

- Wiedziałam o tym, kiedy kupowałam to mieszkanie. Ale urzekła mnie ta lokalizacja i wtedy mogłam sobie na nie pozwolić. Teraz nie byłoby to możliwe.

Kiedy kończył swoje danie z pancettą, orzeszkami piniowymi, oliwą z oliwek, rukolą z makaronem *linguine*, Marine obróciła się na krześle i spojrzała do tyłu na pokój dzienny.

- Ma idealną wielkość - powiedziała z namysłem.

Antoine upił łyk włoskiego czerwonego wina i wytarł usta serwetką.

- Nawet o tym nie myśl.

- To świetny pomysł i dobrze o tym wiesz.

Roześmiał się i odłożył serwetkę.

- To byłby totalny chaos, nie mówiąc o tym, że wpadłbym przez to w kłopoty. W ogródku właściciela restauracji znaleziono szkielet zamordowanego człowieka, a to rzuca na niego podejrzenia...

- Osiem lat temu Bear był studentem i mieszkał w Londynie.

- Dobrze, ale ja jestem zaangażowany w śledztwo, a ty proponujesz, że udostępnisz Bearowi swoje mieszkanie na restaurację. Dobrze rozumiem?

Twarz Marine rozjaśniła się w uśmiechu.

- Tu jest dosyć miejsca, moja kuchnia ma odpowiedni kształt, a my nie potrzebujemy dwóch mieszkań. Dlaczego nie pomóc Bearowi?

- Już ci mówiłem dlaczego - westchnął Verlaque. - Jesteś profesorem prawa, więc wiesz, jak to wszystko może się skomplikować.

Uśmiechnęła się, niepewna, jak długo jeszcze będzie chciała być panią profesor. Na chwilę zamknęła oczy i wyobraziła sobie swoje mieszkanie jako restaurację. Uważała, że może się tu pomieścić dwanaścioro, a nawet piętnascioro gości. Problem może stwarzać przechowywanie wina, ale może Bearowi udałoby się wypożyczyć specjalną lodówkę i zainstalować ją na tyłach jej gabinetu? Albo mógłby wieczorami przynosić wystarczającą ilość wina na jeden dzień? Czy przywozić taczka? Miała tylko cztery palniki i jeden piekarnik, ale w sklepie z wyposażeniem restauracji w Marsylii, który odwiedzała razem z przyjaciółką, widziała pojedyncze przemysłowe palniki. Były one ciężkie, nie takie jak rachityczne piecyki, których używali jej rodzice do przygotowywania kawy na przydrożnych obozowiskach. A co najlepsze, jej sąsiedzi z dołu wyjechali na kilka miesięcy do Nantes, by odwiedzić córkę, która właśnie urodziła ich pierwsze wnuczę. Marine nalała sobie kolejny kieliszek wina i z radością sięgnęła po więcej makaronu.

10

Poszukiwanie kości

- „Nie ma piękniejszego życia niż życie beztroskiego człowieka; brak trosk to naprawdę bezbolesne zło” - powiedział *frère* Joël, odstawiając filiżankę kawy.

Poranek był zimny, więc książę zasugerował, by wypili kawę w domu, a nie w ogrodzie. Manuel upiekł cytrynowe ciasto, a młody braciszek miał nadzieję, że gospodarz zaproponuje mu drugi kawałek.

- Eurypides? - zapytał książę.

- Sofokles.

- *Ah oui, Sophocles, bien sûr* - odparł książę. - W renesansie, kiedy ktoś odchodził na emeryturę, wycofywał się, by odkryć, o co chodzi w życiu. By kontemplować. Uważano to za część dobrze zaplanowanego życia.

- Wielki stoik Seneka namawiał Rzymian, żeby przechodzili na emeryturę, by - posłużyć się tutaj jednym ze współczesnych zwrotów - odnaleźć siebie.

Książę roześmiał się. Nie należał do tych, którzy udaliby się do Indii czy na rekolekcje, żeby „odnaleźć siebie”. Ale wiedział, co Joël miał na myśli. Zaimponowała mu też wiedza zakonnika o kulturze klasycznej. Był wściekły na siebie, że wziął cytat z Sofoklesa za słowa Eurypidesa.

- Tak, Rzymianie wycofywali się z okresu działalności zawodowej nie tylko po to, by odnaleźć siebie - uśmiechnął się i mówił dalej - ale także by przygotować się do następnego etapu. Do śmierci.

- Z naciskiem na kontemplowanie życia - pośpiesznie dodał *frère* Joël.

Książę wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- I teraz my, biedne dusze z XXI wieku, żyjemy dłużej. Mamy nawet

więcej czasu, by przygotować się na odchodzenie.

Ksiązę był w wyjątkowo smętnym nastroju, a pragmatyczny braciszek starał się odwrócić rozmowę od tematu śmierci. Dlaczego martwić się o nią już teraz, skoro ksiązę mógł mieć przed sobą jeszcze wiele lat życia? Nie przekazał zakonnikowi żadnych dalszych szczegółów dotyczących jego choroby ani lekarskich prognoz. Ale zanim *frère* Joël zdołał zmienić temat, ksiązę zawołał:

- Słyszeliście o szkielecie?

- Och, to wyjaśnia, skąd ten wątek śmierci - zauważył *frère* Joël, odstawiając filiżankę. - Tak, słyszeliśmy.

- Co o tym sądzą księża?

- Ale o czym?

- Kim jest ofiara? - zapytał ksiązę, nadal przemierzając pokój.

Zakonnik spojrzał na niego zaskoczony.

- Nie myślałem o tym.

- Ach tak, dopiero przyjechał ojciec do Aix...

Tak naprawdę *frère* Joël słyszał, jak *père* Jean-Luc i *père* Guillaume przyciszonymi głosami rozmawiali właśnie na ten temat. Nie chciał jednak wspominać o tym księciu. Może nie mieli racji, a może on coś źle zrozumiał. Spojrzał dookoła i podziwiał obrazy olejne, które z pewnością przedstawiały przodków gospodarza. Ksiązę przyglądał się zakonnikowi i chciał mu zdradzić, jak mierne były te obrazy. Artyści nie potrafili oddać charakterystycznych cech modeli. Każda ze sportretowanych osób przypominała kolejną - namalowanego niewyraźną plamą tłustego, nudnego prostaka.

- Tyle wspomnień ma pan w tym pokoju - odezwał się *frère* Joël. - Portrety przodków, pamiątki z podróży... - Wyciągnął rękę i pogłaskał długą drewnianą laskę opartą o regał.

- Afrykańska - wyjaśnił ksiązę. - To laska do tańca, używana w trakcie wielu ceremonii.

- Kiedyś odwiedziłem ostatni dom Zygmunta Freuda w Londynie. Był właśnie taki jak pański: wypełniony książkami, papierami, obrazami i innymi interesującymi przedmiotami... ciekawostkami antropologicznymi. Freud, podobnie jak Montaigne, uważał, że takie bogate otoczenie stymuluje intelekt.

- Pamiętam ten dom - powiedział ksiązę, usiadł i skrzyżował długie nogi. - Znajduje się w Hampstead. To był taki piękny dzień... - Pogrążył się w myślach, a po kilku chwilach przysunął do zakonnika paterę z ciastem. - Wiem, o co ojcu chodzi. O to, bym pobudził mój intelekt. Bym go czymś zajmował. Stąd ten cytat z Sofoklesa.

- Czy to coś złego? Rozejrzeć się wokół siebie i zatracić w różnorodności i subtelności tego, co nas otacza?

- Uważa mnie ojciec za zepsutego, starego człowieka.

Zakonnik uśmiechnął się.

- Niezależnie od tego, czy jesteśmy bogaci, czy biedni, przeżywamy chwile nudy bądź niewiary w siebie. Montaigne mówił, że możemy się przed tym bronić, z bliska obserwując naturę.

- To właśnie robię... Mój ogród...

- Tak, ale najbliższe nam zjawisko naturalne to nie jest nasz ogród, ale to tutaj - *frère* Joël poklepał się po klatce piersiowej - my sami.

- A może, gdybym zaczął pisać? Dziennik? Wspomnienia?

- O to właśnie chodzi - odparł *frère* Joël z uśmiechem. Pochylił się, by rozkoszować się drugim, w pełni zasłużonym kawałkiem cytrynowego ciasta.

* * *

Tego ranka Verlaque dobrze się wyspał i dotarł do Pałacu Sprawiedliwości przed ósmą. Marine także wstała i zdążyła już wypić trochę kawy, którą przygotował. Jej nowo poślubiony mąż zmusił się do zjedzenia małej miseczki muesli. Nie znosił śniadań, ale od kiedy się pobrali - i od kiedy zaczął się zbliżać do swoich czterdziestych piątych urodzin - zdecydował się bardziej o siebie dbać. Marine zauważyła, że to śmierć jego matki wpłynęła na tę decyzję. Wypłukał miseczkę i pocałował żonę na pożegnanie. W rękę miała taśmę mierniczą i przypomniał sobie, że kilka dni temu powiedziała coś o nowych zasłonach czy czymś takim.

Kiedy dotarł do biura, zrobił sobie drugą kawę. Sącząc ją, przeglądał połyskujące zdjęcia ekspresów do espresso ze stali nierdzewnej, które mógłby kupić Marine na Boże Narodzenie. Ale czy to potrzebne? Może niedługo sprzedadzą jej mieszkanie? Kiedy

zadzwoił telefon, usiadł i odebrał:

- Verlaque.

- Dzień dobry - rzekła doktor Cohen i pociągnęła łyk wody z pochodzącej z recyklingu butelki San Pellegrino, którą zawsze miała w torebce. - Mam nowe wieści.

Verlaque podniósł długopis i notatnik.

- Proszę mówić.

- Ofiara, mężczyzna, tak jak podejrzewałam, zmarł z powodu urazu głowy, krwiaka nadwardówkowego.

- Krwawienie?

- Właśnie. Po urazie, zwykle po upadku, powiększający się krwiak uciska mózg, powodując jego wgłobienie. - Przerwała, a Verlaque słyszał, że coś gryzie. - Cały mózg przemieszcza się, co prowadzi do ucisku naczyń i przerywania dopływu krwi do mózgu.

- Czy to szybka śmierć? - zapytał.

- Może trwać od kilku minut do kilku godzin - odparła doktor Cohen. - Objawy nie zawsze są oczywiste, ale ofiara odczuwa ból głowy, potem traci świadomość, wreszcie, jeśli nie zostanie szybko zoperowana, umiera.

- Czy czaszka była w jakikolwiek sposób uszkodzona?

- Zupełnie nie - odparła. - Ale przy krwiaku nadwardówkowym tak może być. Czasem nie ma zewnętrznych oznak urazu bądź uszkodzeń czaszki. Tak umarł brat Michela de Montaigne'a.

- Ledwie pamiętam tę historię. Kapitan Saint-Martin?

- Tak, grał w tenisa. Piłka uderzyła go z boku głowy. Najpierw czuł się dobrze i nie było śladów urazu. Po kilku godzinach poskarżył się na ból głowy i w końcu upadł bez przytomności, po czym zmarł. A to wszystko od piłki tenisowej.

- A nasza ofiara? - zapytał Verlaque. - Czy udało się pani dowiedzieć czegoś więcej na jego temat?

- Miał dwadzieścia pięć lat lub trochę więcej - odparła doktor Cohen. - I sądząc z jego kości, szczególnie z kości udowych, strzałkowych i piszczelowych, był niski, poniżej metra siedemdziesięciu. I miałam rację co do jego złamanej lewej nogi.

Verlaque zapisał informacje.

- Czy coś w rejestrach stomatologicznych?
- Mój stażysta właśnie przygląda się jego zębom. Więcej będziemy wiedzieli po południu albo jutro. Miejmy nadzieję, że miał wykonane jakieś skomplikowane prace dentystyczne.
- Dziękuję pani - powiedział Verlaque.

Doktor Cohen trzymała telefon przy uchu i kroić na pół swoje *pain au chocolat*.

- Mój stażysta pyta, czy woda wróciła.
- *Oui?* - zapytał, nie rozumiejąc, o co chodzi. - Och! Fontanna... Nie mam pojęcia. Dlaczego?
- Bez powodu - odparła. - Jest przesądny, to wszystko.

Kiedy Verlaque się rozłączył, wszedł Paulik. Od razu włączył ekspres do espresso, a następnie przeszedł przez pokój, by uścisnąć szefowi rękę. Pracowali razem od ponad sześciu lat i Paulik zastanawiał się, czy sędzia kiedykolwiek będzie w stanie przywitać go *bise*. Wiedział, że mężczyznom z północy więcej czasu zajmowało przyzwyczajenie się do cmoknięcia innego mężczyzny w oba policzki, poza tym Verlaque miał angielskie korzenie.

- Czy ma pan ochotę na jeszcze jedną? - zapytał, wskazując na ekspres.
- Dlaczego nie - odparł Verlaque. - Właśnie zakończyłem rozmowę z doktor Cohen. Nasza ofiara to mężczyzna, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Zmarł z powodu urazu głowy. Upadek. Czaszka wydaje się nienaruszona, ale są uszkodzenia wewnętrzne. Morderca, czy też ktokolwiek, kto tam był, musiał patrzeć na jego śmierć.

Paulik podał sędziemu kawę.

- I potem go pochował?
- Tak, i w jakiś sposób przetransportował jego ciało do ogrodu w centrum Aix. Czy zabrałbyś ciało gdzie indziej? Do lasu? Nad jezioro?
- W tej okolicy nie ma jezior.
- Wiesz, co mam na myśli.

- A jeśli morderstwo miało miejsce na jednej z posesji wokół tego ogrodu? Przeniesienie ciała nie stanowiłoby problemu.

Verlaque upił łyk kawy.

- Masz rację. Co więcej, ten człowiek był niski. Łatwiej go przenieść. - Spojrzał na Paulika i próbował sobie wyobrazić, jak ktoś niesie martwe ciało komisarza, który w weekendy gra w rugby i przy prawie dwóch metrach wzrostu składa się wyłącznie z mięśni.

- Albo śmierć nastąpiła tutaj, przy fontannie.

- Ten scenariusz najbardziej mi się podoba.

- Mnie także.

Verlaque skończył swoją kawę i odchylił się do tyłu.

- Dlaczego grób jest taki płytki?

- Mordercy zabrakło czasu? - zasugerował Paulik. - Wystraszył się i uciekł w popłochu?

- Albo stracił energię? - powiedział Verlaque. - Potrzeba czasu i siły mięśni, by wykopać głęboki grób. Kogo więc możemy brać pod uwagę?

- Kogoś w kiepskiej formie. Albo osobę starszą.

- A może kobietę? - podsunął sędzia.

Paulik się skrzywił.

- Właśnie rozmawiałem z Schoelcherem. Wraz z inną inspektor zaczyna szukać rejestrów osób zaginionych w ostatnich dziesięciu latach. Zaczniemy w okolicach Aix, a jeśli nic nie znajdziemy, poszerzymy obszar poszukiwań. Powiem im, że szukamy młodego mężczyzny.

- Doktor Cohen ma przesłać ci swój raport - rzekł Verlaque. - Biorąc pod uwagę, jak bardzo jest zorganizowana, można założyć, że już ci go wysłała.

- Płytki grób... - zadumał się Paulik, kończąc swoją kawę. Odchylił się do tyłu i sędzia domyślił się, że zaraz czeka go kolejna rodzinna opowieść Paulika. Komisarz wychował się w gospodarstwie niedaleko Ansouis w Luberonie, w którym jego rodzice, oboje po siedemdziesiątce, wciąż pracowali. - Moi dziadkowie opowiadali o mężczyźnie z sąsiedniego gospodarstwa, który zaginął przed wojną. Wszyscy uważali, że załatwiła go jego młoda żona

i pochowała niedaleko domu. Nie wiem, czy czytał pan w „La Provence” z ostatniego tygodnia, że jacyś turyści znaleźli jego szkielet na ich dawnej posesji w płytkim grobie. Wdowa od dawna nie żyje, a gospodarstwo od tamtej pory dwa razy przeszło z rąk do rąk...

- Miła historia dla świeżego żonkosia.

Paulik uśmiechnął się i mówił dalej:

- Zdradzał ją i miał ciężką rękę. - Prawą dłonią klepnął w lewą. - Miejscowy lekarz dwukrotnie był wzywany, by założyć jej szwy, a raz na wiejskim festynie moja babcia musiała go odciągnąć od żony.

- Twoja babcia?

- Tak, z nią nie można było zadzierać - wyjaśnił Paulik.

- Czy tamtą kobietę przesłuchano, kiedy jej mąż zniknął?

Paulik wzruszył ramionami.

- Tak, ale powiedziała policji, że straszył ją, że wyemigruje do Quebecu. Sąsiedzi nie mówili nic albo kłamali, tak jak według mojej matki kłamał mój dziadek, potwierdzając wersję kobiety. W tamtych czasach ludzie rozwiązywali takie sprawy we własnym gronie i pomagali sobie nawzajem. Wtedy wszyscy byli zadowoleni, że się go pozbyli. Ale kiedy byłem dzieckiem, z łatwością uwierzyłem plotkom - że zabiła i pochowała męża. Moi bracia też mieli fioła na tym punkcie i potajemnie przekradali się do jej gospodarstwa, żeby szukać kości. Ja jednak myślałem, że on po prostu wyjechał do Kanady, koniec kropka.

- Wygląda na to, że twoi bracia mieli rację.

- Tym razem tak.

- Co się stało z wdową? - zainteresował się Verlaque.

- Ksiądz z Ansious po dwóch latach unieważnił jej małżeństwo, a ona poślubiła naprawdę dobrego mężczyznę z Lourmarin. Mieli gromadkę dzieci, każde z nich dobrze radziło sobie w szkole. Wie pan, to jedna z tych rodzin, gdzie jest lekarz, prawnik, profesor, a nawet kardynał. Nie było żadnej czarnej owcy.

11

Syn marnotrawny

Inspektor Sophie Goulin biegła przez Pałac Sprawiedliwości z żółtą teczką pod pachą. Jules Schoelcher został wezwany do innej sprawy, a ona nadal czytała rejestry zaginionych osób, jednocześnie jedząc przy biurku kupiony w sklepie lunch. Porównywała osoby z rejestrów z odkryciami patologów. Dużą część zaginionych osób stanowiły kobiety – prawdopodobnie uciekinierki. Te pomijała. Wielu spośród zaginionych miało ponad pięćdziesiąt lat, a ci jeszcze starsi być może cierpieli na alzheimera. I wreszcie znalazła informację o młodym mężczyźnie – Grégorym de Castelbajac. Na początku to jego nazwisko przyciągnęło jej uwagę – takie wytworne – musiała kilka razy wypowiedzieć je na głos, by się przekonać, jak się je wymawia. Serce biło jej mocniej, kiedy przeczytała, że mierzył około stu siedemdziesięciu centymetrów i miał dwadzieścia sześć lat, kiedy rodzice, hrabia i hrabina de Castelbajac, po raz pierwszy zgłosili jego zaginięcie. Poinformowali policję, że Grégory „podróżował po świecie” i wrócił do domu na krótko, na pogrzeb babci, po czym znowu zniknął.

Sophie odsunęła kanapkę, przełożyła stronę raportu i w rubryce „znaki szczególne” przeczytała: „na prawej ręce znamię w kształcie gruszki”. W żaden sposób nie mogli tego teraz potwierdzić. Lewa noga – złamana w wypadku na nartach, kiedy miał dwanaście lat.

- Bingo - szepnęła, poderwała się z krzesła, podreptała chwilę w miejscu, po czym pochyliła się i dotknęła palców u nóg. - Gdzie jesteś, Jules?

Usiadła ponownie i przeczytała dokument do końca. Adres hrabiostwa został skreślony ołówkiem. (Co za idiota to zrobił? Sophie westchnęła, zdegustowana nonszalancją niektórych kolegów). Nowy adres został zapisany niestarannie – La Belle Vue w Sanary-sur-Mer. Wiedziała, że Sanary to nadmorskie miasto oddalone o jakieś czterdzieści minut drogi od Aix, ale nigdy tam nie była. Z mężem zazwyczaj zabierali dzieci na pływanie do La Ciotat, gdzie znajdowało się wiele piaszczystych plaż, a jeśli przyjechało się

wystarczająco wcześniej, udawało się znaleźć miejsca na parkingu blisko plaży. Pochyliła głowę, starając się przeczytać ich stary adres, i głośno krzyknęła.

Po kilku telefonach skierowała się do biura komisarza.

- Ominęła cię cała frajda, Jules - mruknęła.

Drzwi gabinetu Paulika były zamknięte i przez mleczone szyby widziała, że w środku jest ciemno, więc pobiegła dalej. Minęła dużą otwartą przestrzeń biurową, gdzie inspektorzy policji pracowali we względnej ciszy, wynikającej zapewne z otrzeźwiającej obecności Mme Girard - budzącej respekt sekretarki sędziego Verlaque'a. Zauważyła, że drzwi sędziego są otwarte, a Mme Girard chwilowo nie ma przy jej stanowisku. Wtedy przypomniała sobie, że jest pora lunchu, i zaburczało jej w brzuchu, bo zjadła tylko kilka kęsów kanapki. Zobaczyła, że komisarz i sędzia siedzą przy dużym szklanym biurku. Zwolniła i zatrzymała się w drzwiach. Antoine Verlaque odłożył swoją kanapkę i spojrzał na Sophie. Pamiętał ją z rue Esquicho-Coude, gdzie przyglądali się zeszepeconej Czarnej Madonnie.

- Proszę wejść - powiedział, przywołując ją gestem.

Paulik odwrócił się i szybko wytarł usta serwetką.

- Dzień dobry. Jakies wieści?

- Przepraszam - odezwała się, wskazując na ich papierowe torby i kanapki.

- W porządku - uspokoił ją sędzia. - Nie ma nic smutniejszego niż jedzenie kanapek przy biurku. Może nas pani trochę podnieść na duchu.

Tak naprawdę on i Paulik dobrze się bawili, omawiając nowe wina Hélène oraz wywiad, którego udzieliła amerykańskiemu dziennikarzowi. Towarzyszył mu fotograf, który zrobił Hélène całe tuziny zdjęć, do czego potrzebowała aż trzech strojów. Tło stanowił dziewiętnastowieczny, rustykalny dom Paulików, magazyn i winorośl.

Sophie uniosła swoje znalezisko - żółtą teczkę.

Dopiero wtedy zauważyła na biurku sędziego dwa małe kieliszki, w rodzaju tych używanych przy testowaniu win, oba wypełnione czerwonym trunkiem. Szybko odwróciła wzrok, ale Verlaque

zauważył jej spojrzenie i podniósł butelkę.

- Nowe syrah żony komisarza. Chciałaby pani spróbować?

- Nie, nie - zająknęła się. „Jak mogli tu siedzieć i pić wino, gdy ona dokonywała tak ważnego odkrycia”. - Dziękuję.

- Co jest w teczce? - zainteresował się Paulik.

„A jak pan myśli?” - cisnęło jej się na usta, ale zamiast tego powiedziała:

- Grégory de Castelbajac.

- Proszę usiąść - powiedział sędzia i pośpiesznie odsunął na bok papierową torebkę i butelkę wina. - To bardzo interesujące.

- Zaginął przed ośmioma laty - zaczęła Sophie, starając się mówić spokojnie. - Jego rodzice, hrabia i hrabina, zgłosili zaginięcie dopiero cztery lata temu, ponieważ ich syn dużo podróżował, najwyraźniej do wszelkich zakątków świata. W oświadczeniu stwierdzili, że miał zwyczaj znikać bez słowa na całe lata. Wracał po pieniądze, które wydawał potem na podróże i narkotyki. Był najmłodszy z czterech synów. Rodzice nazywali go „synem marnotrawnym”.

Verlaque i Paulik wymienili spojrzenia i pokiwali głowami. Sophie nie rozumiała dlaczego.

Mówiła dalej:

- Miał metr sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i złamał nogę na nartach, kiedy miał dwanaście lat.

- Chyba go mamy - rzekł Paulik.

- Tak, jestem pewna - przytaknęła Sophie, otwierając teczkę i wręczając mężczyznom ostatnią stronę. - Hrabstwo mieszkają teraz w Sanary-sur-Mer, ale kiedy zgłaszali zaginięcie, wciąż mieszkali tu w Aix. Przy rue Cardinale.

Paulik zagwizdał.

- Pod którym numerem? - zapytał Verlaque.

- Osiemnastym - odparł Paulik, czytając raport.

- Właśnie sprawdziłam w rejestrach miasta - dodała Sophie. - Hrabia i hrabina byli właścicielami całego domu i sprzedali go trzy

lata temu. Kupił go deweloper, który podzielił mieszkania na biura i apartamenty, z wyjątkiem najwyższego piętra, gdzie wciąż mieszka jeden z braci.

- Zgaduję, że ich poprzedni dom wychodził na ogród, w którym znaleziono ciało - powiedział Verlaque.

- Tak - potwierdziła Sophie. - Znajduje się obok sklepu ze starociami.

Paulik połknął ostatni kawałek kanapki i popił ją dużym haustem wina.

- A więc coś mamy - stwierdził.

- Przesłuchajcie wszystkich, którzy mieszkają wokół tego ogrodu - nakazał sędzia.

- Dziękuję, pani inspektor...

- Goulin - rzekła Sophie.

Patrząc na młodą policjantkę, Paulik powiedział:

- Dobra robota. Może pani pomagać w przesłuchaniach. - Wstał i strzepnął okruszki ze spodni. - Przepraszam - wystękał, spoglądając na zasypany okruszkami niebieski dywan, a potem na Verlaque'a.

- Nie ma problemu - odezwał się sędzia. - Mme Girard w cudowny sposób pojawi się tutaj za kilka chwil ze swoim odkurzaczem ręcznym. Zaraz zadzwonię do pani patolog, by zapytać, czy ma jakieś dane stomatologiczne, które mogą na sto procent potwierdzić, że ten szkielet to naprawdę Grégory de Castelbajac. Dopiero wtedy powiemy to jego rodzicom.

- Jego dentysta mieszka tutaj w Aix i wciąż prowadzi praktykę - powiedziała Sophie. - Przy rue Mistral. W raporcie jest jego numer telefonu.

Verlaque lekko się uśmiechnął, myśląc o tym, jak bardzo mieszkańcy Aix lubili trzymać się blisko domu, czy to przy robieniu zakupów, czy przy wybieraniu miejsca pracy. Castelbajac żadną miarą nie mógł chodzić do dentysty po niewłaściwej stronie Cours Mirabeau.

12

Sanary-sur-Mer

Verlaque zaparkował swoje porsche przy Portissol, małej plaży na zachód od centrum Sanary. Kiedyś, dawno temu, wypił kilka drinków w restauracji na Portissol ze swoją ówczesną dziewczyną. Podobało mu się wtedy lśniąca, nowoczesne wnętrze lokalu - dużo czerni i szarości - ale przeszkadzała mu zbyt głośna muzyka. Z portu można jednak było oglądać przepiękne zachody słońca, które wspominał z rozrzewnieniem. Potem kilka razy przyjechał tu z Marine.

- Musimy się przeprowadzić do Sanary - powiedział przez telefon do żony, patrząc na lśniąca morze.

- Już mamy dwa mieszkania - odparła Marine. - Idę na zajęcia. Zadzwoń do ciebie, kiedy skończę.

- Nie, lepiej to ja do ciebie zadzwonię, zanim ruszę w drogę powrotną - stwierdził. - Zaraz mam powiedzieć dwójgu ludziom, że szkielet znaleziony w ogrodzie to ich syn, i nie wiem, ile to potrwa.

Marine przycisnęła telefon do piersi i zamknęła oczy.

- Jesteście tego pewni? - zapytała kilka sekund później.

- Tak, potwierdził to dentysta, który ma gabinet przy rue Mistral.

- Ofiara znaleziona, teraz znajdźcie mordercę.

Verlaque westchnął.

- To fantastyczne miejsce i tylko czterdzieści pięć minut od Aix. Zrobię dla ciebie trochę zdjęć.

Popatrzył na morze obramowane przez sosny i szedł dalej wąską drogą wiodącą przez klif.

- Dobrze - odparła Marine, uśmiechając się. Wiedziała, że jej mąż wróci do domu z naręczem darmowych pism z agencji nieruchomości. - Do zobaczenia wieczorem.

Kiedy tego popołudnia Verlaque przedstawił się przez telefon i zapytał, czy może odwiedzić parę, hrabia dał mu wskazówki, jak do nich trafić.

- Naprzeciwko kaplicy - powtórzył dwukrotnie.

Verlaque zatrzymał się i przez chwilę podziwiał domy po prawej stronie drogi, te nad morzem. Zdawał sobie sprawę, że ma bzika na punkcie domów i mieszkań, i nie zależało mu na ukrywaniu swojego podglądactwa. Zaglądał przez otwory w ogrodzeniach, by lepiej widzieć domy i ogrody. Style architektoniczne przechodziły od śródziemnomorskiego poprzez współczesne domy z płaskimi dachami do rozpadających się domów plażowych, które prawdopodobnie nie były nawet przygotowane na zimę. Pewnie zamykano je po sezonie, a ich paryscy właściciele otworzą je ponownie w czerwcu.

Droga stała się tak wąska, że stojące nad morzem domy nie miały miejsca na podjazdy i samochody nie mogły tędy przejeżdżać. Po lewej stronie pojawiła się kaplica, o doskonałych proporcjach, otoczona donicami z palmami i kwiatami oraz ławeczkami dla spacerowiczów. Stojąc u jej wejścia, odwrócił się, by popatrzeć na morze. Naprzeciwko zobaczył dom Castelbajaców, Le Belle Vue. Skinął głową, zrozumiał, dlaczego wybrali tak banalną nazwę dla domu. Jak inaczej można było go nazwać? Mieli nie tylko fantastyczny widok na morze, ale prawdopodobnie mogli także obserwować urocze *vieille ville* w Sanary.

Pozostało mu jeszcze piętnaście minut do spotkania, więc wszedł do kaplicy przez dziewiętnastowieczne drzwi w kolorze miodu, żłobione imionami i datami. Nie zatrzymał się, by przeczytać nazwiska, ponieważ nie lubił tej formy sztuki, niezależnie od tego, z jakiego okresu pochodziła. Za to podziwiał prostotę wnętrza kaplicy. Beczkowe sklepienie i ściany zostały pomalowane na biało, co kierowało uwagę na trzy czy cztery rzeźby świętych. Na północnej i południowej ścianie wisiały małe marmurowe tablice - wota dziękczynne, dary przekazywane świętym za spełnienie obietnicy. Na każdej z nich wyryto imię uratowanej osoby, imię darczyńcy i datę. Ponad tablicami umieszczono około tuzina obrazów prymitywistycznych. Kiedy podszedł do nich, by się lepiej przyjrzeć, zauważył, że nie są to obrazy marynistyczne ani krajobrazy, lecz również wota. Kobieta w długiej, powłóczystej, białej szacie spadała z nadmorskiego klifu, mężczyzna ranny wskutek wybuchu pociągu leżał na ziemi. W górnym rogu każdego malowidła unosiła się Święta Paniątka, dbając o bezpieczeństwo

namalowanych postaci. Verlaque wyjął telefon i zrobił kilka zdjęć dla Marine i Sylvie, które uwielbiały ten rodzaj malarstwa. Wychodząc z kaplicy, głęboko zaczerpnął morskiego powietrza, by przygotować się na spotkanie z Castelbajacami.

* * *

Minęło piętnaście minut, od kiedy Verlaque przekazał wieści hrabiemu i hrabinie Castelbajacom. Po zrelacjonowaniu szczegółów z rejestru policyjnego i odkryć doktor Cohen chciał już wyjść, ale małżonkowie nalegali, by został. Poprosili o kawę młodą służącą, która wydawała się przerażona smutkiem wypełniającym dom. Prawie wybiegła z pokoju, potykając się o dywan.

- Rok temu, z pomocą terapeuty, pogodziliśmy się z tym, że Grégory może nie żyć - powiedział hrabia.

Sędzia był zaskoczony szczerością arystokraty.

- Ale właśnie powiedział nam pan, że nasz syn został zamordowany. Musimy dowiedzieć się więcej, niezależnie od tego, jak będzie to bolesne.

Verlaque spojrział na hrabinę, a ona skinęła głową.

- Jak umarł? - chciał wiedzieć hrabia.

- Grégory zmarł z powodu wewnętrznych urazów głowy, wywołanych upadkiem - wyjaśnił Verlaque. - Osoba, która go pochowała, prawdopodobnie go popchnęła, ale jeszcze nie wiemy, gdzie i kiedy to się stało.

Hrabina wydała z siebie okrzyk, potem zakryła usta. Umilkła i wpatrywała się w swoje złożone na kolanach dłonie, jej twarz poszarzała. Hrabia przemierzał bibliotekę i mruzczał do siebie.

- Czy to na pewno jest Grégory? - zapytał. - Może patolog się myli? Albo dentysta? Mogli zamienić teczki, prawda?

Spojrział na żonę, która cicho, z zamkniętymi oczyma wypowiadała modlitwę „Zdrowaś Mario”, Verlaque zauważył, że w rękach ma różaniec. Czy był tam przez cały czas? Czy może wyjęła go z kieszeni dopiero teraz? Hrabia nadal chodził, wyciągał z półek przypadkowe książki i odkładał je z powrotem.

- Kto chciałby skrzywdzić Grégory'ego? - zapytał i usiadł, kryjąc twarz w dłoniach.

- Przed ośmioma laty - odezwał się Verlaque - Grégory wrócił do Aix na pogrzeb pańskiej matki. Czy tak?

- Tak - potwierdził hrabia, pocierając czoło.

- Czy byli państwo wtedy w domu, przy rue Cardinale?

- Tak, a pogrzeb odbył się przy Saint Jean de Malte osiemnastego sierpnia. Ale trzy dni później przyjechaliśmy tutaj, by odpocząć.

- Grégory był sam - wyszeptała hrabina.

- Spodziewaliśmy się go w Sanary w niedzielę na rodzinnym lunchu, ale się nie pojawił. Uznaliśmy, że znów wyruszył na południe.

- Czy zwykle pojawiał się na imprezach rodzinnych? - zapytał sędzia.

- Przez ostatnie kilka lat nie - rzekł hrabia. - Ale tym razem potwierdził, że będzie, więc czuliśmy się rozczarowani. Przyjechała jego ulubiona kuzynka, więc myśleliśmy, że przyjedzie.

- Jaki był Grégory? - chciał wiedzieć Verlaque.

- Rozpieściliśmy go - odpowiedział hrabia, przenosząc wzrok z żony na sędziego. - Grégory pojawił się na świecie późno, prawie dziesięć lat po Emile'u, dwanaście po Phillipie i piętnaście po Ludovicu. - Hrabina nadal się modliła, a hrabia mówił dalej: - Urodził się przed czasem i był bardzo malutki. Zamartwialiśmy się, czy wyjdzie ze szpitala. Wszedł, ale nie miał odporności na choroby. Był marzycielem, a my spełnialiśmy jego zachcianki. Pierwszych trzech synów wychowywaliśmy surowo, więc do czasu, kiedy urodził się Grégory, byliśmy tak zmęczeni i nie tak stanowczy, jak powinniśmy być. Teraz myślę... wiem to na pewno... że on potrzebował dyscypliny bardziej niż trzej pozostali chłopcy.

Verlaque skinął głową i przypomniał sobie rejestr zaginionych osób. Zauważył w pokoju oprawione w ramki fotografie dwóch sześcioosobowych rodzin, każda z uśmiechającymi się rodzicami i ich czworgiem dzieci.

- Państwa synowie? - zapytał.

- Philippe i jego rodzina po lewej - wyjaśnił hrabia. - I Emile z rodziną po prawej.

Verlaque skinął głową, zastanawiając się, dlaczego nie było tam zdjęcia Ludovica. Może znajdowało się w innym pokoju? A może

tylko synowie z dużymi rodzinami pojawiali się na ścianach biblioteki? Na półce, oparta o wazon z suchymi kwiatami stała czarno-biała fotografia.

- To Grégory - wyjaśniła hrabina, tak mocnym głosem, że Verlaque, ze zdjęciem w ręku, odwrócił się, by na nią spojrzeć. - W Machu Picchu.

- Często odwiedzał historyczne miejsca - powiedział hrabia. - Kiedy nie kupował narkotyków.

- Kupował je w Aix? - zapytał Verlaque i przyjrzał się młodemu mężczyźnie na fotografii: był chudy, miał gęste zmierzwiłone włosy, podarte džinsy i tenisówki Converse'a. Oraz szeroki uśmiech na twarzy.

- Tak przypuszczam - rzekł hrabia. - Ale kiedy wracał do Aix, dobrze się prowadził.

- *Il était toujours sage* - wtrąciła się hrabina.

Weszła służąca, postawiła tacę z kawą na stoliku i pośpiesznie wyszła. Verlaque nie miał jej tego za złe.

- Grégory był dobrym chłopcem, panie sędzio - mówiła dalej hrabina. - Był tylko słaby, to wszystko.

Hrabia skinął głową, kierując wzrok na żonę. Verlaque zauważył, że patrzą na siebie z miłością, i to sprawiło, że zatęsknił za Marine.

- Masz rację, kochanie - powiedział hrabia. - Grégory miał dobrą naturę, ale zbyt łatwo ulegał innym ludziom. Najczęściej dewiantom.

- Poproszę o listę jego przyjaciół - rzekł Verlaque.

Hrabia zatrzymał się i pogłaskał po brodzie.

- Większość z nich mieszka za granicą - odparł. - Na Ibizie, w Rzymie, w Londynie...

„Uprzywilejowana banda” - pomyślał Verlaque.

Rozumiał, dlaczego hrabia określał ich jako dewiantów.

- A co z przyjaciółmi z Aix? - zapytał. - Kiedy był nastolatkiem?

- Miał dwóch przyjaciół - odrzekła hrabina. - Nazywaliśmy ich trzema muszkieterami. - Spojrzała na zdjęcie Grégory'ego i zdobyła

się na uśmiech. - Zawsze stwarzali jakieś problemy...

- Zapomnieliśmy o kawie - odezwał się hrabia, napełniając trzy filiżanki. - Cukier?

- Jedną kostkę poproszę - odparł Verlaque. Spojrzał na hrabinę, mając nadzieję, że uzyska od niej więcej informacji. - Jeżeli mogłaby pani podać mi ich nazwiska...

- Och, to było tak dawno temu - stwierdziła. - Ale przejrzę nasze albumy i dam panu znać.

„Wcale nie tak dawno temu” - pomyślał Verlaque. „Grégory miał tylko około dwudziestu pięciu lat”.

Ale wiedział, że hrabina doznała szoku i jest pogrążona w żałobie, więc może nawet zapomnieć, co jadła na śniadanie.

- Będę szczerze zobowiązany - powiedział. - W najbliższych dniach musimy porozmawiać zarówno z państwem, jak i z państwa synami.

- Oczywiście - odparł hrabia. - Emile i Philippe mieszkają w Paryżu, ale bez wątpienia przyjadą tutaj, kiedy tylko o wszystkim się dowiedzą. Ludovic mieszka w Aix, w mieszkaniu na najwyższym piętrze naszego byłego domu przy rue Cardinale. Grégory nigdy nie miał bliskich relacji z braćmi, ale był bardzo związany z córką mojego brata, Juliette. Może ona będzie mogła wam pomóc. Dam panu jej numer, ale proszę dać mi dzień lub dwa, bym przekazał jej wieści.

- Naturalnie - zgodził się sędzia. - Dziękuję.

Hrabia skończył pić kawę i odstawił filiżankę. Grégory de Castelbajac prawdopodobnie został zabity z powodu narkotyków, najpewniej przez dilerę, któremu był winien pieniądze.

- Odprowadzę pana do drzwi - rzekł hrabia. - Nagle poczułem się zmęczony.

- Rozumiem.

Verlaque podziękował hrabinie i uściśnął jej dłoń, po czym wyszedł z hrabią z biblioteki. Hrabia zatrzymał się, by poszukać numeru telefonu Juliette de Castelbajac, a Verlaque rozglądał się po równie przestronnym jak biblioteka holu, znajdującym się w północnej części domu, bez widoku na morze. Na ścianach wisały małe obrazy olejne o tematyce marynistycznej. Z dużej chińskiej wazy wystawały dwie parasolki i rzeźbiona laska. Sędzia spojrział na

swoje odbicie w lustrze obwiedzionym złożoną ramą. Na mężczyznę, który właśnie się ożenił. Był pewien, że ubyło mu zmarszczek, ale szczęśliwy stan małżeński nie mógł w żaden sposób wpłynąć na jego złamany nos. Zawsze będzie wykrzywiony. Po chwili zauważył odbijający się w lustrze oprawiony w ramki wers, wyhaftowany na materiale i otoczony liliami. Odwrócił się, by na niego spojrzeć. „*Un roi, une foi, une loi*”. Verlaque uśmiechnął się, haft ze słowami „Jeden król, jedna wiara, jedno prawo” korespondował z książkami, które widział w bibliotece gospodarzy: biografiami francuskich królów i królowych, rozmaitych konserwatywnych polityków oraz ze stojącym tuż nad fotografią Grégory’ego wielotomowym zbiorem *Livre d’Or*, dokładnym, wydawanym rokrocznie almanachem francuskiej arystokracji.

13

Działalność Philomène

Bruno Paulik i Sophie Goulin szli razem wzdłuż Cours Mirabeau, przekroczyli ulicę przy Le Mazarin Café i kierowali się dalej w górę rue Mistral.

- Myślałem, żeby zacząć od sklepu z antykami - powiedział Paulik, patrząc na swój notatnik. - Inspektorzy Schoelcher i Caromb zaczynają z drugiej strony kwartału, przy rue d'Italie, a sędzia przesłuchuje księcia de Pradet oraz księży i zakonników z Saint Jean de Malte.

- A co z rodziną Grégory'ego i jego przyjaciółmi? - zapytała Sophie.

- Sędzia Verlaque pracuje nad zdobyciem listy od jego rodziców. Wczoraj ich odwiedził.

- Jakie to straszne. Nie mogę sobie wyobrazić straty dziecka.

- Ma pani dzieci? - zapytał Paulik, kiedy skręcili w lewo przy fontannie Quatre Dauphins.

- Dwóch prawdziwych urwisów - odparła Sophie z uśmiechem. - W wieku trzech i sześciu lat.

- A my mamy córeczkę.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała Sophie, wpatrując się w drewnianą witrynę sklepową pomalowaną na elegancką matową czerń oraz na szyld „ANTIQUAIRE DREYFUS”. Zastanawiała się, dlaczego komisarz i jego żona zdecydowali się tylko na jedno dziecko. Może to nie był ich wybór? W tym samym czasie Paulik myślał o swojej małej Léi, która już w wieku jedenastu lat była gwiazdą w prestiżowym konserwatorium w Aix. Co by zrobił z dwoma chłopcami, i to łobuziakami? Co więcej, Léa oglądała z nim ostatni turniej pucharu świata w rugby, a w dodatku powiesiła plakat z Morganem Parra w swojej sypialni. Francuski młynarz dzielił teraz miejsce na ścianie ze śpiewaczkami operowymi Kiri Te Kanawą i Jessye Norman.

Paulik chciał otworzyć drzwi, ale te zaklinowały się w pół drogi.

- Trzeba dobrze popchnąć! - dobiegł ich głos z wnętrza sklepu. - Drzwi są starsze od wykopalisk.

Gaëlle Dreyfus wyszła z za swojego biurka marki Jacques Adnet. Mebel pochodził z około 1940 roku, był wykonany ze stali, miał mosiężne narożniki i przesywane skórzane szuflady. Spojrzała na wchodzących. Zmierzyła wzrokiem Paulika, szczęśliwa, że nie połamał drzwi. Był wielki.

- Policja - zapytała?

Ani Paulik, ani Sophie nie mieli na sobie mundurów. Komisarz przedstawił ich oboje.

- Skąd pani wiedziała, że jesteśmy z policji? - zapytał.

- Spodziewałam się waszej wizyty - odparła Gaëlle, uderzając w policzek ołówkiem, który miała w ręku. - Chociaż mogliście też być niedawno poślubioną parą, szukającą doskonałego wazonu Baccarat lub posrebrzanego, secesyjnego serwisu do kawy. I to, i to posiadam, w bardzo rozsądnej cenie.

Paulik roześmiał się i powiedział, że mimo wszystko podziękuje, a Sophie milczała, czekając niecierpliwie na początek przesłuchania. Wiedziała jednak, że takie pogaduszki były bardzo ważne, czasami ujawniały więcej niż rutynowe pytania.

- Proszę usiąść - odezwała się Gaëlle. Wybrała mocne klubowe krzesło dla Paulika i małe, eleganckie krzesło kawiarniane Thoneta dla jego poważnej towarzyszki. - Chodzi o Grégory'ego, prawda? To ciało...

- Tak - odparł Paulik.

Sophie wyjęła notatnik i zaczęła pisać, a Gaëlle przyglądała się jej z uniesioną brwią.

- Skąd pani wiedziała? - zainteresował się.

Gaëlle rozłożyła ręce i ponownie je złożyła.

- Wszyscy w sąsiedztwie o tym mówią.

- Czy jest pani zaskoczona? - zapytał. - Że to Grègory de Castelbajac...

Gaëlle zastanowiła się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

- Nie. Zawsze biedak pakował się w kłopoty. Lubiłam go. Przychodził tu pogadać, kiedy posprzeczał się z rodzicami.

- Czy często się to zdarzało?

- Tak, można tak powiedzieć. Na pewno kłócił się z rodzicami więcej niż ja, ale każda rodzina jest inna. Potem wyjeżdżał na całe lata, czasem wracał z bardzo szykownymi przyjaciółmi, znającymi po kilka języków i wiedzącymi to i owo o antykach. Zazwyczaj sprzedawałam im wtedy mnóstwo drobnych przedmiotów, które mogli zmieścić w swoich torbach od Vuittona.

- Czy pamięta pani, kiedy widziała go po raz ostatni? - zapytała Sophie.

- Wiele lat temu - odparła Gaëlle. - Chyba przyjechał wtedy na pogrzeb babci, Vicomtesse de Castelbajac. Prawdziwa z niej była wariatka.

- To było osiem lat temu - stwierdził komisarz. - Jak się zachowywał?

- Jeśli dobrze pamiętam, przyszedł do sklepu i narzekał, że musiał wrócić do Francji. Śmierdział trawką i miał czerwone oczy. Z pewnością nie od opłakiwania starszej pani.

- Czy wyglądał na przestraszonego?

- Nie - odrzekła powoli. - Może na pobudzonego, ale w tamtym czasie przypisałam to narkotekom. Czy to wtedy zginął?

- Tak - przyznał Paulik. Ale nie dodał nic więcej.

- Czy wspominał o jakichś przyjaciółach, z którymi się tu spotykał?

- Nie z imienia. Nie został w sklepie długo, co było dla niego nietypowe. Czasem godzinami przesiadywał w fotelu, w którym pan teraz siedzi. Czytał lub rozwiązywał ze mną krzyżówki z „Le Monde”. Ale tamtego dnia był niespokojny.

- Dziękujemy pani - powiedział komisarz. - Proszę do nas zadzwonić, gdyby coś jeszcze się pani przypomniało.

Wręczył jej wizytówkę i oboje z Sophie wstali i uścisnęli rękę Gaëlle.

Antykwariuszka włożyła wizytówkę do małego, srebrnego stojaka na koperty, ozdobionego wygrawerowanymi palmami.

- Jest piękny - powiedział Paulik, wskazując na przedmiot. - Dużo ładniejszy niż te z Ikei.

- To rzadkość - odpowiedziała Gaëlle, zadowolona z komplementu. - Z końca XIX wieku, z Brazylii. Pochodzi z posiadłości bogatego producenta trzciny cukrowej.

Sophie Goulin otworzyła drzwi, pociągając je mocno. Wyszli na poranne światło i zatrzymali się przy drzwiach obok, pod numerem szesnastym, gdzie mieściła się kancelaria prawnicza.

- Czy celowo wspomniał pan o tym stojaku na koperty? - zapytała.

- Tak, w pewnym sensie. Wydawał mi się południowoamerykański albo karaibski.

- Grégory de Castelbajac spędził wiele czasu w Ameryce Południowej - stwierdziła.

Paulik wzruszył ramionami.

- Tego do końca nie wiemy. Ale próbuję szukać jakichś związków.

- I tak przy okazji - dodała Sophie. - Uwielbiam Ikeę.

Paulik roześmiał się.

- Ja też. Ja też.

* * *

Verlaque szedł w dół rue d'Italie i patrzył na pomalowane na jasnoczerwono drzwi wiodące do biur kościoła Saint Jean de Malte. Średniowieczny budynek, w którym mieściły się biura pochodzącego z jedenastego wieku kościoła, przeszedł ostatnio dwuletni remont, a jego szczegóły Florence Bonnet relacjonowała na rodzinnych kolacjach. To była zajmująca historia, opisująca te same trudności, z którymi boryka się każdy właściciel budynku w Prowansji: robotnicy, którzy nie pojawiają się całymi dniami albo tygodniami, materiały niezamówione na czas albo zamówione w nieodpowiednim rozmiarze. A w tym wypadku jeszcze sprzeczki pomiędzy księżmi o wyposażenie i umeblowanie. Zaczął śnić na jawie, wyobrażając sobie dwóch księży kłócących się o próbki farby. Gwałtownie zatrzymał się przed czerwonymi drzwiami, tak że osoba, która szła tuż za nim, wpadła na niego.

- *Je suis vraiment désolé* - powiedział, odwracając się.

- *Ça va* - chrząknął mężczyzna, okręcając twarz szalikiem mimo ciepłego dnia.

Verlaque uśmiechnął się - kilku pracowników Pałacu Sprawiedliwości wychwalało korzyści płynące z utrzymywania szyi w cieple, nawet w łagodnej, kwietniowej pogodzie. Antoine i Sébastien Verlaque'owie zostali wychowani po części przez ich angielską babcię, która uczyła ich czegoś wręcz przeciwnego: w zimie okna sypialni pozostawały szeroko otwarte, a chłopcy byli wysyłani na dwór, nawet jeżeli trochę padało.

„Wracajcie dopiero wtedy, kiedy zobaczycie błyskawicę” - żartowała Emmeline. Chłopcy jej słuchali, bo wiedzieli, że za godzinę będzie czekała na nich z ciepłą tartą tatin, obficie dekorowaną kremem normandzkim.

Patrzył na mężczyznę, myśląc o tym, że go zna, ale nie potrafił sobie przypomnieć skąd. Aix było tak niedużym miastem, że wielokrotnie czuł się zakłopotany, gdy spotykał kogoś, kto wydawał się go znać, a on nie pamiętał nawet, czy to jego kolega z pracy, czy też asystent rzeźnika z Boucherie du Palais.

Kiedy wszedł do biur kościelnych, rozległ się dzwonek. Starsza pani („Dlaczego księżmi opiekują się zawsze starsze panie?” - zastanawiał się) odwróciła się od szafki na dokumenty i pomachała do niego.

- Jest pan tutaj! - zawołała, przechodząc przez biuro długimi krokami. Uścisnęła dłoń sędziego tak mocno, że i Paulik by się zdziwił. Od razu odgadł, że to Philomène Joubert. - O kilka minut za późno, ale nie ma problemu - dodała.

Chwyciła za telefon i wybrała numer jednego z biur. Zawołała do słuchawki:

- Sędzia już jest! - I odłożyła ją z głuchym łoskotem. - Czy coś pana zatrzymało?

- Tak - odparł Verlaque, rozbawiony tym, że przesłuchuje go słynna Mme Joubert, prezeska kościelnego chóru, przyjaciółka Florence Bonnet i sąsiadka Marine z drugiej strony dziedzińca. - Tak, byłem u Michauda.

- Co pan tam najbardziej lubi? - zapytała, kładąc ręce na biodrach.

- *Facile. Brioche glacée à chaque fois.*

- O. Wzięłabym pana za miłośnika croissantów.
- Za dużo okruszków - powiedział sędzia, poklepując się po marynarce. - Na garniturze od Ralpa Laurena.

Philomène roześmiała się.

- Muszę powiedzieć, że mieli państwo wspaniały ślub, chociaż nie odbył się tu w Aix.

- Zgadza się - odezwał się głos za ich plecami. - Także widziałem te zdjęcia. - Ksiądz wyciągnął dłoń i powiedział: - Jestem *père* Jean-Luc. Bardzo się cieszę, że możemy się poznać. Zapraszam do mojego gabinetu.

Gabinet *père* Jean-Luca wyglądał dokładnie tak, jak według Verlaque'a powinien wyglądać gabinet księdza: ciężkie drewniane biurko, trochę zbyt duże na to pomieszczenie, ciemne drewniane regały od podłogi do sufitu, wypełnione w większości książkami w twardych oprawkach, i grube, czerwone zasłony. Verlaque usiadł naprzeciwko księdza i zapytał:

- Czy moja sekretarka wyjaśniła, dlaczego tu jestem?
- Tak, niestety - odparł *père* Jean-Luc. - W związku ze szkieletem znalezionym w ogrodzie. To najmłodszy syn Casteljajaków, prawda?

Verlaque skinął głową.

- Tak, to Grégory. Czy dobrze go ojciec znał?
- Ochrzciłem go. - Oczywiście księdza zaszklili się i Verlaque milczał, czekając, aż będzie mówił dalej. - I towarzyszyłem mu w pierwszej komunii oraz w bierzmowaniu. A potem zaczęły się jego lata buntu i przestał przychodzić na msze. To był punkt zapalny pomiędzy nim a jego rodzicami, ale ja nie brałem tego do siebie. - Ksiądz przerwał, żeby wytrzeć nos. - Grégory przychodził tu do mnie do biura i przeproszał. Wie pan, wydaje się, że jego nauczyciel filozofii zapoznał go z ateistycznymi tekstami Jacques'a Derridy.

- „Nie istnieje nic poza tekstem” - zacytował Verlaque z uśmiechem. - To wszystko, co zapamiętałem z Derridy.

- Obawiam się, że to więcej niż ja.

- Czy widział ksiądz Grégory'ego, kiedy był tu po raz ostatni, przed ośmioma laty? - zapytał sędzia.

- Tak, ale tylko przelotnie. Byłem bardzo zajęty pogrzebem wicehrabiny, babki Grégory'ego ze strony ojca. Ale zauważyłem, że się zmienił...

Verlaque pochylił się do przodu.

- Jak?

- Był chudszy, bardziej żylasty. Ale poza zmianą fizyczną zauważyłem, że z jego twarzy zniknęła radość. Zawsze był nicponiem, ale jednocześnie słodkim chłopcem, optymistą. Rozmawiałem z nim po pogrzebie jego babki i wydawał się przygnębiony i poruszony. Powiedział, że zamierza jak najszybciej wyjechać z Francji i udać się na południe. Ale nigdy tam nie dotarł...

- Czy znał ksiądz jego przyjaciół?

- O nie - odpowiedział duchowny. - Nie angażowałem się w prywatne życie młodzieży. Wiem, że przed bierzmowaniem dzieciaków zorganizowano rekolekcje, ale nie jestem pewien, czy Grégory w nich uczestniczył. Zawsze towarzyszą im najmłodszy księża. *Frère* Joël przybył do nas dopiero przed trzema laty. Sprawdzę w naszych rejestrach, kto pracował u nas w tamtym czasie, i zadzwonię do pana. Czy to będzie pomocne?

- Tak, bardzo dziękuję- odpowiedział sędzia. - Zapytałem hrabinę o kolegów Grégory'ego, ale zapomniała ich nazwisk.

- To szok - zasugerował *père* Jean-Luc. - Słyszałem, że hrabina niezbyt dobrze się czuje, od kiedy usłyszała wiadomość.

- Przykro mi z tego powodu - powiedział Verlaque.

Wstał, uściśnął dłoń księdza na pożegnanie i opuścił biuro. Przeszedł do poczekalni, gdzie Philomène podlewała olbrzymią palmę. Drzwi wejściowe otworzyły się i wszedł elegancko ubrany starszy mężczyzna. Zdjął kapelusz i przywitał się:

- *Chère madame*. - Po czym wymienił z nią *bise*.

Philomène ujęła Verlaque'a pod ramię.

- Sędzio Verlaque, proszę poznać księcia de Pradet.

Księżę wpatrywał się w Verlaque'a, a potem zdobył się na uśmiech.

- Przykro mi, panie sędzio. Wszyscy przeżywamy sprawę Grégory'ego. - Wyciągnął rękę. - Miło mi pana poznać.

- Zamierzałem dzisiaj pana odwiedzić - powiedział Verlaque, ściskając dłoń księcia. - Możemy porozmawiać tutaj?

- Możecie skorzystać z mojego gabinetu - zaoferował *père* Jean-Luc, który akurat wszedł do holu. - Właśnie idę do kościoła.

- Dziękuję - rzekł Verlaque.

Księżę szedł za sędzią korytarzem i po chwili znaleźli się w gabinecie księdza.

- Nie znałem młodego Castelbajaca - zaczął księżę, zanim jeszcze zamknął drzwi. - Chociaż znałem jego rodziców.

- Zupełnie nie?

- Nie, nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek się spotkali.

- Czy słyszał pan coś niezwykłego w ogrodzie przed ośmioma laty, kilka dni po pogrzebie wicehrabiny? Otrzymał się ósmego sierpnia.

Księżę pokręcił przecząco głową.

- W sierpniu zazwyczaj jestem w Burgundii, tu jest dla mnie za ciepło. Ale sprawdzę w moich pamiętnikach. Poza tym mój dom znajduje się na przeciwległym końcu długiego ogrodu, więc to raczej mało prawdopodobne, bym mógł cokolwiek widzieć lub słyszeć.

Verlaque powiedział:

- Widzę pański dom z tarasu mojej żony. Do nas dochodzą odgłosy z ogrodu.

- Marine Bonnet, wspaniała kobieta - stwierdził księżę, ignorując uwagę Verlaque'a. - Spotkałem ją raz czy dwa na przyjęciu. Pomyśli pan, że tylko tym się zajmuję... chodzeniem na przyjęcia.

Verlaque zasznurował usta.

- A pańska żona? Czy znała Grégory'ego?

- To wielce nieprawdopodobne. W każdym razie już nie możemy jej o to zapytać. Przed sześcioma laty zmarła na raka.

- Bardzo mi przykro. Czy przyjaźni się pan z Castelbajacami?

- Tak, sądzę, że można tak powiedzieć - odparł księżę. - Ale teraz, od kiedy na stałe przeprowadzili się nad morze, nieczęsto się

widujemy.

- Jakie były ich relacje z Grégorym?

- Nie wiem, co pan insynuuje, ale kochali tego chłopaka bezwarunkowo.

- Próbuję tylko dowiedzieć się czegoś o stanie psychicznym Grégory'ego przed ośmioma laty - wyjaśnił sędzia. - Nikogo o nic nie oskarżam.

- Uwielbiali syna. No cóż, czy to wszystko? Bo obiecałem *père* Jean-Lucowi przygotować kościół na akcję zbierania funduszy. Chcemy kupić nowe organy.

- Zatem życzę powodzenia - powiedział Verlaque, ściskając dłoń rozmówcy. - Zostawię datek u Mme Joubert.

- To bardzo miło z pańskiej strony.

Wyszli z biura razem, następnie ksiązę skierował się do małych drewnianych drzwi, które, jak uznał Verlaque, musiały prowadzić do kościoła. Wcześniej wyszedł przez nie *père* Jean-Luc. Sędzia wyjął swoją książeczkę czekową, wypisał czek na pięćdziesiąt euro i podał go Philomène. - To na organy - powiedział.

Kobieta otworzyła teczkę i wsunęła czek do środka, dziękując.

- Wyjdę z panem - odezwała się i zerknęła na zegarek.

Zamknęła za sobą czerwone drzwi i wyszli na ulicę. Podeszła do przypiętego do latarni roweru i szybko rozpięła pokryty plastikową osłonką łańcuch, po czym zawiesiła go sobie na szyi, jak ogromny, przeskalowany naszyjnik. Verlaque z trudem powstrzymywał uśmiech.

- Przecież mieszka pani tuż za rogiem.

Philomène roześmiała się, prowadząc rower.

- Mam sprawy do załatwienia - rzekła, wskazując na umieszczony z tyłu kosz przykryty ściereczką. - Odwiedzam starszych i chorych mieszkańców parafii i wiozę im przysmaki.

- Jakie to miłe - skomentował sędzia szczerze.

- A co jeszcze miałabym robić przez cały dzień? Kręcić młynka palcami?

- Tego nie potrafię sobie wyobrazić. Co pani dzisiaj przygotowała?

Philomène poklepała w ściereczkę, ale jej nie uniosła.

- Małe ciasteczka i ciasta. To, co mi przyszło do głowy. Oni cieszą się wszystkim.

- Wyobrażam sobie.

Prowadziła swój rower, a w pewnym momencie obejrzała się za siebie i nachyliła się w kierunku Verlaque'a.

- Chciałam porozmawiać z panem na osobności.

- Tak?

- Księżę Pradet zawsze był dla mnie bardzo miły - oznajmiła. - Ale nie mogłam znieść jego nadętej żony. Zawsze uważała, że potrafi pierdnąć najgłośniej.

Verlaque prawie zgiął się wpół ze śmiechu.

- Tak myślałam, że nigdy nie słyszał pan tego powiedzenia - odezwała się Philomène, zerkając na sędziego i uśmiechając się lekko kącikami ust. - Marsylia. Dokładnie Menpenti. Mój mąż się tam wychował. W każdym razie księżna była bardzo blisko z Castelbajacami. Wszyscy należeli do tych dziwacznych grup, może widział pan ich plakaty na lampach ulicznych i znaki: *Le Roi Pourquoi Pas?*

Verlaque znów się roześmiał.

- To tak na serio? Myślałem, że to slogany z żartu jakichś studentów. Ale wiem, że grupy monarchistyczne istnieją.

- Oczywiście, że tak.

- To bardzo ciekawe... - powiedział Verlaque, starając się być wyjątkowo miłym. - Więc znała pani Castelbajaców?

Philomène wzruszyła ramionami.

- Tylko z widzenia. Zawsze się sobie kłanialiśmy. Mój mąż prowadził drukarnię. To inny poziom życia.

- A Grégory?

- To samo - odparła. Wydawała się zamyślona, jak gdyby miała dodać coś interesującego, ale zamiast tego powiedziała: - No cóż, muszę zmykać. - Zatrzymała się i wsiadła na rower, po czym

założyła coś, co wyglądało na parę lotniczych gogli z drugiej wojny światowej. - Są mi potrzebne! Z powodu spalin! - zawołała, machając na pożegnanie.

Verlaque odmachał, żałując, że nie zaoferowała mu jednego ze swoich małych ciasteczek. Umierał z głodu.

14

Nieudany lunch

- Jestem na rue Mistral i skręca mnie z głodu - powiedział Verlaque do telefonu. - Chętnie zjadłbym u Beara.

- Jestem na uczelni - odparła Marine. - Spotkałabym się z tobą, ale za pół godziny mam zebranie wydziału.

- *Merde*. Wpadnę więc do twojego mieszkania.

- Nie! - zaprotestowała.

Verlaque właśnie miał odpowiedzieć, gdy przeszedł obok niego Mamadou. Pchał przed sobą taczkę wypełnioną zakupami i pogwizdywał.

Sędzia zapytał:

- Dlaczego nie?

- Pusta lodówka - wyjaśniła. - Przepraszam.

- Wczoraj zjadłem kanapkę przy biurku - odezwał się Verlaque, idąc wąską ulicą w stronę Cours Mirabeau.

- Biedaczek - rzekła Marine ze śmiechem. - Po prostu zamów *plat du jour* w „biurze”.

Zawahał się, zanim odpowiedział. „Biuro”, czyli ich zwyczajowe miejsce spotkań - Le Mazarin Café, było wspaniałym miejscem, by wypić poranną kawę albo popołudniowego drinka, lecz nie takim, by coś zjeść. Ale jeśli *plat du jour* nie będzie spełniało jego oczekiwań, zawsze może zamówić dwa kotlety baranie - tych kucharz zdecydowanie nie jest w stanie zepsuć - i kieliszek wina Héléne Paulik.

- Dobrze, niech będzie „biuro”. Widzimy się u mnie dziś wieczorem.

- Brzmi świetnie. Po drodze kupię coś na kolację. Mogę się trochę spóźnić...

- Tak, te niekończące się spotkania w budżetówce.

Marine przygryzła wargi, jej mąż także pracował w budżetówce, ale mógł sobie pozwolić na to, by wymigać się ze spotkania, kiedy tylko miał taką ochotę.

- Ale dzisiaj mamy naprawdę ważne sprawy do omówienia - powiedziała.

- Co takiego?

- Muszę biec!

* * *

W pobliżu miejsca, gdzie stał Verlaque, na swojej zużytej kanapie siedział Bear i palił papierosa. W szufladzie trzymał paczkę Marlboro na chwile takie, jak ta. Palił raz albo dwa razy w miesiącu. Przeważnie wtedy, kiedy musiał zapłacić rachunki. Okno jego pokoju dziennego było otwarte i Bear słyszał basowy głos sędziego, ale nie całą konwersację. Z niskiego tonu głosu Verlaque'a wnioskował, że to była rozmowa towarzyska. Przed nim na stoliku do kawy piętrzyła się sterta przesyłek, a on przeglądał koperty: rachunek za prąd, rachunek z jednej z farm organicznych, rachunek od dostawcy win i w końcu coś, co wyglądało na prywatny list, z imieniem i nazwiskiem, wysłany z Awinionu. Rozerwał kopertę i przeczytał. Ręka zaczęła mu drżeć i szybko odłożył kartkę. Wstał, by zrobić sobie espresso. Wypił kawę jednym haustem, po czym podszedł i przeczytał list jeszcze raz. Zawierał on dwa zdania utworzone z liter różnej wielkości i różnego koloru, wyciętych z gazet i czasopism, tak jak w amerykańskich filmach z lat czterdziestych. „Wiem, kim jesteś i co zrobiłeś. Natychmiast wyjedź z Aix”.

* * *

Pół godziny później Verlaque szedł z powrotem w dół rue Mistral. Zjadł kotlety baranie w towarzystwie Jean-Marca Sauvata, przyjaciela Marine z dzieciństwa, a teraz także jednego z jego najlepszych przyjaciół. Jean-Marc był prawnikiem, prywatnie spokojnym i skrytym, z ironicznym poczuciem humoru. Obaj należeli do klubu palaczy cygar, więc dziś spędzili czas, rozmawiając o innych członkach klubu za ich plecami.

Sędzia zatrzymał się przed La Fontaine, gdzie na drzwiach wisiały

dwa ogłoszenia, jedno z departamentu policji miasta Aix, informujące, że restauracja jest miejscem zbrodni, i drugie, napisane odręcznie: „Zamknięte do odwołania. Przepraszam. Bear”. Verlaque osłonił oczy dłońmi i zajrzał przez okno do środka małego lokalu na ustawione na stołach krzesła, a przez okno po drugiej stronie – na ogród. Dwóch policjantów na klęczkach powoli przekopywało ziemię czymś, co wyglądało jak małe widelce.

Zatrzymał się przy drzwiach na prawo od La Fontaine i nacisnął na dzwonek umiejscowiony najniżej z trzech i opatrzony nazwiskiem Tivolle. Drzwi szybko się otworzyły, bo Tivolle’owie na niego czekali. Bénédicte wprowadziła sędziego do obszernego holu. Verlaque spojrział w górę i zobaczył okazałe schody. Biegły przez co najmniej trzy piętra i przyciągały uwagę na sufit ozdobiony freskiem przedstawiającym mitologicznych bogów i boginie w locie. Takie obrazy zawsze uważał za nudne.

– Mój mąż, Serge, ma na drugim piętrze swoje biuro projektowe, a trzecie piętro musieliśmy wynająć – powiedziała Bénédicte, podążając za spojrzeniem sędziego. – Rodzina z Kanady przyjechała tu na dwa lata. On pracuje w Shellu.

– To piękny dom – zauważył Verlaque. – I doskonale utrzymany. Zawsze podziwiałem go z zewnątrz.

Zanotował w myślach, że powiedziała „musieliśmy wynająć”, zamiast po prostu „wynajęliśmy”.

– Dziękuję – odparła Bénédicte. – To zawód Serge’a, więc dom musi być zadbane. Przez rok dobierał kolory farb na ściany klatki schodowej. Nie powiem panu, jak długo cackał się z resztą domu. – Machnęła ręką. – Róż przy schodach tak naprawdę nazywa się „błady pstrąg”. Słyszał pan kiedyś o czymś takim? Serge uważa, że to ósmy cud świata.

Przewróciła oczami i westchnęła, a Verlaque poczuł cień sympatii do biednego, starego Serge’a.

– Proszę za mną do pokoju dziennego – powiedziała.

Przeszli przez mały pokój muzyczny z białym pianinem przy jednej ścianie i wiolonczelą opartą o regał wypełniony książkami i nutami. Po chwili znaleźli się w większym, skąpo umeblowanym pomieszczeniu. Jedną ze ścian zdobił duży, czarny, marmurowy kominek, a naprzeciwko niego dwa portfenetry wychodziły na ogród na tyłach domu. Verlaque podszedł do jednego z nich i wyjrzał na

zewnątrz. Ogród otoczony był kamiennym murem, na tyle niskim, że łatwo było przez niego przejść, ale nie było widać policjantów, kopiących w poszukiwaniu czegoś w sąsiednim ogrodzie. Na środku ogrodu Tivolle'ów rosło drzewo oliwne, jego pień otaczała kolistą ławka.

- Mam taras - odezwał się sędzia - ale zawsze marzyłem o ogrodzie.
- Oczywiście kłamał. Zdecydowanie wolał taras, wysoko, z pięknym widokiem. Ale chciał usłyszeć, jak Bénédicte mówi o ogrodzie.

- Nie będę owijała w bawełnę - oznajmiła. - To nasz raj, choć nie utrzyma się tutaj nic poza drzewami oliwnymi. Ale jeśli w restauracji obok otrzymają pozwolenie na wybudowanie zewnętrznego tarasu, będziemy mogli korzystać z ogrodu tylko w poranki.

- Przykro mi to słyszeć. Czy przyjaźnicie się z sąsiadami?

- Czy ma pan na myśli Castelbajaców? - zapytała. - O nich panu chodzi? Owszem, znamy ich. Byliśmy sąsiadami przez dziesięciolecia. Serge projektował im renowację kuchni, zanim sprzedali dom. Oczywiście za mało mu zapłacili. A on, rzecz jasna, nie zaprotestował.

- Więc słyszała pani o Grégorym...

- Tak. To bardzo smutna wiadomość.

- Znała go pani?

- Niezbyt dobrze - odparła. - Uczyłam w Lycée Vauvenargues, a Grégory chodził do La Nativité.

- Macie państwo dzieci?

Skinęła w stronę pokoju muzycznego.

- Dwoje, chłopca i dziewczynkę. Ona gra na pianinie, a on na wiolonczeli. To bliźnięta, urodziły się, kiedy miałam czterdzieści dwa lata. To był cud.

Uśmiechnął się.

- Gratuluję. Więc były za małe, by przyjaźnić się z Grégorym...

- Tak, i nie ufałam mu na tyle, by zatrudnić go jako opiekuna do dzieci. Poza tym dwie siostrzenice mojego męża mieszkają w pobliżu i mogły zajmować się bliźniętami.

- Nie ufała pani Grégory'emu...?

Skrzywiła się.

- Był miłym chłopcem...

- Tak wszyscy mówią.

- Ale niespokojnym i niecierpliwym. Nie mogłam powierzyć mu swoich dzieci.

Verlaque odniósł wrażenie, że kobieta coś przemilcza. Właśnie stwierdziła, że nie znała go dobrze, ale jednak wystarczająco dobrze, by nie powierzać mu opieki nad swoimi dziećmi. Być może uważała, że chłopcy nie zajmują się dziećmi tak dobrze, jak dziewczęta, ale nie chciała się do tego przyznać? Zapytał ją, czy przypomina sobie, by słyszała coś niezwykłego przed ośmioma laty, ale odpowiedziała, że to zbyt dawno, by mogła pamiętać.

- A poza tym - dodała - Béatrice zawsze robiła tam mnóstwo hałasu.

- Zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, i dodała szybko: - Ale nie tyle co restauracja!

- Uczy pani filozofii - zmienił temat.

- Tak, dzięki Bogu wkrótce przejdę na emeryturę. Zachowanie młodzieży w klasach znacznie pogorszyło się w ostatnich pięciu latach. Nie mają już szacunku dla nauczyciela. A nie są tajemnicą kiepskie pensje. Dorabiam korepetycjami.

Verlaque skinął głową.

- A ten dom? - zapytał, wskazując na pokój dzienny, który miał co najmniej sześćdziesiąt metrów kwadratowych i przekraczał metrażem wiele paryskich mieszkań. Nauczycielka z liceum i jej pracujący na własny rachunek mąż nie mogliby sobie na niego pozwolić.

- To od mojej rodziny - wyjaśniła Bénédicte. - *Je suis née Bénédicte de Vitrolles.*

Verlaque zmusił się, by nie zagwizdać, tak jak to robił Paulik. Vitrolles to duże miasto na południe od Aix. Przejeżdżał przez nie kilka razy w drodze na lotnisko, ale nigdy nie zapuszczał się w głąb. Stare miasto było otoczone ogromnymi terenami handlowymi, mieściły się tam sklepy samochodowe, *hiper-marchés* i Ikea, w których nigdy nie powstała jego noga. Wyobraził sobie, że rodzina Vitrolles miała tam kiedyś *château*, ale to było pewnie dawno temu.

„Co za ironia” – pomyślał – „że na miejscu *château* znajduje się teraz żółto-niebieski salon szwedzkiej firmy”.

– Castelbajacowie należą do rojalistów, próbujących przywrócić monarchię. Czy pani też?

Bénédicte Tivolle roześmiała się.

– Oszałał pan? Należę do związku nauczycielskiego w Aix, a nikt nie może być dalej od rojalistów niż niedofinansowani, wiecznie strajkujący pedagodzy. Nie, nie należę do rojalistów. Ale mój mąż bardzo by chciał być w ich szeregach, jest pod wielkim wrażeniem różnych hrabiów i księżąt, którzy mieszkali w tym domu i przy naszej ulicy. Ale oczywiście nie może... – Zauważyła zdziwiony wzrok Verlaque’a i mówiła dalej: – Złamałam tradycję, wychodząc za mąż za mężczyznę bez tytułu, więc moje dzieci też nie są szlachetnie urodzone.

Verlaque wychwycił w tym pewien sarkazm. A może to był żal?

– Należę do tutejszego Towarzystwa Historycznego. Zapraszamy – rzekła.

Verlaque natychmiast wyobraził sobie spotkanie tego towarzystwa: wszyscy mówią jeden przez drugiego i godzinami spierają się o drobiazgi typu kolor farby w jakimś budynku.

– Dziękuję – odparł. – Zastanowię się. Czy wasze towarzystwo dokopało się do jakichś informacji o tej dzielnicy? – Natychmiast pożałował zwrotu „dokopało się”, ale wydawało się, że Mme Tivolle tego nie zauważyła.

Skinęła głową.

– Może zrobię nam kawę? – zaproponowała. – Powiem panu tyle, na ile starczy panu czasu.

Zniknęła za wahadłowymi drzwiami i pięć minut później wróciła, niosąc tacę z kawą i czekoladowymi ciasteczkami LU. Pomyślał, że zostały kupione jako przekąski, które bliźnięta miały zjeść po powrocie ze szkoły. Opowiedziała Verlaque’owi o Ludwiku XIV i jego wjeździe do miasta z całą świtą oraz o dzielnym chłopie, który nie chciał ślubować mu wierności i został powieszony w ogrodzie tuż za jej domem. W swoją opowieść wplotła historie Béatrice Germain o klątwie fontanny i zamordowaniu jej braci.

Sędzia zjadł trzecie ciasteczko, wstał i spojrzał przez okno. Zapytał:

- Czy w fontannie nadal nie ma wody?
- Nie ma, ale mam nadzieję, że to już nie potrwa długo.
- Kiedy znowu zaczniesz działać?
- Kiedy rozwiążecie sprawę morderstwa Grégory'ego.

* * *

Verlaque powoli wracał do Pałacu Sprawiedliwości. Idąc, palił grube cygaro marki Churchill, które niedawno otrzymało cztery gwiazdki od czasopisma „L'Amateur de Cigare”. Sędzia zgadzał się z tą wspaniałomyślną oceną dziennikarzy. Cygaro pachniało jak ciepła brioszka, a jednocześnie jak czarny pieprz, smakowało suszonymi owocami, karmelem i... jak mu się wydawało, skórą. Ale z bólem serca zapłacił za nie trzysta euro, mimo że było grube. Nigdy nie przejmował się cenami, ale teraz, choć Marine nie komentowała tego, ile pieniędzy wydawał na wino i cygara, zaczął zwracać na to uwagę.

Zastanawiał się, czy Serge Tivolle ożenił się z Bénédicte dla jej domu i tytułu. Odniósł wrażenie, że ona sama nie przywiązuje wagi ani do jednego, ani do drugiego. Przez dziesięciolecia była sąsiadką Castelbajaców, ale się z nimi nie zaprzyjaźniła. Jak się wydawało, wszyscy sąsiedzi znali Castelbajaców, ale nikt nie był z nimi blisko. Jemu wydali się całkiem mili, pomimo żaloby i przynależności do rojalistów. A Grégory de Castelbajac? Wszyscy, od proboszcza do antykwariuszki, uważali go za „dobrego chłopca”, ale niespokojnego. A Bénédicte Tivolle („*je suis née Bénédicte de Vitrolles*”) przyznała, że mu nie ufała, ale nie wyjaśniła dlaczego.

Kiedy Verlaque przechodził przez otwartą przestrzeń biurową, Paulik siedział przy swoim biurku. Sędzia poklepał go po ramieniu i szepnął:

- Espresso.

Wszedł do swojego biura i włączył ekspres do kawy, kiedy pojawił się komisarz.

- Czy możesz zamknąć drzwi? - zwrócił się do niego Verlaque.

Paulik spełnił jego prośbę i już po chwili przekonał się, z czego wynikała - nie chodziło bynajmniej o prywatność, lecz o woń cygar. Verlaque wyjął zapalniczkę i ponownie zapalił trzycentymetrową

końcówkę swojego cygara. Dźwięki, które temu towarzyszyły – początkowe kliknięcie, następnie syk ognia, gdy sędzia okrężnymi ruchami przesuwając zapalniczkę w przód i w tył wokół czubka cygara – miały przez nadchodzące lata przypominać Paulikowi sędziego. Jego przyjaciela. Otworzył jedno z okien, jak zawsze kiedy jego szef palił, usiadł i położył notes na biurku. Bardzo polubił zapach kubańskich cygar – inaczej niż Mme Girard.

- Jest gdzieś w pobliżu? – chciał wiedzieć Verlaque, zaciągając się przy robieniu kawy dla Paulika. Nie smakowało mu espresso Bénédicte Tivolle.

- Mme Girard jest na szkoleniu – odparł komisarz. – Ale może wrócić lada chwila. Jak pańskie przesłuchania? Moje były zupełnie bezowocne.

- U mnie to samo. Chociaż dowiedziałem się, że rodzice Grégory'ego Castelbajaca należeli do grupy monarchistów.

- Czy nie wszyscy szlachetnie urodzeni należą do takich organizacji?

Verlaque pomyślał o Bénédicte Tivolle, nauczającej w szkole publicznej.

- Nie, nie wszyscy.

Paulik wzruszył ramionami i przejrzał swój notatnik.

- Żaden z prawników i agentów nieruchomości, których biura wychodzą na ogród, nie był pomocny. To zrozumiałe, skoro pracują tylko w ciągu dnia. Menadżerka hotelu La Fleurie przypominała sobie hotelowego gościa sprzed ośmiu lat, który narzekał, że ktoś krzyczy w ogrodzie. Personel hotelu uznał jednak, że to para uprawiająca seks w jednym z mieszkań.

Spojrzał na Verlaque'a i mrugnął w podziękowaniu za wręczoną mu kawę.

- Goście w La Fleurie narzekają z pewnością przez cały czas. – Usiadł. – Quartier Mazarin jest spokojniejsze niż ta strona Aix, ale jest tam zaskakująco dużo hałasu, zwłaszcza dla ludzi, którzy przywykli do wiejskiego lub podmiejskiego życia.

- To samo sugerowałem, ale menadżerka pamiętała tę sytuację wyjątkowo dobrze, ponieważ gość był niezwykle uparty. Przyjechał z Paryża i twierdził, że jest przyzwyczajony do nocnych hałasów,

więc jego komentarze utkwiły kobiecie w pamięci. Jedyne ciekawe informacje pochodzą od antykwariuszki, Mme Dreyfus, która informowała, że Grégory palił trawę i prawdopodobnie eksperymentował z innymi narkotykami.

Sędzia patrzył, jak Paulik wstaje i przemierza biuro.

- Jeszcze jakieś wieści?

- Słucham?

- Wahasz się i chodzisz w kółko.

- Pamięta pan Kévina Malongo?

- Oczywiście - odparł Verlaque. - Wysłałem go za kratki na dwadzieścia lat.

- W zeszłym tygodniu się powiesił. W więzieniu. Podarł piżamę na paski i związał je ze sobą. Zostawił wiadomość, że jest niewinny.

- Na miejscu zbrodni widziała go siostra jednego z jego współników.

- Jej zeznania były wątpliwe, poza tym nienawidziła Malongo - zauważył komisarz.

- Oczywiście, że nienawidziła. Jej brat - jeszcze dzieciak - zginął podczas napadu, podobnie jak pracownik ochrony. Ojciec trojga dzieci.

Paulik wypił swoją kawę i odstawił filiżankę.

- Jej brat miał siedemnaście lat...

- Pamiętam, Bruno.

Verlaque skończył palić cygaro i wstał. Odłożył niedopałek na parapet, by sam się dotlił. W ten sposób woń tytoniu była mniej intensywna. Odwrócił się i zapytał:

- Chcesz powiedzieć, że pośpieszyłem się z tamtą decyzją?

- Po prostu mam nadzieję, że nie popełniliśmy błędu.

„Jakie to typowe dla Paulika” - pomyślał Verlaque - „że chce dzielić ze mną odpowiedzialność. Ale to ja jestem sędzią śledczym”.

Przypomniał sobie historię, zrelacjonowaną mu przez Marine, o sędzim z powieści Rabelais'go, który nie mogąc podjąć decyzji, rzucił kostką.

„Jeśli był jakiś sędzia Bridlegoose, który zdecydował o losie Kévina Malongo, to byłem to ja, nie ty, drogi komisarzu”.

15

Trois Frères et Une Cousine

- Bracia Castelbajac są w drodze - poinformowała Verlaque'a Mme Girard dwadzieścia minut po jego rozmowie z Paulikiem.

Jej nozdrza poruszyły się i popatrzyła na sędziego, unosząc brwi. On udawał, że układa papiery na biurku.

- Zostawię drzwi do gabinetu otwarte - dodała, szybko wachlując drzwiami w przód i w tył, by wpuścić do pomieszczenia trochę świeżego powietrza.

Kilka minut później Emile, Philippe i Ludovic de Castelbajac siedzieli naprzeciwko Verlaque'a przy jego biurku ze szklanym blatem. Zaproponował im kawę, ale odmówili. Wszyscy byli wysocy - znacznie wyżsi niż Grégory - a ich rodzinne podobieństwo przejawiało się jasną cerą, mocną linią szczęki i szerokimi ustami. Dwaj młodsi bracia mieli takie same gęste i kręcone włosy jak Grégory, ale Ludovic był ostrzyżony na jeża. Wydawali się zmęczeni, Ludovic i Philippe mieli podkrążone oczy. Włosy Emile'a były nieumyte.

- Dziękuję za przybycie - odezwał się Verlaque. - Mogłem jeszcze raz pojechać do Sanary.

Philippe machnął ręką.

- Musieliśmy się stamtąd wyrwać.

Emile skinął głową i popatrzył w dół. Philippe mówił dalej:

- Tata nie przestaje mówić o Grégorym, a mama nie wychodzi ze swojego pokoju.

- To zrozumiałe - odparł Verlaque. - Kiedy pogrzeb?

- Pojutrze, w Saint Jean de Malte - rzekł Philippe. Wydawało się, że to on reprezentował całą trójkę. - O jedenastej.

Sędzia skinął głową i powiedział:

- Będę musiał prosić panów o pomoc w ustaleniu, co stało się z waszym bratem. Wiem, że to wydarzyło się osiem lat temu...

- Właśnie - przerwał mu Philippe. - Od ponad dwudziestu lat mieszkam w Paryżu, a już dużo wcześniej przestałem się interesować tym, co robi Grégory. Kontaktowałem się z nami wyłącznie wtedy, gdy potrzebował więcej pieniędzy od taty. Obaj chodziliśmy do szkół - spojrział na Emile'a - i ciężko pracowaliśmy, by zdać egzaminy, szukaliśmy pracy i zarabialiśmy własne pieniądze.

Sędzia zerknął na Ludovica, najstarszego z nich, który najwyraźniej został pominięty przez swojego brata.

- Nie chodziłem do szkoły - oznajmił Ludovic.

- Ale pracowałeś! - zawołał Philippe. - Nie chciałem...

- Nie ma problemu, bracie - powiedział Ludovic, nie ukrywając sarkazmu.

- Nie kłóćcie się - poprosił Emile. - Nie teraz.

Ludovic przeniósł wzrok na Verlaque'a i wyjaśnił:

- Byłem na morzu...

- Och? - zapytał sędzia, pochylając się do przodu.

- Byłem kapitanem frachtowca - dodał Ludovic. - Właśnie przeszedłem na emeryturę. Dwadzieścia pięć lat na morzu to bardzo długo. Zacząłem pływać, kiedy tylko skończyłem szkołę średnią.

Verlaque spojrział na Ludovica de Castelbajaca, który jako najstarszy syn miał odziedziczyć tytuł. Ale był emerytowanym kapitanem żeglugi morskiej i sędzia domyślał się, że nie był żonaty, bo w domu hrabiostwa nie zobaczył jego rodzinnego zdjęcia.

Sędzia zerknął też na Emile'a, który nadal przyglądał się delikatnym paskom na swoich lnianych spodniach. Verlaque zastanawiał się, czy synowie pomagają rodzicom w tym trudnym czasie. Wyobrażał sobie, że Emile jest lekarzem, a Philippe prawnikiem. Wtedy Philippe zaskoczył go, mówiąc:

- Dziewięć lat zajęło mi ukończenie studiów medycznych i zdobycie specjalizacji w dziedzinie chirurgii kosmetycznej. - Tak jakby wciąż rozmawiali o ich edukacji.

- Grégory nie zawsze prosił o pieniądze - odezwał się Emile prawie szeptem. Najwyraźniej był prawnikiem o najłagodniejszym głosie na świecie.

- *Bof* - burknął Philippe. - Rzeczywiście, kiedy sprzedawał narkotyki, nie potrzebował pieniędzy.

- Czy sprzedawał tutaj, w Aix? - zapytał Verlaque.

- Tak, sądzimy, że tak - odparł Ludovic.

Emile spojrział na brata, najwyraźniej zirytowany, ale milczał. Ludovic mówił dalej:

- Spotkałem go kiedyś, jak wychodził z Saint Jean de Malte, bardzo szczęśliwy, bo miał kieszonkę pełną gotówki. Jak inaczej bezrobotny dzieciak zdobyłby taką sumę?

- Mówił, że ima się prac dorywczych - zauważył Emile.

- Ludovic właśnie powiedział, że Grégory wyszedł z kościoła - zauważył Philippe. - Jakie prace dorywcze wykonywałby w Saint Jean de Malte?

Verlaque uniósł brwi i przypomniał sobie swoją rozmowę z *père* Jean-Lukiem, który powiedział, że lubił chłopca, ale niewiele pamiętał na jego temat, nie przypominał też sobie imion jego przyjaciół. Sędzia obiecał sobie wydobyć od księdza więcej informacji.

Emile wytarł nos w lnianą chusteczkę, potem starannie ją złożył i umieścił z powrotem w przedniej kieszeni spodni.

- Kto chciałby skrzywdzić Grégo? - zastanawiał się.

- No właśnie - dodał Philippe, a na jego twarzy po raz pierwszy pojawiła się rozpacz.

- Co możemy zrobić? - zapytał Emile.

- Powiedzcie mi wszystko, co wiecie o swoim bracie - odrzekł Verlaque. - Z kim się przyjaźnił?

- Z naszą kuzynką Juliette... - odezwał się Ludovic.

- Zostawiłem dwie wiadomości na jej poczcie głosowej - powiedział Verlaque.

Philippe przewrócił oczyma.

- Typowe dla Juliette.

- Ale ona rzadko jest w domu - wyjaśnił Emile. - Pracuje w szkole dla niepełnosprawnych intelektualnie dzieci. Proszę próbować dalej. Dodzwoni się pan do niej, prawdopodobnie w weekend.

Verlaque spróbował z innej strony.

- Czy Grégory kontaktował się z wami z Ameryki Południowej?

- Poprzez pocztówki - powiedział Philippe. - Z historycznych miejsc. Bardzo interesowali go Indianie i ich prawa. Kiedyś dostałem kartkę z Machu Picchu, na jej odwrocie Grégo napisał: „Zobacz, czego dokonali Indianie z Peru”. Dzień później otrzymałem pocztówkę z widokiem na Limę z lotu ptaka, w smogu, z fawelami ciągnącymi się wzdłuż i wszerz. Grégory napisał: „Hiszpanie zabili Indian i zniszczyli ich miasta, by stworzyć coś takiego”.

Verlaque skinął głową, zauważając, że Philippe nazywał teraz brata Grégo.

- Gdzie mieszkał, kiedy przebywał w Ameryce Południowej?

- Sądzymy, że z przyjaciółmi - odparł Ludovic. - Albo w schroniskach młodzieżowych.

- Czasem myślę, że sypiał na plaży albo w parku - dodał Philippe. - Taki był, nie potrzebował żadnych wygod. Mogę to o nim powiedzieć: nie szukał żadnych luksusów ani bogactw. Jednak do tego, żeby podróżować, nie pracując, potrzeba pieniędzy.

- Jakie narkotyki zażywał? - zapytał Verlaque.

- Nie jesteśmy pewni - odparł Emile.

- Czasami wysyłał mi długie rozwlekłe listy na tym cienkim niebieskim papierze przeznaczonym na tanie przesyłki. Jestem pewien, że był naćpany, kiedy je pisał - poinformował Philippe.

Emile skinął głową.

- Też takie dostawałem. Wciąż je mam.

- Ja również - oznajmił Ludovic.

- Czy mógłbym zobaczyć całą korespondencję od Grégory'ego? - zapytał Verlaque.

Bracia wymienili spojrzenia.

- Moja jest w Paryżu - odparł Philippe.
- Moja też - dodał Emile. - Nawet nie pomyślałem, żeby ją ze sobą zabrać. Głupio z mojej strony...
- Skąd miałeś wiedzieć? - zapytał Philippe.
- Poszukam tych przesyłek na strychu - zapewnił Ludovic.
- Może pan je zapakować i przesłać do mnie - odezwał się sędzia. - Mme Girard, moja sekretarka, napisze panu adres. Zapłacimy za przesyłkę.
- Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - oznajmił nagle Emile, wstając.

Zbladł, a na jego twarzy i szyi pojawiły się krople potu.

- Proszę bardzo. - Verlaque wskazał w kierunku drzwi i szybko się podniósł. - Czy potrzebuje pan czegoś? Jak się pan czuje?
- Jakbym się dusił - brzmiała odpowiedź. - Muszę się po prostu trochę przejść.
- Mogę porozmawiać z panem innym razem - zaproponował Verlaque.
- Pójdę z tobą - zaoferował Ludovic. - Jeśli mogę.
- Dobrze - zgodził się sędzia. - Odwiedzę pana na rue Cardinale, jeżeli będę miał jeszcze jakieś pytania.
- Idźcie - powiedział Philippe, wyraźnie zmartwiony. - Skończę rozmowę i spotkamy się przy samochodzie.

Emile de Castelbajac otworzył drzwi i wyszedł ze zwieszonymi ramionami, za nim podążał jego najstarszy brat.

- Da sobie radę? - zapytał sędzia, ponownie siadając.
- Tak, tak myślę. Żona od niego odchodzi.
- Przykro mi.
- Tak, to kiepski czas w jego życiu. Ale Emile jest bardziej wstrząśnięty śmiercią Grégory'ego... morderstwem... niż my. Był najbardziej z nim związany. Grégo nieskończenie mnie irytował. Przepraszam, jeśli wydają się nieczuły.
- Co robił Grégory, kiedy jeszcze mieszkał w Aix? Zgaduję, że był

dobrym uczniem.

Philippe roześmiał się.

- Nie, biedak. Emile i ja byliśmy dobrymi uczniami, a Ludovic plasował się powyżej średniej, ale okazało się, że musiał pracować gdzieś na zewnątrz, na morzu. Nasz ojciec kocha morze, więc to akceptował. A Grégo... Rodzice byli niepokieszeni tym, że mają dziecko, o którym nauczyciele mówią, że wolno się uczy. Grégory miał zerową koncentrację i nie umiał usiedzieć na miejscu. Amerykanie nazywają to ADHD, ale tutaj dopiero próbujemy zrozumieć ten problem. Jednak Grégo był inteligentny i uzdolniony manualnie. Powinien zostać pokierowany do pracy fizycznej, na przykład jako elektryk. Ale oczywiście to nie było wystarczająco dobre dla Castelbajaków.

- Czy jest pan członkiem grupy rojalistycznej, do której należą pańscy rodzice?

Verlaque nie wiedział dlaczego, ale nie mógł pozbyć się sprzed oczu widoku haftu z holu wejściowego u Castelbajaków. Być może Philomène była na dobrym tropie?

- Tak - odpowiedział Philippe zgodnie z prawdą. - To jedna z tych rzeczy, w których nie zgadzałem się z Grégorym. Indianom wiodłoby się lepiej, gdyby rządził nimi silny monarcha.

„Ale to właśnie monarchowie wysłali konkwistadorów do Nowego Świata” - pomyślał Verlaque.

Chciał jednak, by Philippe mówił dalej, więc tylko skinął głową, jakby się z nim zgadzał.

- Wszyscy ci imigranci masowo przekraczający Morze Śródziemne. Pięćdziesiąt lat temu zbuntowali się przeciwko rządowi kolonizatorów - przeciwko nam, Anglikom, Holendrom, nam, którzy zbudowaliśmy im drogi, szpitale i szkoły. Więc daliśmy im niepodległość, a oni pogrążyli się w chaosie wojen domowych, dyktatur, ludobójstwa. I teraz wszyscy zwracają się do nas. Ich kolonizatorów. Co za ironia. Ale będą zaskoczeni, bo nasi politycy są tak samo nieuczciwi, jak ci u nich.

Westchnął i spojrzał na sufit.

- Czy należy pan do tej samej grupy co pańscy rodzice? - dociekał sędzia.

- Nie, chodzę na spotkania w Paryżu, a oni tu w Aix.
- Czy mógłby pan...?
- Przekazać panu nazwiska? - zapytał Philippe. - Oczywiście. To nie jest żadna tajna organizacja. To lokalny oddział Stowarzyszenia Szlachty Francuskiej.
- Association de la Noblesse Française?
- Dokładniej mówiąc: Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy Szlachty Francuskiej - sprecyzował Philippe. - W Aix prezesem jest Casimir de Tressan. Mój ojciec jest wiceprezesem.
- Księżę de Pradet także należy do stowarzyszenia, prawda? - zapytał sędzia, starając się brzmieć przyjacielsko, jak na spotkaniu sąsiadów ucinających sobie pogawędki pomiędzy partiami brydża. Dla lepszego efektu dodał: - Moja żona ma mieszkanie przy tym samym ogrodzie i lubi księcia. To fascynujący człowiek...

Philippe de Castelbajac prychnął.

- Nie tak bystry, za jakiego się uważa. Odszedł ze stowarzyszenia w gniewie. Ale Marguerite została, świeć Panie nad jej duszą. Blisko przyjaźniły się z *maman*.

Verlaque właśnie zastanawiał się, kogo mógłby wysłać do stowarzyszenia w charakterze nowego członka, kiedy Philippe podniósł się i przeciągnął.

- Czy to wszystko? - zapytał. - Powiniennem wrócić do samochodu i sprawdzić, jak się czuje Emile.
- Oczywiście - zgodził się sędzia, ściskając rękę lekarza. - Dziękuję, że przyjechał pan do Aix. Jeszcze tylko jedno pytanie. O przyjaciół Grégory'ego...
- Miał dwóch najbliższych przyjaciół - odparł Philippe. - Chyba z gimnazjum.
- Trzech muszkieterów - skomentował Verlaque.
- Właśnie. Jeden z nich miał popularne imię. Jean coś tam. Jean-Yves? Jean-Louis?
- A drugi?
- Imię łatwe do zapamiętania - odpowiedział Philippe. - Sigisbert. Niestety nie pamiętam jego nazwiska.

Sędzia starał się ukryć zaskoczenie.

- Nieważne, dziękuję.

„On nie należy do szlachty” - pomyślał. „Więc nie musisz pamiętać jego nazwiska”.

Wychodząc, Philippe de Castelbajac wyglądał na bardziej zmęczonego, czy wręcz przybitego, niż kiedy wchodził do gabinetu. Spojrzał na sędziego tak, jakby oficjalnie rozpoczął żałobę. Verlaque pomyślał o swoim bracie, Sébastienie. Nic ich nie łączyło i rzadko się widywali, podobnie jak Philippe i Grégory de Castelbajac. Ale ostatnim razem, kiedy się spotkali na ślubie Verlaque'a we Włoszech, czuli się sobie bliżsi niż przez wszystkie ostatnie lata. Być może dlatego, że Sébastien podjął wysiłek, by przyjechać, a być może dlatego, że on sam był tak uskrzydłony tego dnia, że nawet wroga zaprosiłby do swojego weselnego stołu? Albo z powodu zabawnego żartu na temat różnicy wieku pomiędzy ich ojcem a Rebeccą Schultz? Albo też uśmiechu, jaki pojawił się na twarzy Verlaque'a, kiedy Sébastien i Sylvie się śmiali?

Patrzył, jak Philippe de Castelbajac oddala się, by zniknąć za rogiem. Obok przeszedł młody policjant, pchając wózek pełen dokumentów. W głowie sędziego pojawił się nagle obraz Mamadou idącego w dół ulicy z taczkami przed sobą. Jęknął głośno. Był tak zajęty szukaniem dobrego lunchu, że zignorował pomywacza z La Fontaine. Teraz wiedział, gdzie znajdzie Beara. Ale najpierw musi pojechać do Awinionu.

* * *

Między Aix i Awinionem toczyła się długoletnia rywalizacja. Oba miasta były starożytne, zbudowane z tego samego złotawego kamienia. Awinion leżało nad wodą - rzeką Rodan - a Aix nie mogło się tym pochwalić, chyba że wliczyłoby się fontanny. Ale Verlaque nie uważał, by można je było uznać za zbiorniki wodne. Aix miało festiwale operowe i Cézanne'a, Awinion - pałac papieski i popularny letni festiwal teatralny. Oba miasta mogły się poszczycić eleganckimi sklepami, ale lepszy obiad można było zjeść w Awinionie. „To, razem z faktem, że przez Awinion przepływała rzeka, dawało Awinionowi dwa punkty” - pomyślał Verlaque, zwalniając przed bramką prowadzącą na autostradę. Urządzenie na bramce wykryło transponder na szybie samochodu, szlaban się uniósł i Verlaque ruszył dalej. Skrzywił się, kiedy pomyślał o winach - Awinion leżało niedaleko winnic châteauneuf-du-pape, Aix miało

młodsze coteaux d'Aix. Nie ta sama liga. Kolejny punkt dla Awinionu.

Godzinę później Verlaque opuścił autostradę zjazdem na Awinion Południe, a GPS kierował go przez peryferia miasta w stronę szkoły Juliette de Castelbajac, której adres Mme Girard znalazła bez trudu. Rozejrzał się po pustych ulicach i tandetnych budynkach i dodał jeden punkt dla Aix. Przedmieścia w Aix, nawet Jas de Bouffan, nie wyglądały tak smutno i biednie. Kiedy zbliżał się do starego miasta, sytuacja wcale nie przedstawiała się lepiej. Siedemnasta dzielnica w Paryżu, gdzie mieszkali jego dziadkowie, też taka była - z usługami nastawionymi na potrzeby imigrantów, sklepami, w których znajdowały się budki telefoniczne, zapewniające możliwość prowadzenia rozmów na dużą odległość, zazwyczaj do Afryki; z oświetlonymi neonami, etnicznymi restauracjami; ze sklepami perukarskimi oraz tradycyjnymi narożnymi aptekami i barami. W dzielnicy znajdował się basen miejski, teatr i dom kultury, gdzie Emmeline jako wolontariuszka prowadziła lekcje sztuki. W siedemnastym okręgu Paryża panowała radosna atmosfera, a ulice wypełniali liczni przechodnie. Tutaj było inaczej.

Poczuł ulgę, kiedy pięć minut później zatrzymał się przed frontem szkoły, w której pracowała Juliette de Castelbajac. Budynek był nowy, zbudowany z dużej ilości szkła i stali, prawdopodobnie zaprojektowany przez młodego architekta, który otrzymał pierwsze duże zlecenie. Prostota bryły dała Verlaque'owi jakąś nadzieję - postrzegał to jako znak, że znajdzie Mlle Castelbajac, a ona rzuci nieco światła na sprawę swojego kuzyna, Grégory'ego. Ponieważ nie odpowiadała na jego telefony, zdecydował, że zjawi się niezapowiedziany. Był czwartek, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa Juliette będzie w pracy. A przynajmniej na to liczył.

Kiedy szedł w stronę drzwi wejściowych, usłyszał śmiechy i krzyki. Na prawo od wejścia znajdowało się okienko, przez które widział siedzącą w pomieszczeniu konsjerżkę, pogrążoną w lekturze czasopisma. Kobieta spojrzała w górę i wskazała na mikrofon po prawej stronie okienka.

- Aha, dobrze - powiedział, z całych sił starając się wyglądać na bezradnego.

Nacisnął biały włącznik obok mikrofonu, a ona odezwała się zza biurka:

- Ojciec? Zajęcia kończą się dopiero za dwie godziny.

- Hmm... Nie jestem ojcem - odpowiedział z uśmiechem. Pokazał jej odznakę. - Sędzia Antoine Verlaque z Pałacu Sprawiedliwości w Aix. Chcę rozmawiać z kimś z grona pedagogicznego.

Dozorczynie gwałtownie podniosła się, by obejrzeć odznakę, uderzając przy tym w szybę. Zauważył, że widok odznaki ją uszczęśliwił.

- Z kim chciałby pan rozmawiać?

- Z Juliette de Castelbajac.

Bez słowa kliknięciem otworzyła drzwi wejściowe i Verlaque wszedł do dużego, jasnego korytarza, ozdobionego kolorowymi malowidłami.

- Proszę za mną - odezwała się, wychodząc z pokoiku. - Mlle Castelbajac jest na zewnątrz, na tyłach budynku. Z dziećmi.

Podążył za tą niską, korpulentną kobietą przez długi korytarz, gdzie pod ścianami leżały plecaki, a na haczykach umieszczonych około metra nad ziemią wisały kurtki. Przypominało to typową szkołę, ale wiedział, że to szkoła specjalna. Przez podwójne drzwi wyszli na dziedziniec, gdzie dzieci biegały we wszystkich kierunkach. Troje nauczycieli stało razem i rozmawiało. Dozorczynie uniosła palec, wskazując Verlaque'owi, żeby się zatrzymał, i podeszła do tej grupy. Najwyższa nauczycielka - chuda kobieta w szarawarach i z pofarbowanymi na różowo włosami - rzuciła mu spojrzenie i powoli do niego podeszła.

- Mlle Castelbajac? - zapytał, kiedy stali już naprzeciwko siebie.

- Tak, to ja. - Miała duże brązowe oczy i okrągłą dziecięcą twarz, która stanowiła kontrast z jej kanciastym ciałem. Musiał bardzo się starać, by nie wpatrywać się w małe kółeczka przebijające jej lewą brew.

- Trudno się z panią skontaktować.

- Zepsuł mi się telefon komórkowy - odpowiedziała beznamiętnie.

Ale skąd wiedziała, że próbował dzwonić na komórkę? Mógł przecież zadzwonić do szkoły albo na jej telefon stacjonarny. Zamiast dociekać Verlaque rzekł:

- Chciałbym zadać pani kilka pytań na temat pani kuzyna, Grégory'ego.

- Proszę pytać.

Krzyki dzieci były ogłuszające, ale w pewien sposób okazało się to pomocne, bo hałas sprawił, że musieli stanąć bliżej siebie.

- Pani ciocia i wujek mówią, że bardzo blisko trzymaliście się z Grégorym.

- Tak - potwierdziła.

Przełknęła ślinę i Verlaque zauważył, że jej zdenerwowanie powoli ustępuje.

- Jako dzieci spędzaliśmy razem wakacje w Sur.

- A jako dorośli?

Przymknęła oczy i powiedziała:

- Nadal byliśmy sobie bliscy. - Przechyliła głowę i spojrzała na sędziego, po czym zapytała: - A co pan wie o Grégorym? Jakim według pana był człowiekiem?

Verlaque nie miał jej za złe, że zadawała pytania. Chciał tylko, żeby mówiła. Odezwał się:

- Wiem, że kochał podróże, zwłaszcza do Ameryki Południowej, uwielbiał historię i cenił sobie prawa człowieka.

W kącikach jej ust mignął uśmiech, ale oczy napełniły się łzami.

Verlaque mówił dalej:

- Wiem też, że był w rodzinie czarną owcą.

Juliette rozciągnęła na boki swoje szarawary, po czym wskazała na kolczyk w brwi.

- Było nas dwoje. Dwie czarne owce. Rzuciłam prawo, żeby studiować pedagogikę.

- Co jeszcze was łączyło? - zapytał.

- Nie narkotyki, jeśli to pan ma na myśli - odpowiedziała. - Prowadzę zdrowe życie. Nie radziłabym sobie z tymi dziećmi, gdybym nadużywała alkoholu czy narkotyków. - Jakby na potwierdzenie, dwaj siedmio- lub ośmioletni chłopcy zaczęli biegać wokół nich ze śmiechem. Verlaque zauważył, że obaj mają zespół Downa. Wyższy z nich pociągnął tył marynarki Verlaque'a, po czym obaj odbiegli.

- Czy Grégory sprzedawał narkotyki?

Po twarzy Juliette de Castelbajac przebiegł jakiś cień, ale odpowiedziała przecząco.

- Jednak zażywał narkotyki. Nie sądzę, by były mocne. Do diabła, i tak wkrótce będą tutaj legalne. Grégory był nieszkodliwy. - Zamknęła oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, sędzia dostrzegł w nich gniew. - Kto chciałby go skrzywdzić?

- Nie wiem - odparł, patrząc na bawiące się dzieci. Odwrócił się do niej i zapytał: - Czy czegoś się obawiał, kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Pokręciła przecząco głową.

- Widziałam go na pogrzebie naszej babci. Wydawał się na coś zły albo czymś wzburzony. Uznałam, że po raz kolejny pokłócił się z rodzicami albo z Philippe'em. Philippe był wobec niego bardzo surowy.

- Ale Grégory nie powiedział pani, co go dręczy? Czy to pani nie zdziwiło, biorąc pod uwagę, jak byliście sobie bliscy?

- To był pogrzeb, z tym całym tradycyjnym kiczem, towarzyszącym naszym rodzinnym spotkaniom. Nie mieliśmy czasu, by usiąść i pogadać.

- Pani wuj, hrabia, należy do grupy rojalistycznej. Podobnie jak Philippe. Jak czuł się z tym Grégory, który miał przecież socjalistyczne ciągoty?

Juliette wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Ta odpowiedź zupełnie go nie satysfakcjonowała, ale zanim mógł zadać dodatkowe pytania, ci sami chłopcy przybiegli, by znowu zataczać wokół nich kręgi. Juliette zawołała ich po imieniu i powiedziała, żeby poszli bawić się z innymi dziećmi.

- Pani chłopak! - zawołał wyższy dzieciak, wskazując na Verlaque'a. Obaj wybuchnęli śmiechem.

- Mąż - zakrzyknął jego towarzysz, podskakując. Rzucili się sobie w ramiona, wciąż rozradowani.

- Mam już żonę - wyjaśnił sędzia z uśmiechem. - Marine. Ma na imię Marine.

- Już cię nie lubię - oznajmił mniejszy z chłopców. - I nie lubię Marine.

Objęli Juliette za kolana, każdy po jednej stronie.

- Juliette - powiedział wyższy, wpatrując się w jej twarz - nie bój się. Słyszeliśmy, jak mówiłaś Agnès, że się boisz. My się tobą zaopiekujemy.

Emile de Castelbajac siedział w fotelu pasażera i wpatrywał się przed siebie. Ludovic i Philippe stali przy samochodzie wypożyczonym przez Philippe'a i kłócili się. Mieli szczęście, że znaleźli miejsce na małym publicznym parkingu naprzeciwko Pałacu Sprawiedliwości. Za ich samochodem zatrzymał się duży range rover i kierowca otworzył okno, by zapytać:

- Czy panowie wyjeżdżają?

- Spadaj - krzyknął Ludovic.

- Niestety nie - odparł Philippe i gestem pokazał, by kierowca jechał dalej. - Popatrzył na brata i skomentował: - Wciąż masz pretensje do całego świata.

Ludovic wzruszył ramionami.

- Naprawdę powinieneś pojechać z nami do Sanary - mówił dalej Philippe. - Mogę przywieźć cię tu z powrotem, kiedy Emile i ja będziemy mieli wracać pociągiem do Paryża.

- Kiedyś byłem w Sanary...

- Tylko przez kilka godzin - zaproponował Philippe.

- Zawsze lubiłeś mi mówić, co mam robić. Po części dlatego wybrałem morze. Żeby od was wszystkich uciec.

- Zapomnij o naszych sprzeczkach i pomyśl o *maman* i papie. I o Grégorym.

- Grégory był próżniakiem - zauważył Ludovic. - To właśnie ty zawsze tak o nim mówiłeś.

- Być może byłem dla niego zbyt surowy.

Ludovic parsknął śmiechem.

- No cóż, teraz przynajmniej wiemy, co się z nim stało...
- Już nie będzie przysparzał kłopotów - zauważył Ludovic, odwracając się.
- Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu...

Emile otworzył drzwi samochodu.

- Powinniśmy już jechać. *Maman* i *papa* są całkiem sami.
- Czy zamierzasz tak po prostu odejść? - Philippe zawołał za Ludovikiem.
- Właśnie to robię - oznajmił tamten, idąc przez parking w kierunku Cours Mirabeau.

Philippe usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

- Czy bracia kiedykolwiek mogą się dobrze poznać?

16

La Fontaine znowu działa

- Dobrze, mamy rezerwacje na szesnaście osób, co oznacza pełną salę - oznajmił Bear, patrząc na każdą osobę z personelu.

Głos mu drżał, a jego twarz wydawała się wyjątkowo blada. Marine uznała, że to z powodu stresu wywołanego zmianą lokalizacji. Mówił dalej:

- Może to nie jest dużo gości, ale mamy tu ograniczone zasoby i niewiele sprzętu. Bez obrazu, *madame*.

- Proszę, mów do mnie Marine - poprosiła gospodyni. - I nie obraziłam się.

- Zakładam, że wszyscy znacie numery stolików - mówił dalej Bear.
- I dzisiaj wieczorem, dzięki Bogu, nie będzie problemu ze stolikami nieparzystymi.

Marine wydawała się zaskoczona, a Florian wyjaśnił:

- Na przykład stoliki pięcioosobowe. Największy stół, jaki dzisiaj mamy, będzie wygodny dla czterech osób. Pięciu osobom będzie przy nim ciasno, chociaż mamy dodatkowe krzesło, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

- Florian to mój zastępca - powiedział Bear.

- Raczej twoja żona - odparł Florian ze śmiechem.

- On ma na myśli, że wciąż mnie obserwuje i zna każdy mój ruch. Jeśli nie możesz czegoś znaleźć, zapytaj Floriana. Nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówimy, przecież nie będziesz pracowała z nami dziś wieczorem.

- To fascynujące - stwierdziła Marine. - Chciałabym przez chwilę poobserwować was w akcji, a potem was zostawię i pozwolę obsługiwać gości.

Zadzwonił telefon Beara. Mężczyzna przeprosił i odebrał go

w pomieszczeniu, które wcześniej było pokojem dziennym i jadalnią Marine, a teraz stało w nim sześć dwuosobowych stolików i siódmy nakryty dla czworga gości. Marine pozostawiła duże, kolorowe zdjęcia autorstwa Sylvie przedstawiające ludzi pływających w morzu, ale zdjęła fotografie osobiste i rodzinne. Wraz z Mamadou ozdobili stoliki małymi świeczkami i Marine była zaskoczona tym, jak dobrze jej mieszkanie wyglądało jako restauracja. Sofa i fotele leżały teraz ułożone jedne na drugich w pokoju gościnnym.

- Coś tu pięknie pachnie - zauważyła Marine, podnosząc pokrywkę ogromnego gara ze stali nierdzewnej.

- Toskańska wodzianka - wyjaśnił Florian. - Bear i ja zrobiliśmy ją rano. Jako drugą przystawkę przygotowaliśmy ravioli. Główne danie to grillowane kalmary z *linguine* i pieczonymi warzywami albo *ossobuco* w białym winie.

- Białe *ossobuco*? - dopytywała Marine. - Bez pomidorów?

Florian uniósł pokrywkę kolejnego garnka.

- Zamiast pomidorów białe wino i anchois.

Bear wszedł do kuchni, wkładając swój telefon komórkowy do tylnej kieszeni spodni. - Złe wieści. Jacques jest chory. Jego lekarz mówi, że to zapalenie płuc.

Mamadou odłożył stertę talerzy, które miał wynieść do jadalni, a Florian oparł głowę na dłoniach.

- Zgaduję, że Jacques to twój kelner - powiedziała Marine.

Bear skinął głową, patrząc na zabytkowy zegar, który wisiał u Marine na kuchennej ścianie.

- Za godzinę przyjdą pierwsi goście.

- To moje mieszkanie, poza tym wiem to i owo na temat jedzenia i wina - odezwała się Marine.

Nie wyjaśniła jednak, że jej wiedza jest całkiem świeża. Jako dziecko nieczęsto jadała w restauracjach, a podczas studiów prawniczych w Paryżu raczej przesiadywała w bibliotece lub spotykała się z przyjaciółmi na drinka w tanim barze. Ale im częściej bywała z Verlakiem w restauracjach, tym bardziej interesowała się funkcjonowaniem tych lokali, podziałem obowiązków, organizacją. Miała kiedyś koleżankę, która zrezygnowała ze studiów prawniczych, by rozpocząć studia

teatralne. Nie chciała być aktorką, ale pracować za kulisami. „Kiedykolwiek wychodzę na scenę, zapominam tekstu” – skarżyła się Marine, gdy piły piwo z grenadyną (nigdy nie przyznała się do tego Verlaque’owi) w jednym z wielu barów studenckich w okolicy rue Moufflard. „Patrzę na światła i staram się zgadnąć, gdzie kupili meble do tego przedstawienia”.

Ostatnie wieści, jakie dotarły do Marine o tej koleżance, to to, że wyszła za mąż i miała trójkę dzieci. I nadal pracowała w teatrze – w La Comédie Française.

- Czy coś sugerujesz? – zapytał Bear.

- Zostanę i będę podawać do stołu – odparła. – Florian powiedział mi o daniach na dzisiejszy wieczór, więc muszę tylko spojrzeć na waszą listę win. Są z Toskanii czy z Piemontu?

Bear uśmiechnął się.

- Oczywiście z Piemontu. A niektóre z Friuli.

- Och, z Friuli białe, mam nadzieję – powiedziała Marine. – Jakie mamy dziś ravioli?

- Z zielonym groszkiem z rynku – wyjaśnił Florian. – Z ricottą i parmezanem w sosie na bazie masła i szałwii.

Marine uśmiechnęła się szeroko.

- Chyba nie wzięliście szałwii z mojego tarasu?

Bear roześmiał się i wskazał na Mamadou.

- On to zrobił.

* * *

Dwie godziny później kolacja w La Fontaine trwała w najlepsze. Tylko dwa stoliki stały puste, ale nie trzeba było długo czekać, by i one się zapełniły. Zmywarka Marine wykonała już dwa cykle mycia, a Mamadou, który przygotował większość rzeczy z wyprzedzeniem, pomagał teraz w obsłudze gości. W dużym garnku przez cały czas gotowała się woda do ravioli, przez co kuchnia przypominała łaźnię parową. Marine otworzyła drzwi na taras, żeby schłodzić pomieszczenie, i cieszyła się, że nie przygotowali kilku stolików na zewnątrz. Już i tak wystarczająco martwiła się o poziom hałasu i o to, co mogli pomysleć sąsiedzi.

Chociaż ona kochała takie odgłosy i wiedziała, że Bear i inni także za nimi przepadają - widelce uderzające o talerze, stukanie kieliszków, rozmowy i śmiech gości.

- Pierwszy stolik właśnie skończył pierwsze danie - powiedziała do Beara, stawiając w rogu stertę brudnych talerzy.

- W porządku - odparł Bear, nie podnosząc wzroku znad patelni.

- Przepraszam - rzucił Florian, przeciskając się między nimi z nożem w ręce.

Kuchnia Marine była wąska i chociaż praktyczna dla niej samej, bo wszystko znajdowało się w zasięgu ręki, teraz wydawała się maleńka. Marine przypomniała sobie, że trzeci stolik właśnie poprosił o wino barbera, pośpieszyła więc do sypialni, gdzie je trzymali. Chwyciła butelkę, a kiedy wracała do pokoju dziennego, osoby siedzące przy czwartym stoliku zażyczyły sobie więcej wody.

- Oczywiście - odparła.

Pokazała butelkę wina barbera gościom obok i powoli ją otworzyła, zadowolona, że Bear przyniósł z restauracji porządny korkociąg. Kiedy mąż, kochanek, a może kuzyn testował wino, ona przyglądała się twarzom gości, starając się je zapamiętać. Musiała jednak zwawo się uwijać, więc twarze pozostawały zamazane. Nie miała czasu na swoją zwyczajową zabawę w wymyślanie historii o gościach w restauracji.

Szybko wróciła do kuchni, a stamtąd wyszła na taras, gdzie stały butelki z wodą.

- *Merde* - zaklął Florian, kiedy wróciła do kuchni. - Skończyły się płatki chili.

- Mam trochę - pocieszyła go Marine. - Kupiłam je w tym roku w Ligurii. Druga szuflada po lewej.

Florian skinął głową, a Marine zdała sobie sprawę, że w restauracyjnych kuchniach, w których tak dużo się działo, nie było miejsca na grzeczności typu „dziękuję” albo „proszę”. Wystarczyły gesty.

Mamadou wszedł i postawił kolejne naczynia na stercie w zlewozmywaku.

- Stolik siódmy właśnie skończył aperitif, ma dołączyć do nich przyjaciel.

Rozległo się jednogłośnie „Merde”, wypowiedziane także przez Marine.

- Mamadou, pokrój czosnek w plasterki - polecił Bear.
- Za moment, szefie. Przy drugim stoliku zjedli już zupę i mówili mi, że się spieszą. Pójdę zebrać miseczki.
- Zmywarka właśnie skończyła mycie - oznajmił Florian, nie zwracając się do nikogo konkretnie, po czym wrzucił ravioli na wrzącą wodę.

Marine poszła z wodą do stolika numer cztery. Po drodze chwyciła miseczkę z oliwkami, żeby goście przy stoliku numer trzy mieli co przekąsić podczas czytania menu. Kiedy wracała do kuchni, zobaczyła w holu dwoje nowych gości (wcześniej wszyscy goście otrzymali kod do drzwi wejściowych do budynku, a drzwi mieszkania Marine pozostawiono lekko uchylone). Była to Gaëlle Dreyfus z dystyngowanym starszym mężczyzną w tweedowym garniturze. Marine przywitała się z nimi, zakłopotana tym, że nie od razu poznała księcia de Pradeta. Pamiętała go z przyjęcia na uniwersytecie, w którym przed laty oboje uczestniczyli. Zaprowadziła gości do stolika numer sześć, przy niezapalonym kominku. Oboje zamówili szampana.

Pospieszyła do kuchni, by zapytać Beara, czy mają szampana. Zwykle go podawali, ale czy teraz pamiętali, żeby przynieść go z restauracji? W holu zderzyła się ze swoim mężem.

- Stolik dla jednej osoby proszę - powiedział.

Cmoknęła go w policzek.

- Przykro mi, ale dziś wieczór nie mamy miejsc. Możesz zjeść w moim biurze, jeżeli będzie dość jedzenia.
- Zamierzałaś mi o tym powiedzieć, prawda?
- Ależ powiedziałam - odparła. - Nagrałam ci wiadomość na telefonie.
- Och, widziałem, że dzwoniłaś, ale jeszcze nie odsłuchałem twojej wiadomości. Byłem w Awinionie. - Zerknął w stronę kuchni i uchwycił spojrzenie Beara, który jednak szybko odwrócił wzrok. - Muszę porozmawiać z Bearem...

- Po daniu dnia¹.

Roześmiali się, ale przerwał im Mamadou, który wyrósł nagle przed nimi. Na jego czole błyszczały krople potu.

- Podajemy drugie danie - powiedział, patrząc na Marine. - Muszę opróżnić i załadować zmywarkę, pokroić czosnek i pietruszkę...

Marine spojrzała na Antoine'a.

- Które zadanie wolisz?

- Krojenie, zdecydowanie - odparł. - Bardzo drobno, prawda?

- Plasterki cienkie jak papier, tak zawsze mówi szef - powiedział Mamadou.

Verlaque powiesił swoją marynarkę, podwinął rękawy koszuli i poszedł za Mamadou do kuchni.

- Dobrze, że kupiłem ci na urodziny te noże - zwrócił się do Marine.

- I jaki to był romantyczny prezent, kochanie - odpowiedziała w chwili, gdy Florian wręczał jej dwa talerze z grillowanymi kalmarami.

- Kiedy tam pójdziesz, podsłuchuj księcia i antykwariuszkę - szepnął Verlaque.

Marine skinęła głową i uśmiechnęła się na widok męża, który w błyskawicznym tempie zaczął obierać ze skórki ząbki czosnku.

* * *

Dwadzieścia minut po jedenastej wyszli ostatni goście. Bear, Marine i Verlaque siedzieli w jadalni przy dwóch złączonych stolikach. Florian stał na tarasie z papierosem w jednej ręce i puszką piwa w drugiej i machał do nich przez okno. Mamadou został w kuchni, żeby zająć się brudnymi naczyniami.

- Świetnie się bawiłam - powiedziała Marine. - Ale nie mogłabym robić tego co wieczór. *Chapeau!*

- Ani codziennie w porze lunchu - odezwał się Bear, rozciągając mięśnie grzbietu.

- Zawsze się zastanawiałem, dlaczego we Włoszech podawany do stołu makaron nie jest wodnistą breją - zauważył Verlaque. - Teraz już wiem.

Bear skinął głową.

- Blanszuje się suszony makaron partiami, a potem rozkłada na pokrytej olejem blaszce.

- I na koniec gotuje się go w sosie - wtrącił Verlaque. - Makaron stoi na talerzu zamiast w nim pływać.

- Ta ostatnia para, która przyszła późno - powiedział Bear. - Kto to był?

Verlaque westchnął.

- To policjantka z mężem. Zajmę się tym jutro.

- *Merde* - zaklął Bear.

Sophie Goulin usłyszała o tymczasowej restauracji od bratowej i dokonała rezerwacji na swoją rocznicę ślubu. Nie wiedziała, że to La Fontaine, która zmieniła adres, a jej bratowa nie wspomniała nazwy lokalu, określiła go tylko jako „*hyper branché*”. Kiedy Sophie zadzwoniła, by zamówić stolik, młody człowiek po drugiej stronie odpowiedział pośpiesznie: „*Oui?*” i nie wymienił nazwy restauracji. Opiekunka do dzieci zjawiała się z półgodzinnym opóźnieniem, a ich młodszy syn miał atak furii, więc w efekcie do restauracji dotarli czterdzieści minut po czasie. Kiedy witano ją i jej męża w holu dużego mieszkania w *quartier* Mazarin, nie była pewna, kto był bardziej zaskoczony - ona czy sędzia Verlaque.

Sędzia myślał o oficer Goulin i o ewentualnych plotkach, jakie może rozpuścić w Pałacu Sprawiedliwości. Skrzyżował ramiona na piersiach i popatrzył na Beara.

- Z przykrością psuję atmosferę tego wieczoru, ale musimy porozmawiać o...

- Chciałem porozmawiać z panem o Grégorym - wszedł mu w słowo Bear, pociągając łyk whisky Lagavulin, którą zaproponował mu Verlaque.

- Więc dlaczego nie zrobił pan tego do tej pory? - zapytał sędzia.

- To był szok - odparł Bear. - Wiedziałem, że zaginął, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że nie żyje.

Głos Beara znowu się załamał, a Marine uświadomiła sobie dlaczego. On znał Grégory'ego.

- Że został zamordowany - uściślił Verlaque.

Bear jęknął i pochylił się do przodu.

- Gdzie się spotkaliście?

- W gimnazjum, tu w Aix. Collège Mignet, tuż za rogiem. Grégory był beznadziejny w nauce, jego rodzice wciąż bulili za korepetycje. Ale był dowcipny i dobry w niektórych dziedzinach - interesował się historią i polityką. Trzymaliśmy się razem jeszcze z jednym chłopakiem, Jean-Baptiste'em Dellaneyem, który teraz mieszka w Australii i zarabia krocie na reklamie.

- Poróżniliście się?

- Nie, nie - pośpiesznie zapewnił Bear. - Nic podobnego. Z wiekiem nasze drogi się rozeszły. Grégory poszedł do liceum La Nativité, a Jean-Baptiste i ja uczylimy się w Zoli. Potem wyjechałem do Anglii na studia. Kiedy zacząłem pracować w Cavolo Nero w Londynie, bardzo skupiłem się na gotowaniu. I po prostu zaczęło brakować mi czasu. Widział pan, jak to wyglądało dziś wieczorem, a mieliśmy tylko siedemnaścioro gości.

Verlaque pochylił się i skrzyżował ręce na piersiach.

- Czy przychodzi panu do głowy, kto mógłby chcieć skrzywdzić Grégory'ego?

- Nie, ale... - Bear sięgnął do prawej kieszeni kucharskiej bluzy i wyjął z niej złożoną kopertę. Przesunął ją po stole. - To druga, którą otrzymałem. Tę dostałem dzisiaj, zanim tu przyszedłem.

Verlaque wyjął list, a Marine pochyliła się, by spojrzeć na kopertę.

- Został nadany w Awinionie - rzekł sędzia. - Zna pan tam kogoś?

Bear zaprzeczył.

- Czy kiedykolwiek spotkał pan Juliette de Castelbajac?

- O, tak - odparł Bear. - Raz czy dwa, u Grégory'ego. Była dziwna. - Przeciągnął słowo „dziwna”.

Verlaque przeczytał list.

- Czy oba teksty są takie same?

- Tak.

- Czy przychodzi panu do głowy, co oznaczają?

- Nie - odpowiedział Bear i poruszył się lekko na krześle.

Marine spojrzała na niego i zauważyła, że zanim odpowiedział, powoli przełknął ślinę i wytarł spocone dłonie o dzinsy.

Verlaque pytał dalej:

- Zupełnie nic? Jak pan myśli, do czego nawiązują?

Bear wzruszył ramionami.

- Od kiedy otworzyłem tę restaurację, dorobiłem się wielu wrogów. „To, co zrobiłem” może oznaczać wiele rzeczy. Może zająłem komuś jego ulubione miejsce parkingowe.

Marine miała wrażenie, że kłamie. Ale jeśli tak było, dlaczego pokazał im list? Chyba że naprawdę się bał.

Przypisy:

¹ *Danie dnia* - amerykański film gangsterski z 2000 roku. Wśród gości zaproszonych przez właściciela restauracji znaleźli się detektyw, gangsterzy oraz krytyk kulinarny (przyp. tłum.).

Stowarzyszenie Szlachty Francuskiej

Marine siedziała naprzeciwko swojej studentki, Emilie Givron, która była na trzecim roku prawa, co oznaczało, że przebrnęła już przez dwa pierwsze wyczerpujące lata. Z poprzednich rozmów Marine pamiętała, że Emilie bardzo dobrze gra w tenisa. Tego ciepłego wiosennego dnia dziewczyna przyszła na uniwersytet w swoim stroju tenisowym. Chociaż była dość korpulentna – co zaskoczyło Marine, gdyż sądziła, że sportowcy są zwykle chudzi – miała umięśnione ręce i nogi, dwa razy szersze od rąk i nóg Marine. Ale tak naprawdę Marine zachwyciły szerokie ramiona sportsmenki.

Obie pochylały się nad esejem Emilie i Marine czuła delikatny, słodki zapach pudru dla niemowląt.

- Proszę spojrzeć na to wyrażenie. To przykład, że popełniła pani błąd, próbując brzmieć jak stary prawniczy piernik...

Emilie roześmiała się, a Marine kontynuowała:

- Chciałabym, żeby mówiła pani własnym głosem. Proszę starać się nie wypowiadać jak prawnik albo nauczyciel akademicki, ani też tak, jak ja mogłabym oczekiwać.

Emilie wyglądała na zagubioną. Marine odgadła, że dziewczyna nigdy nie słyszała podobnych słów. Wyobrażała sobie, że Emilie pilnie uczyła się do licencjatu, ale po prostu przyswajała materiał na pamięć i bezmyślnie powtarzała lekcje. Marine uważała, że podstawą dobrego eseju jest przejrzystość i naturalny głos autora, ale na to nie było czasu na studiach prawniczych. Marine toczyła z innymi pracownikami wydziału nieustanną bitwę. Oskarżali ją, że nie nauczała prawa, ale kreatywnego pisania. Ponadto poświęcała swój czas, by przesiadywać ze studentami po godzinach, co doczekało się serii obraźliwych uwag od jej koleżanek i kolegów. Zaczynały się od tego, że naucza „à la américaine”, a kończyły na tym, że ustalając samodzielnie godziny pracy, dyskredytuje dobrą

pracę, jaką wykonuje związek nauczycielski. Wiedziała, że problem tkwi między innymi w jej niedawnym ślubie z Antoine'em Verlakiem, który raczej nie ukrywał bogactwa swojej rodziny. Spojrzała na tekst, wskazując na niego ołówkiem, po czym wycelowała ołówek w Emilie.

- Proszę powiedzieć mi, własnymi słowami, to, co dokładnie chciała pani tutaj przekazać.

Emilie gryzła końcówkę długopisu, po czym wypowiedziała zdanie, które, choć mało odkrywcze, miało sens i w niczym nie przypominało żargonu, jakim dziewczyna posługiwała się w swoim eseju.

- No właśnie - stwierdziła Marine. - Po prostu proszę wyrzucić te wszystkie zwroty „wydaje się” i „jednak” i pisać prostą, zrozumiałą prozą. Jeżeli czytelnik będzie dezorientowany, w tym osoba, która ocenia pani pracę, to co zrobi?

- Da mi złą ocenę?

- Tak - przyznała Marine, uśmiechając się. - Wstanie, zmieni stację radiową, zrobi sobie kolejną herbatę i sprawdzi esemesy. Czy rozumie pani, co chcę powiedzieć?

- Tak, nie wolno wprowadzać czytelnika w dezorientację, bo tekst go znudzi.

- Właśnie. Czy kiedykolwiek słyszała pani o Lucu de Clapiersie?

Emilie wzruszyła ramionami.

- Z Le Hameau de Claps? Po północnej stronie Saint Victoire, tuż za Vauvenargues?

- O tak, chodziliśmy tam z rodziną na piesze wycieczki.

Marine mówiła dalej:

- Luc de Clapiers był markizem Vauvenargues. Nie cieszył się dobrym zdrowiem i zmarł w 1747 roku w wieku trzydziestu jeden lat, ale finansowo i moralnie wspierał go Voltaire, co umożliwiło mu pisanie. Jego silną stroną okazały się aforyzmy. Czy wie pani, co to są aforyzmy?

- Powiedzenia? - zapytała Emilie.

- Tak, taka filozofia w pigułce. Jeden z moich ulubionych to: „Jeśli myśl jest za słaba, by móc ją wyrazić wprost, to trzeba ją odrzucić”.

Zanim więc zacznie pani coś pisać, proszę powiedzieć to głośno i wyrazić swoją myśl w najprostszy możliwy sposób. Jeśli to niemożliwe, to znaczy, że jest niejasna...

- Jakbym nie była jej pewna.

Emilie zebrała swoje papiery i upchnęła je do plecaka.

- Bardzo pani dziękuję.

- Bardzo proszę.

Kiedy Emilie wyszła z pokoju, Marine odchyliła się do tyłu i pomyślała o Lucu Clapiersie, którego ojciec, Joseph, na początku XVIII wieku pozostał w mieście zajęтым przez zarazę, ryzykując swoje życie, bo chciał zaradzić kryzysowi. Najwyraźniej byli dobrzy ludzie na tym świecie, arystokraci i ludzie prości, kucharze i pomywacze, nauczyciele i policjanci. Przypomniała sobie kolejny aforyzm Luca de Clapiersa: „Każdy rodzi się uczciwy, a umiera jako kłamca”.

* * *

Marine wjechała swoim jasnozielonym małym renault przez bramy *château* i zatrzymała się obok kilkunastu innych samochodów zaparkowanych w pobliżu budynku gospodarczego. Uśmiechnęła się na widok nijakich, starszych modeli samochodów, w większości francuskich. Nie było wśród nich mercedesa ani bmw, a już na pewno nic tak krzykliwego, jak należące do Antoine'a porsche z 1963 roku. Francuska arystokracja mogła nadal mieszkać w *châteaux*, choć niektóre już się sypały, i szczyścić się swoim bogactwem. Tyle Marine wiedziała. Jednak wieczorne spotkanie pozostawało dla niej zagadką, przygotowała się na to, że będzie nudne. Antoine był przekonany, że Stowarzyszenie Szlachty Francuskiej bezpośrednio lub pośrednio miało coś wspólnego ze śmiercią Grégory'ego de Castelbajaca i Marine została wysłana, by przeniknąć do środowiska arystokratów.

Dochodziła dziewiętnasta, ale niebo wciąż było jasne. Duże, masywne *château* miało kształt litery U. Dostrzegła mężczyznę stojącego w imponujących drzwiach, który czekał na nią i na innych członków stowarzyszenia. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- *Bonsoir* - przywitała się.

- Doktor Bonnet - odparł mężczyzna, ściskając jej dłoń. - Witamy.

Proszę wejść. Jestem Casimir de Tressan.

- Dziękuję - rzekła Marine. A zatem hrabia czekał na nią i uznał, że jej wysłużony renault należał do profesora prawa, do jego specjalnego gościa.

- Wspaniałe *château* - powiedziała Marine, uśmiechając się do gospodarza.

- Ależ doktor Bonnet - odparł - musi pani przyznać, że wygląda jak kanciasty dworzec kolejowy. Ale zbudował go mój prapradziadek. -

Uniósł ręce. - A ja go odziedziczyłem, razem z podatkami i kosztami utrzymania. - Proszę - przeprowadził ją przez kilkoro podwójnych drzwi, za którymi jakieś dwadzieścia osób, nie wszystkie z siwymi włosami, oddawało się życiu towarzyskiemu. Stali wokół nierozpalonego, ogromnego kominka, przy dwóch zapadających się dziewiętnastowiecznych sofach oraz kolekcji trzcinowych foteli i składanych krzeseł z popękаныmi skórzanymi siedzeniami. Hrabia poprowadził ją do małego stołu koktajlowego.

- Zaraz panią przedstawię - zapowiedział. - Ale czy nie chciałaby pani najpierw czegoś się napić? Soku? Wina?

Marine spojrzała na wino z supermarketu i odparła:

- Sok poproszę.

Gospodarz drżącymi rękoma nalał jej trochę soku. Rozciągnął usta w szczerym, ciepłym uśmiechu, a ona miała poczucie winy, że jej mąż wysłał ją na to spotkanie, by podsłuchiwała i szpiegowała. Czowała się jak oszustka.

- Zacznijmy. Proszę państwa o zajęcie miejsc - oznajmił hrabia. -

Chyba mamy wystarczającą liczbę krzeseł. - Uśmiechnął się, a jego arystokratyczni przyjaciele zasiedli w półkołu. Marine pomyślała, że Casimir de Tressan wygląda jak dziadek albo kaznodzieja, dumny ze swojej trzódki.

- Witam wszystkich na kwietniowym spotkaniu Stowarzyszenia Szlachty Francuskiej, oddziału w Aix. Mamy dzisiaj do omówienia kilka kwestii, potem zrobimy przerwę na lekkie przekąski. Najpierw jednak chciałbym przedstawić naszego gościa, doktor Marine Bonnet z wydziału prawa naszego uniwersytetu w Aix.

Marine wstała i lekko pomachała ręką, po czym usiadła. Hrabia ponownie się uśmiechnął i powiedział:

- Doktor Bonnet bada europejską arystokrację i to, jak obecne europejskie prawo może nam pomóc lub zaszkodzić. Zaproponowała, że wygłosi wykład na naszym corocznym spotkaniu w Paryżu w sierpniu...

- Pod warunkiem, że uda mi się przygotować go na czas - wtrąciła Marine z uśmiechem.

Po widowni przeszedł śmiech. Marine wiedziała, jak oczarować słuchaczy. Tak naprawdę szybko przejrzała wykłady wygłoszone podczas paryskiego spotkania przed rokiem i napisała streszczenie, które wczoraj po południu wysłała hrabiemu. Wykorzystała cztery wykłady o bardzo podobnych tytułach i tematach: „Rola arystokracji w rozwoju Europy”, „Arystokracja w zmieniającej się Europie”, „Rola arystokracji w europejskiej cywilizacji” i „Miejsce Europy w świecie arystokracji”. Hrabia prawie natychmiast odpowiedział na jej e-mail, najwyraźniej podekscytowany propozycją wygłoszenia wykładu przez znaną profesor, autorkę szeroko publikowanych prac. Marine miała pewność, że zablefuje na spotkaniu i że temat jej wykładu „Nowe prawa europejskie a arystokracja francuska” będzie przyjęty z entuzjazmem.

Hrabia mówił dalej. Wspomniał o dwóch rodzinach, które dołączyły do towarzystwa, i zadawał pytania na temat nadchodzącego kiermaszu rzeczy używanych. Marine rozejrzała się po przybyłych. Sądząc z opisu Antoine'a, nie było tu Castelbajaców. Ale to jej nie dziwiło. Myliła się jednak co do wieku - nie wszyscy obecni mieli ponad siedemdziesiąt lat. Były trzy pary po czterdziestce, może po pięćdziesiątce. Ich stroje, zwłaszcza kobiet, były takie same jak ich samochody: praktyczne, niedrogie, w nudnych kolorach. Kiedy jeden z mężczyzn uśmiechnął się do niej, unosząc brwi, a wreszcie mrugnął okiem, spojrzała w dół, udając, że czyta broszurę stowarzyszenia. Rozpoznała w nim prawnika, którego firma mieściła się w tym samym budynku na końcu Cours Mirabeau, co firma jej przyjaciela Jean-Marca.

Głos hrabiego Tressana obniżył się i stał się niemal ponury.

- Oczywiście hrabia i hrabina de Castelbajac nie mogli być dzisiaj z nami - zaczął. - Zachęcam państwa do uczestnictwa w jutrzejszym pogrzebie Grégory'ego, o godzinie jedenastej w kościele Saint Jean de Malte. Będą potrzebowali swoich przyjaciół z arystokracji bardziej niż kiedykolwiek. Zmówmy teraz modlitwę „Zdrowaś Mario”.

Marine spędziła wystarczająco dużo czasu w Saint Jean de Malte,

by wiedzieć, jak ważny był Kościół katolicki dla francuskiej arystokracji. Kiedy goście pochylili głowy i zaczęli odmawiać modlitwę, nie mrużąc pod nosem, lecz mówiąc głośno i wyraźnie, ogarnęło ją wzruszenie.

Spotkanie skończyło się piętnaście minut później, po tym jak jeden z członków – ten, który wcześniej do niej mrugał – przeczytał długą listę rodzin, które zostały ostatnio pozbawione nielegalnie zdobytego szlactwa. Hrabia de Tressan pochylił się do niej i szepnął:

- To może być traumatyczne przeżycie dowiedzieć się, że twoi przodkowie w XIX wieku nadali sobie szlachetnie brzmiące nazwiska, a teraz odbiera im się tytuł.

Marine skinęła głową, a kiedy oboje wstali i skierowali się do stołu z przekąskami, mężczyzna mówił dalej:

- Oczywiście, aby do nas dołączyć, trzeba przedstawić historyczny dowód, że francuski król lub cesarz nadał danej rodzinie tytuł szlachecki i że jest się bezpośrednio związanym z tym szlactwem przez męskich spadkobierców.

Marine była zaskoczona, że stowarzyszenie akceptowało tytuły nadane przez Napoleona. W niektórych kręgach tylko te nadane przed rewolucją były uważane za „prawdziwie” szlacheckie.

- Zatem list od króla stanowiłby wystarczający dowód? – zapytała z uśmiechem.

Hrabia roześmiał się.

- Z całą pewnością – odparł i poprowadził ją do stolika z kanapkami.

- Kiedy powstało stowarzyszenie? – zapytała, częstując się małą kanapką z szynką.

- W 1932 – odrzekł, przerywając na chwilę, by przełknąć. – Grupa szlachciców czekająca w Paryżu na pociąg zauważyła, że bagażowy, który niósł ich walizki, także był arystokratą. Byli zaszokowani. To dlatego tak ważne jest, że pomagamy rodzinom w potrzebie...

Marine skinęła głową, zdając sobie sprawę, że te „rodziny” należały do szlachty, nie byli to samotni rodzice, mieszkający na przedmieściach Aix.

- I stąd kiermasz rzeczy używanych, który planujecie – zauważyła.

- Tak, z dotacjami od członków, którzy lepiej radzą sobie finansowo. Pomagamy też rodzinom z małymi dochodami w opłaceniu czesnego za naukę uzdolnionych dzieci.

Przerwał i rozejrzał się po sali, a Marine udawała, że niczego nie zauważyła. Dwóch mężczyzn wdało się w kłótnię, mówili podniesionymi głosami. Hrabia zakasłał i wytarł serwetką kąciki ust.

- Każdego roku przekazujemy około dwóch tysięcy euro na pomoc dla tych, którzy sobie nie radzą.

Marine zastanawiała się, do której grupy on należy: tych udzielających pomocy czy tych potrzebujących. A do której z nich tak naprawdę należą Castelbajacowie?

- To takie smutne, co stało się z Grégorym de Castelbajac - powiedziała, zniżając głos. - Mieszkam po przeciwnej stronie ogrodu ich dawnego domu przy rue Cardinale. Czy pan go znał?

Hrabia potrząsnął głową.

- Nie, nigdy go nie spotkałem. Jego starszy brat, Philippe, jest dość aktywny w paryskim oddziale stowarzyszenia.

Marine sięgnęła po kolejną kanapeczkę, tym razem z pasztetem.

- Książe de Pradet także jest moim sąsiadem - powiedziała. - Czy jest członkiem stowarzyszenia?

- Hmm, niestety nie - odparł hrabia. - Ale jego zmarła żona, Marguerite, była. - Roześmiał się nerwowo. - Można powiedzieć, że była zagorzałą rojalistką.

Marine właśnie miała zadać pytanie na ten temat, kiedy kłócący się mężczyźni, z których jeden wcześniej do niej mrugał, opuścili salę, wciąż drąc ze sobą koty. Wymówiła się, że idzie do łazienki.

- Trzecie drzwi po prawej stronie - poinstruował hrabia. Po raz kolejny uśmiechnął się nerwowo i powiedział: - Trzeba dwa razy pociągnąć za łańcuch, żeby spłukać toaletę!

Marine szła długim, szerokim korytarzem, wypełnionym starymi płaszczami i kaloszami. Podążała za głosami mężczyzn. Czuła zapach stęchlizny, nie była pewna, czy od płaszczy, czy od wiekowej boazerii, ale ta woń zawsze przypominała jej letni dom w Dordogne, należący do dziadków ze strony mamy. Zatrzymała się, gdy zobaczyła światło dochodzące spod lekko uchylonych drzwi. Oparła

się o czarne, wełniane okrycie i słuchała.

- Tym razem posunąłeś się za daleko - powiedział jeden z mężczyzn. - To samo mówiłem tobie i Marguerite osiem lat temu.

Drugi głos odparł pośpiesznie, z podnieceniem:

- Jeżeli to zależałoby od ciebie, Louisie, my arystokraci powoli odeszlibyśmy w niepamięć, razem z naszymi posiadłościami i tradycjami. Nie zamierzam stać się przeszłością. I nie pozwolę, żeby spotkało to moją rodzinę.

Historia sędziego Joissona

Zazwyczaj Antoine Verlaque pojawiał się na spotkaniu klubu palaczy cygar jako jeden z ostatnich, ale tego wieczoru dotarł do Papassaudi pół godziny przed czasem. Spotkania najczęściej odbywały się w mieszkaniu Jean-Marca pod numerem szóstym. Mężczyzna mieszkał sam i nie miał nic przeciwko tuzinowi palaczy cygar w swoim domu. Zamierzali jednak znaleźć dla swojego klubu siedzibę, gdzie mogliby się spotykać raz w miesiącu i odpoczywać przy cygarze, gdy byli w centrum Aix. Zarówno Jean-Marc, jak i Antoine mieszkali w *vieille ville*, ale większość bywalców klubu miała domy wokół Aix i w pobliskich wioskach. José i Georges przyjeżdżali z Marsylii. Temat siedziby miał być jednym z punktów dzisiejszego programu obok planowanego wyjazdu na Kubę.

Verlaque nacisnął na dzwonek domofonu i kiedy Jean-Marc wpuścił go do budynku, wszedł na pierwszy podest. Tu zatrzymał się, by zadzwonić do Paulika.

- Bruno, tu Antoine. Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam.

- Nie, jeszcze nie usiedliśmy do kolacji. Ale czy nie powinien pan przygotowywać się na przyjęcie pierwszych gości? Jaka jest specjalność dnia?

Verlaque jęknął.

- A zatem słyszałeś o tymczasowej restauracji Marine. Właśnie tego potrzebuję, gdy lokalna prasa rozpisuje się o samobójstwie Kévina Malongo w więzieniu.

- Wieści o restauracji rozeszły się po Aix dość szybko. Ale nie powinienem robić sobie z tego żartów... Roussel mówił mi, że ludzie w Marsylii i Paryżu byli niezadowoleni, że pańska żona udostępnia swoje mieszkanie szefowi kuchni, którego lokal został przez nas zamknięty. To i samobójstwo wywołało u niego promienny uśmiech.

Verlaque zamknął oczy i skinął głową. Yves Roussel był głównym prokuratorem w Aix i solą w oku sędziego. Od kiedy Verlaque

przybył do tego miasta, Roussel dawał mu do zrozumienia, że uważa go za zbyt kulturalnego, zbyt wykształconego i zbyt bogatego jak na skromne progi Pałacu Sprawiedliwości. Verlaque przywiózł ze sobą zasady, które Roussel uważał za paryskie, podczas gdy oni zawsze działali, naginając przepisy. A teraz to sędzia naginał przepisy, pozwalając Bearowi prowadzić biznes w mieszkaniu swojej żony.

- Zajmę się Rousselem - powiedział. - Ale teraz chciałbym, żebyś zorganizował wizytę w domu Juliette de Castelbajac w Awinionie, najlepiej dziś wieczorem. Sigisbert Valets otrzymywał anonimowe listy, w których kazano mu opuścić miasto. Mogą być nieszkodliwe, ale...

- Zostały wysłane z Awinionu? - zapytał Paulik.

- Właśnie. Martwię się. Juliette czegoś się obawia. Nawet jej uczniowie to zauważyli.

- Od razu zadzwonię do komisariatu w Awinionie - zdecydował Paulik. - Miłego wieczoru.

- Dziękuję, nawzajem.

Verlaque włożył telefon do kieszeni i po szerokich, kamiennych schodach wszedł pół piętra wyżej do mieszkania Jean-Marca. Drzwi były otwarte, ponieważ gospodarz usłyszał Verlaque'a rozmawiającego przez telefon. Teraz pobiegł do kuchni, żeby zajrzeć do swojego kurczaka w winie.

- Pachnie świetnie! - zawołał sędzia, wchodząc do środka.

- Przyszedłeś przed czasem - zauważył Jean-Marc, wychodząc z kuchni i wycierając ręce w ściereczkę, zatkniętą za pasek spodni.

- Co się stało? Zazwyczaj zjawiasz się ostatni.

Marine wysłała Verlaque'owi esemesa o kłótni, jaką słyszała na spotkaniu Stowarzyszenia Szlachty Francuskiej, a on przyszedł wcześniej z nadzieją, że zada Jean-Marcowi kilka niewinnych pytań. Chciałby porozmawiać z nim o przypadku Castelbajaca, ale wiedział, że nie może tego zrobić z powodu tajności śledztwa. Jego przyjaciel miał jeszcze większego bzika na punkcie przepisów sądowych niż on sam.

- Przepraszam. Straciłem poczucie czasu - odparł. - Mam nadzieję, że to nie problem.

- Żaden - zapewnił go gospodarz. - Jeśli chcesz, możesz mi pomóc.

Verlaque zdjął marynarkę i pomógł Jean-Marcowi rozstawiać popielniczki i kieliszki do wina.

- Proszę - powiedział Jean-Marc, wręczając Verlaque'owi trzy wąskie przedmioty. - Wykładam trzy obcinacze do cygar. Połóż je na stoliku kawowym. I mam nadzieję, że tam będą pod koniec wieczoru.

- Możesz liczyć na to, że stracisz co najmniej jeden - roześmiał się sędzia.

Położył je na stoliku i zastanawiał się, jak zadać Jean-Marcowi kilka pytań.

- Dzwoniła do mnie Marine, wściekła na jakiegoś faceta, który zajął jej stolik, kiedy wyszła do toalety, chociaż zostawiła na krześle swój płaszcz. Był naprawdę nieuprzejmy. Marine sądzi, że on pracuje w waszym budynku, w kancelarii prawnej na niższym piętrze. Jest po czterdziestce, blondyn.

- Charles de Saint-Félix.

- Nie musiałeś się długo zastanawiać - zauważył Verlaque.

- Uważa się za lepszego od innych i działa tym wszystkim na nerwy.

- Mogę sobie to wyobrazić.

- Przynosi ujmę szlachcie. Moja mama jest z pochodzenia arystokratką, z Perpignan, a jej rodzina była urocza. Zupełne przeciwieństwo tego człowieka. Byli staroświeccy i zawsze działali na rzecz społeczności. Biedni jak myszy kościelne, choć bogaci w nieruchomości.

- Zamki i ziemia raczej cię nie nakarmią - skostatował Verlaque. - Wiedziałem, że jesteś z dobrego domu, ale nie mówiłeś, że pochodzisz z wyższych sfer. Bez obrazy.

Jean-Marc uśmiechnął się.

- Jestem z bardzo wysokich sfer. Panieńskie nazwisko mojej matki to d'Estève de Bosch. Oczywiście utraciła tytuł, kiedy wyszła za mojego ojca, dentystę z Aix.

- Jak się mają twoi rodzice?

- Bardzo dobrze, dziękuję. Wypełniają sobie czas uprawianiem

ogrodu przy domu, w którym się wychowałem, przy ślepej uliczce odchodzącej od alei Philippe'a Solariego.

- Więc twoja matka nie utrzymuje kontaktu z miejscowym Stowarzyszeniem Szlachty...

- Nie, tak naprawdę nie - odparł Jean-Marc. - Ale chociaż zrezygnowała ze szlachectwa, to niepoprawnie plotkuje na temat tych ludzi.

- Czy dobrze znasz Charles'a de Saint-Félix?

Esemesy Marine były krótkie: mężczyźni kłócili się o coś, co wydarzyło się osiem lat temu. W następnej wiadomości napisała wielkimi literami: Z MARGUERITE.

- Nie bardzo - odpowiedział Jean-Marc. - Nic nie może go łączyć z homoseksualnym prawnikiem, który pali cygara.

- Poza tym, że obaj jesteście prawnikami - odparł Verlaque z uśmiechem.

- Wiesz, jeden z moich kolegów jest pod wrażeniem wszystkich tych szlacheckich obrzędów i już kilka razy był w *château* Saint-Félix.

- Gdzie to jest?

- W drodze do Jouques, tuż za Vauvenargues.

- Dobrze znam ten pałac - odpowiedział sędzia. Wiele razy tamtędy przejeżdżałem. Jest wspaniała... Ta okrągła, średniowieczna wieża...

Rozległ się dźwięk domofonu, Jean-Marc wyszedł do holu i podniósł słuchawkę.

- *Oui* - odezwał się. Z drugiej strony powitała go cisza. - *Oui, allo?* - powtórzył.

Po dziesięciu sekundach odpowiedziało mu męskie trio charczące z ulicy po angielsku:

- *Wassup?*

- Właźcie na górę - odparł Jean-Marc, wznosząc oczy do nieba. - Fabrice, Julien i José. Jakie to dziecinne.

Zobaczył, że Verlaque się śmieje, i powiedział:

- Nie wierzę, że uważasz to za zabawne. Fabrice ma prawie sześćdziesiąt lat!

Verlaque wciąż rozbawiony potarł oczy.

- Czasem dobrze być dziecinnym.

- No cóż, ja nigdy... - mruknął Jean-Marc, wracając do kuchni, aby wstawić wodę na ziemniaki.

* * *

Tuż za rogiem, na tarasie Les Deux Garçons, siedzieli książę i Gaëlle Dreyfus, sącząc szampana.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - powiedziała Gaëlle.

- Często tu pani przychodzi? - zapytał książę, wodząc wzrokiem za dwiema dwudziestokilkuletnimi kobietami w spódniczkach mini i na wysokich obcasach, przechodzącymi w górę Cours. Dotykały się ramionami i odrzucały głowy do tyłu, z czegoś się zaśmiewając. Wyższa z nich wyglądała trochę jak Marguerite w jej wieku. Marguerite także była beztroska, tak naprawdę czuła się szczęśliwa jeszcze długo po pięćdziesiątych urodzinach. Jednak w którymś momencie stała się cyniczna i obsesyjnie zajmowała się tym, jak ludzie powinni, a jak nie powinni się zachowywać.

- Nie, mam na myśli szampana - odparła Gaëlle, unosząc swój kieliszek.

Stuknęli się kieliszkami.

- Powinniśmy uczynić z tego zwyczaj - powiedział. - To cliché, ale...

- Życie jest zbyt krótkie?

- *Voilà*. - Spojrzał na Gaëlle, podziwiając jej ciemnoniebieskie, prawie fioletowe oczy i doskonale ułożone, gęste, białe włosy. Marguerite farbowała włosy nawet na tydzień przed śmiercią. Dlaczego w przeciwieństwie do większości kobiet mężczyźni w jego wieku tego nie robili? No cóż, uznał, że w wypadku mężczyzn to nie miało znaczenia, dopóki ich włosy były czyste. Ale dlaczego w obecnych czasach niektórzy ludzie nadal chodzili z tłustymi włosami?

Zdał sobie sprawę, że marszczy brwi, bo Gaëlle wpatrywała się w niego z przechyloną głową.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała. - Czasem wygląda pan na zmartwionego.

- Wydaje mi się, że im jestem starszy, tym więcej zadaję sobie pytań. Od głębokich po głupie. Moja głowa pęka od pytań.
- Och, więc to nic poważnego - powiedziała, upijając łyk szampana.
- Cieszę się.

Miał trochę poważnych pytań, ale nie chciał jej nimi niepokoić. Poza tym w tej chwili były to tylko znaki zapytania. Jego lekarz obiecał, że do końca tygodnia uzyska jakieś odpowiedzi. Jednak od znalezienia szkieletu Grégory'ego de Castelbajaca w umyśle księcia pojawiło się więcej niewiadomych.

- Czy odwiedziła już pani policja? - zapytał.

Gaëlle skinęła głową.

- Myślę, że odwiedzili całą dzielnicę. Miałam nadzieję, że przyjdzie ten przystojny sędzia...

- Uważa pani, że jest przystojny?

- O tak, na swój szorstki sposób. A może to jego charyzma. Ale przesłuchanie przeprowadziła bardzo poważna policjantka i komisarz. Była wczoraj wieczorem w restauracji, siedziała przy sąsiednim stoliku.

- Spóźnili się - przypomniał sobie książe. - Jakiś problem z opiekunką do dzieci.

- Podśluchiwał pan.

Książe roześmiał się, zadowolony z towarzystwa.

- Czy przypadkiem czytał pan dziś rano „La Provence”?

- Tak, czytałem. Temu przestępcy, który powiesił się w więzieniu, daleko było do świętości, ale jakoś uwierzyłem w jego historię. Rodzina i ich prawnik wydawali się zdeterminowani, by na nowo wszcząć sprawę sądową i oczyścić jego imię. Pani przystojny sędzia chyba znalazł się w tarapatkach. A czy ten artykuł nie przypomina pani o podobnym incydencie, do którego doszło w XVI wieku?

Pokręciła przecząco głową.

- Przykro mi, ale nie.

- A mnie przypomniało się to od razu, zwłaszcza dlatego, że powtarza się to samo imię, Antoine - wyjaśnił książe. - Wtedy fontanna także przestała działać. Sędzią w tamtej sprawie był

Antoine Joisson. Rodzina skazanego chłopca upierała się, podobnie jak jego przyjaciele i znajomi, że jest niewinny. Joisson szybko przepchnął sprawę przez sąd. Sędziowie zawsze musieli uważać na to, kogo skazują na więzienie, nawet w XVI wieku. Joisson został zabity przez wściekłego, rozżalonego brata skazanego, a stało się to przy spokojnej uliczce w Aix, w środku nocy.

Gaëlle zadrżała.

- Chciałbym myśleć, że od tamtych czasów osiągnęliśmy jakiś postęp - odezwał się książę, dopijając szampana. - Ale niestety niewiele się zmieniło od pięciuset lat.

- Zmieniło się, my się zmieniliśmy. Właśnie przeczytałam recenzję amerykańskiej książki, której autor stawia taką tezę - powiedziała. - Na podstawie statystyki twierdzi, że w porównaniu z przeszłością XX wiek był względnie wolny od przemocy. Podobnie jak obecne stulecie.

- W takim razie mamy co świętować - skomentował książę.

Odwrócił się, by przyciągnąć uwagę kelnera, i wskazując na ich puste *coupes*, zamówił więcej szampana.

* * *

Verlaque pierwszy pojawił się na spotkaniu i ostatni wychodził. Z przyjemnością pomagał Jean-Marcowi w sprzątaniu. Ręcznie umyli kieliszki do wina, ponieważ były za wysokie do zmywarki. Po wypaleniu dwóch dużych cygar jednego wieczoru rzadko czuł się zmęczony, nawet po północy. Marine nazywała to cygarowym hajem.

Jean-Marc nalał przyjacielowi małą whisky i postawił szklanekę na kuchennym blacie.

- To mieszkanie przy rue Célony wygląda obiecująco - powiedział, nalewając trunek także sobie.

- Zgadza się - odparł Verlaque, wycierając kieliszki. - Zawsze lubiłem tę część miasta.

- Biedną część - zauważył Jean-Marc z uśmiechem. - Mnie przekonuje fakt, że ma taras, chociaż jeszcze go nie widziałem.

- Martwi mnie jednak - odezwał się Verlaque, przerywając pracę - że wynajem siedziby będzie dużym obciążeniem finansowym dla

niektórych klubowiczów. Nie możemy pozwolić, by z tego powodu część z nich uznała, że musi odejść.

- Moglibyśmy pomóc im finansowo, tak jak pomagają sobie szlachetnie urodzeni.

Verlaque roześmiał się.

- Tak, już widzę, jak Fabrice się na to godzi.

Fabrice Gausson był milionerem, który do wszystkiego doszedł własną pracą, a nigdy nie zdał matury. W wieku szesnastu lat zaczął praktykować u wuja, hydraulika, a teraz był właścicielem sieci sklepów hydraulicznych, rozsianych po całej południowej Francji. Właśnie otwierał sklep w Paryżu.

„Najpierw będę musiał porozmawiać z moimi ludźmi w Paryżu” – powiedział Fabrice wcześniej tego wieczoru, odchylając się do tyłu i kładąc ręce na wydatnym brzuchu.

Verlaque i Jean-Marc wybuchnęli śmiechem.

„Hej, wy dwaj, nie tylko wy macie koneksje w stolicy!”

- Fabrice sam zdobył swoją fortunę – stwierdził Jean-Marc. - Moja mama, chociaż kochała swoją rodzinę, zawsze narzekała, że niektórzy arystokraci uważali swoje bogactwo za coś, co im się należy, i niewiele robili, by na nie zapracować.

Skończył whisky i odstawił szklaneczkę do zmywarki, Verlaque zrobił to samo.

- Dziękuję za zorganizowanie kolejnego wspaniałego wieczoru – rzekł sędzia i obdarzył przyjaciela *bise*. - Pójdę już.

Na rozjaśnionej złotymi światłami ulicy Verlaque pożałował, że nie zachował sobie ani kawałka cygara. Uwielbiał palić, chodząc w nocy wąskimi, średniowiecznymi uliczkami Aix. Po drodze patrzył w okna wystawowe i zastanawiał się, kto kupował wszystkie te torebki, drogie okulary przeciwsłoneczne i wymyślne buty. Pamiętał ten fragment *Ruchomego święta* Ernesta Hemingwaya, w którym Gertrude Stein instruowała Hemingwaya, by kupował dzieła sztuki, a nie ubrania. Gdy młody pisarz zapewniał, że nie kupuje ubrań, niczym niezrażona i nieznosząca sprzeciwu Stein odparła: „Ale pańska żona kupuje”.

Kiedy przeczytał tę kwestię Marine, uznała ją za seksistowską i podała przykład kilku koleżanek, których mężowie wydawali

więcej na stroje niż one same. Jego zdaniem przesadzała, by obronić swój punkt widzenia. W każdym razie Marine na pewno nie szastała pieniędzmi. Chociaż ostatnio zdarzały jej się szalone pomysły, a wśród nich na prowadzenie zdecydowanie wysuwało się stworzenie tymczasowej restauracji. Tak jak się spodziewał, było mu to solą w oku.

Wbrew sobie zwolnił przed witryną sklepu z odzieżą męską i spojrzął na lniane marynarki na wystawie. Potrzebował nowej, a te były doskonałe do noszenia w letnie wieczory. Przypominały mu o Włoszech, gdzie był z Marine. Obok zatrzymał się mężczyzna i patrzył na wystawę sąsiedniego sklepu. Verlaque spojrzął na cenę bładoniebieskiej marynarki i po raz pierwszy w życiu zdecydował, że poczeka z zakupem na letnie wyprzedaże. Ruszył dalej, podobnie jak człowiek za nim.

Kiedy skręcił w lewo w rue Esquicho-Coude, otrzymał esemesa od Marine. Pisała, że jest u niego i ma nadzieję, że on szybko wróci. Odpisał, że jest około trzydziestu sekund od domu, i odłożył telefon do kieszeni. Zanim poszedł dalej, odwrócił się, by spojrzeć na idącego z tyłu mężczyznę. Ten również się zatrzymał. Mało kto spacerował w nocy wąskimi uliczkami i Verlaque był teraz pewien, że jest śledzony.

- Czy ja pana znam? - zapytał, podczas gdy mężczyzna szybko ruszył w jego kierunku.

Kiedy znalazł się w odległości niespełna metra, sędzia spiął się i zacisnął dłonie w pięści. Nieznajomy powoli sięgnął do kieszeni, a Verlaque pomyślał, że rozpoznaje jego twarz. Ale głośny dźwięk za mężczyznę sprawił, że ten się odwrócił. Trzech studentów ze śmiechem i piosenką zespołu Daft Punk na ustach popychało jeden drugiego na wąskiej uliczce. Mężczyzna zwrócił się ponownie w stronę Verlaque'a i wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Odchylił się na bok, by móc wyminąć sędziego, i powiedział:

- *Pardon, monsieur.*

* * *

Jean-Marc otworzył okna salonu, by go przewietrzyć. Wszystkie trzy obcinacze do cygar pozostały na kawowym stoliku, prawdopodobnie dlatego, że Verlaque chwycił z biurka biały pisak Magic Marker i umieścił na każdym inicjały JMS. Jean-Marc roześmiał się, zgasił światła i wszedł do holu, zadowolony, że pamiętał, by zamknąć

drzwi sypialni. Ucieszył się, że w pokoju nie było czuć tytoniu. Spojrzał na bąbelkową kopertę od Marine, leżącą na komodzie. Podniósł ją, usiadł na łóżku i wyciągnął fotografie. Tamten weekend w Paradiso był wspaniały. Uklepał poduszki i odchylił się do tyłu, z przyjemnością wspominając przeżyte tam chwile. Popatrzył uważnie na jedno ze zdjęć i zaczął się śmiać. Ku jego zaskoczeniu widoczny był na nim Salvatore, który z papierosem w ustach opierał się o kamienny mur i obserwował, jak zaproszeni goście zbierają się na placu przed kościołem. Jean-Marc nie zauważył chłopaka w chwili, gdy to zdjęcie zostało zrobione. Dopiero w porze lunchu w eleganckiej restauracji na skraju starego miasta Jean-Marc po raz pierwszy dostrzegł młodego, przystojnego kelnera. Lunch ciągnął się przez całe popołudnie, aż do szóstej. Później goście powoli wracali do hotelu, śmiejąc się i rozmawiając. W hotelowym lobby życzyli sobie dobrej nocy, choć było jeszcze wcześnie. Paulikowie, Sylvie i Sébastien zabrali dziewczynki na spacer nad morze, a rodzice Marine zamierzali poczytać w swoim pokoju. Gabriel Verlaque i Rebecca chcieli przejść się poza wioskę, przez gaje oliwne.

Verlaque zaprosił Jean-Marca do ich apartamentu na filiżankę herbaty, ale ten widział zmęczenie w oczach przyjaciela.

- To bardzo miłe - odparł, bawiąc się złożonym kawałkiem papieru w swojej kieszeni. - Ale chyba trochę poczytam i wcześniej pójdę spać.

Wymienili *bise*, a Jean-Marc życzył młodej parze wieloletniego, szczęśliwego małżeństwa. Odwrócił się i wyszedł z hotelu, kierując się z powrotem na plac kościelny. Czekał tam Salvatore, jego młody De Niro. Opierał się o tę samą ścianę co na fotografii, z tym samym szerokim uśmiechem przylepionym do twarzy. Jean-Marc poczuł ulgę, że nie musi wybierać numeru, zapisanego na skrawku papieru ukrytym w jego kieszeni, gdyż jego włoski był raczej kiepski. Ale czuł, że tego wieczoru nie będą wymieniać wielu słów.

„Witamy w prawdziwym świecie”

- Wiem, że trudno rozwikłać zbrodnię, do której doszło przed ośmioma laty, ale w tym wypadku wydaje się, że wszystko utknęło w martwym punkcie - stwierdził Verlaque.

- Zgadzam się - przytaknął Paulik, siadając przy biurku sędziego. - Nie tylko utknęło w martwym punkcie, ale tak naprawdę nigdy nie wystartowało.

- Nie ma potrzeby roztrząsać tego teraz - powiedział sędzia, po czym otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. - Jest taki piękny poranek. Niedługo będziemy pływać w naszych basenach.

Paulik roześmiał się - żaden z nich nie miał basenu.

Otworzył notes i z kieszeni koszuli wyjął ołówek.

- Mam jedną informację - oznajmił Verlaque i usiadł. - Wczoraj wieczorem Marine wybrała się na spotkanie Stowarzyszenia Szlachty, tuż za Aix. To było w tym starym, sypiącym się, tak zwanym *château*, należącym do Casimira de Tressana. Pojawiło się około dwudziestu osób, a pod koniec wieczoru Marine podsłuchiwała kłótnię pomiędzy dwoma mężczyznami. Jeden z nich, o imieniu Louis, ostrzegał drugiego, prawnika z Aix, Charles'a de Saint-Félixa, by nie powtarzał swoich błędów sprzed ośmiu lat, czegoś, co zrobili razem z Marguerite.

- Z Marguerite de Pradet?

- Tak, tak sędzę.

- Czy przesłuchamy Saint-Félixa? - zapytał Paulik. - To wydaje się kuszące, ale chyba nie mamy dość informacji.

- Zgadzam się. Wolałbym wypytać o to księcia. Ale teraz przeanalizujmy to, co wiemy. Albo chociaż to, co możemy wydedukować. Grégory został zamordowany po pogrzebie babci Castelbajac...

- Castelbajac?

- Nie mam czasu, by sprawdzić teraz jej nazwisko. Jej pogrzeb odbył się osiem lat temu, we wtorek, ósmego sierpnia. Hrabia i jego żona mówili mi, że zostali w Aix kilka dni po pogrzebie, a następnie pojechali na weekend do swojego domu w Sanary. Założę się, że do morderstwa doszło właśnie w ten weekend. Powiedzieli mi, że Grégory był sam w Aix. Nie oczekiwali go w Sanary.

- Wątki narkotykowe do niczego nas nie doprowadziły - stwierdził Paulik, wertując notes. - Żaden z drobnych dilerów nie powiedział, że go zna. Być może przywoził narkotyki z Ameryki Południowej i je sprzedawał. Tylko komu?

- Rozmawiałeś z jego bogatymi znajomymi z całego świata?

- Tak. Dzięki Bogu wszyscy mówią świetnie po francusku. Zasmuciła ich wiadomość o jego śmierci, ale nikt nie był zaskoczony, z wyjątkiem osoby, która jako ostatnia widziała Grégory'ego, zanim wrócił do Aix. To pochodzący z Mediolanu fotografik Federico Renzi. Przed przyjazdem Grégory'ego do Aix spędzili razem kilka dni w Rio. Renzi powiedział mi, że Grégory się uspokoił i był w lepszych stosunkach z rodzicami. To pozostaje w sprzeczności z tym, co powiedziała o Grégorym Mme Dreyfus, antykwariuszka. Twierdziła, że był nieszczęśliwy i niespokojny. Podobnie jak ona podejrzewałem, że kłócił się z rodzicami, dopóki nie złapałem wczoraj tego fotografa. Mógł się kłócić z kimś innym, nie ze swoimi rodzicami.

- Ze swoim mordercą - stwierdził sędzia. - I z szefem kuchni... Sigisbertem Valetsem?

- Jeden z naszych mówiących po angielsku inspektorów zadzwonił do tej restauracji w Londynie i dowiedział się, że Sigisbert pracował przez cały tydzień od ósmego sierpnia oraz w weekend. Zapisują takie rzeczy, od kiedy się otworzyli.

- Imponujące. Ale nadal uważam, że Bear ukrywa jakieś informacje. Wydawał się przestraszony listami, które otrzymywał, choć próbował pokazać, że nie robią na nim wrażenia.

- I mówi pan, że kuzynka Grégory'ego, Juliette, też się boi? - zapytał Paulik. - Więc może to nie ona je wysłała.

- Co stało się wczoraj w Awinionie? - chciał wiedzieć Verlaque.

- O niczym nie słyszałem - odparł Paulik. - Zadzwoń tam, kiedy

skończymy.

- A Gaëlle Dreyfus? Antykwariuszka?

- Nie pamięta, co robiła w tamtym tygodniu. Mówi, że nigdy nie pisała pamiętnika.

- Księżę de Pradet także powiedział mi, że nie pamięta - rzekł Verlaque. - Twierdzi, że w lecie przebywa w Burgundii, zamierza sprawdzić swoje zapiski z tamtego roku i się ze mną skontaktuje. Odniosłem dziwne wrażenie, że nie chce rozmawiać o swojej zmarłej żonie. Ona wciąż żyła, kiedy zamordowano Grégory'ego. - Przerwał, patrząc na Paulika. - Kiedy zapytałem go, czy Marguerite знаła Grégory'ego, bardzo szybko i stanowczo odparł, że nie.

- Jakby ją chronił...

Verlaque dodał:

- Marguerite de Pradet należała do grupy rojalistów. Zamierzam zadzwonić do księcia. Przypominam sobie, że był spięty, kiedy mnie poznał. Ludzie o jego statusie społecznym rzadko się denerwują, gdy przedstawia im się kogoś nowego, nawet kogoś takiego jak my, kto pracuje w wymiarze sprawiedliwości.

Paulik skinął głową i spojrział na swoje notatki.

- A co z Joubertami pod numerem dziesiątym? Zna pan Mme Joubert, prawda?

Verlaque roześmiał się.

- Można tak powiedzieć. Philomène Joubert jest przyjaciółką mojej teściowej. Razem śpiewają w chórze, a Philomène jest jedną z tych zaangażowanych w działalność kościelną pań, które zawsze starają się pomóc księżom. Zna rodzinę, ale nie znała Grégory'ego. Należą do różnych kręgów społecznych.

- A rodzina Tivolles? - zapytał Paulik. - Mieszkają obok restauracji.

- Bénédicte Tivolles jest nauczycielką w liceum - odparł sędzia. - Należała do arystokracji, dopóki nie wyszła za mąż za człowieka bez tytułu.

Verlaque pomyślał o matce Jean-Marca, która poślubiła dentystę.

- To jak z dramatu kostiumowego - skomentował Paulik.

- Właśnie. Zdradziła, że jej mąż, projektant wnętrz i najwyraźniej

pantoflarz, jest pod wrażeniem szlacheckiego entourage'u.

- Nie wydaje się panu dziwne, że podzieliła się tą informacją?

- Nie, tak naprawdę nie. To było w kontekście rozmowy o ich domu. Przepraszam - rezydencji. Znała Castelbajaców, ale nie Grégory'ego. A inni sąsiedzi?

Paulik kartkował notatnik.

- Przesłuchaliśmy chyba z tuzin prawników i agentów obrotu nieruchomościami...

- Witaj w Aix.

- Ale żaden z nich nie potrafił powiedzieć niczego o Grégorym ani o tamtym tygodniu. Rozmawialiśmy też z rodziną o nazwisku Roche. Pozostało mi ono w pamięci. Ani oficer Goulin, ani ja ich nie polubiliśmy.

Sędzia udawał, że nigdy nie spotkał *la famille Roche*. Chciał usłyszeć, co Paulik ma do powiedzenia na ich temat.

- Bardziej martwili się restauracją niż tym, że w ich ogrodzie odkryto szkielet - podsumował komisarz, przeciągając słowa, jakby chciał dokładnie wyjaśnić, co przeszkadzało mu w Thomasie i Stéphanie Roche. - Stale powtarzali, jak Francja schodzi na psy, a Aix się zmienia... I że zbyt wielu ludzi się tu sprowadza. - Dłońmi pokazał cudzysłów, kiedy wypowiadał słowo „ludzie”.

- Sądzisz, że są rasistami?

- Tak, właśnie to nas irytowało. Oczywiście, to nie oznacza, że są mordercami. W dodatku Grégory de Castelbajac pochodził z tych samych sfer co oni.

- Przywodzą mi na myśl Front Narodowy... i ludzi, którzy dopuszczają się takich rzeczy, jak niszczenie tej Czarnej Madonny. Tak naprawdę poznałem Roche'ów.

Zadzwonił telefon Paulika. Komisarz spojrzał na numer.

- To z Awinionu.

- Odbierz.

Paulik opuścił gabinet, a Verlaque wyszukał numer księcia Pradeta. Już miał do niego zadzwonić, gdy wrócił komisarz.

- Nie ma jej - oznajmił.
- Juliette de Castelbajac?
- Tak. Konsjerż musiał wejść do jej mieszkania. Radio wciąż grało, a wszędzie porzucane były ubrania. Z pewnością wychodziła w pośpiechu.

Komisarz ponownie połączył się z Awinionem, próbując dowiedzieć się, jak odnaleźć Juliette de Castelbajac. Sędzia wyszedł z Pałacu Sprawiedliwości. Zdecydował, że nie będzie dzwonić do księcia Pradeta, ale złoży mu niespodziewaną wizytę. Była pora lunchu - dobry czas, by zastać księcia w domu. Szedł tymi samymi ulicami co poprzedniego wieczoru, ale w odwrotnej kolejności. W ten piękny, wiosenny dzień z czystym, błękitnym niebem Verlaque starał się pozbyć swojej paranoi - strachu, że śledzi go brat nieżyjącego Kévina Malongo. Ale ciało sędziego wciąż było napięte, w gotowości, a on uważnie przyglądał się otaczającym go ludziom. Wielu mieszkańców Aix wyszło do miasta, matki prowadziły małe dzieci do domu na lunch, zaprzyjaźnieni emeryci spotykali się ze sobą, grupy studentów przesiadywały w kafejkach, przechodnie oglądali wystawy, tak jak on poprzedniego wieczoru. Nikt się nie spieszył, tak jakby nikt tutaj nie musiał iść do pracy. Ale jacyś ludzie pracowali w centrum, wiedział, że on, Marine i Jean-Marc mieli szczęście, ponieważ ci, którzy działali w biznesie lub w przemyśle lekkim, musieli każdego ranka podróżować na południe Aix, do *zone d'activité* albo do Marsylii.

* * *

Bracia Castelbajac zostali wysłani do portu w Sanary po zakup świeżo złowionych ryb na kolację. Tego ranka wszystkich zaskoczyło niezapowiedziane pojawienie się Ludovica. Obecność synów ciążyła w domu i oboje rodzice poczuli ulgę, gdy synowie wyszli razem. Emile zauważył zmęczenie rodziców i zaproponował braciom wspólny lunch w porcie, po zakupieniu ryb. Philippe i Ludovic zgodzili się, więc Emile przygotował wyściełaną folią torbę z kostkami lodu, żeby ryba pozostała zimna. Przed wyjazdem objął rodziców, nie potrafił pomóc im w żałobie i czuł się bezużyteczny. Wydawało się, że oboje bardziej polegali na służącej niż na synach.

Bracia szli z boczem wzgórza w dół ścieżki, mijali po jednej stronie rośliny w donicach, a po drugiej znaki krzyża, prowadzące do kaplicy. Ze ścieżki rozciągał się widok na Sanary i port, z latarnią

morską w biało-czerwone pasy. Philippe zwalniał przy każdej ze stacji, modlił się cicho i wykonywał znak krzyża. Emile patrzył na kwiaty i starał się przypomnieć sobie ich nazwy. Wiedział, że drobne żółto-pomarańczowe kwiatki to lantana. Wysokie, sterczące, różowofioletowe płatki ma z kolei agapant. Zatrzymał się przy dużej, terakotowej donicy z kwiatem w kształcie dzwonka, który opadał wdzięcznie do góry nogami. Nie miał pojęcia, jaka to roślina.

- Pamiętam ten kwiat - powiedział. - Z podróży na Sycylię z Julie, zanim urodziły się dzieci. Jest coś pięknego w takiej roślinie, z jej nagą łodygą, zwieńczoną koroną kwiatów. Zieleń łodygi aż świeci.

- Wszystkie ryby zostaną sprzedane, jeśli za kilka minut nie dojdziemy do portu - stwierdził Ludovic.

- Masz rację - przytaknął Philippe, przyspieszając kroku.

Wkrótce znaleźli się u podnóża góry, gdzie znajdowało się boisko do buli, a po przeciwnej stronie ulicy było morze. *Les pointus* podskakiwały w górę i w dół, jak zabawkowe łódki.

- Spójrzcie na ich kolory... - odezwał się Emile, zatrzymując się, by telefonem komórkowym zrobić zdjęcie jednej z małych, drewnianych żaglówek. - Żółta, niebieska i pomarańczowa. Spójrzcie na tę czerwono-niebieską, takie same kolory jak naszej. Zawsze żałowałem, że tata ją sprzedał. Ale dzisiaj ci ludzie wydają się zbyt radosni i szczęśliwi. Ich radość jest zupełnie nieadekwatna do tego, jak ja się czuję, jak wszyscy się czujemy... Grégory uwielbiał *les pointus*.

- Dzisiaj to ty jesteś naszym poetą - powiedział Ludovic z westchnieniem. - Najpierw kwiaty, teraz łodzie...

- I niech tak będzie - odparował Philippe, broniąc młodszego brata.

- Też pomyślałem o Grégorym, kiedy zobaczyłem łodzie. Zawsze chciał taką kupić, mówił mi o tym ostatnim razem, kiedy go widziałem. Wiecie, że tata ma tu w Sanary przyjaciela, który odrestaurowuje stare *pointus* i przechowuje je w wielkim hangarze. Sprzedaje je za jedno euro, ale pod warunkiem, że nowy właściciel w ciągu roku wypuści łódź na morze.

- Przygotowanie takiej łodzi zajęłoby więcej niż rok - stwierdził Ludovic. - Niektóre z nich mają ponad dziewięćdziesiąt lat.

- Pan pesymista zawsze do usług - zadrwił Philippe, lekko kłaniając się przed starszym bratem.

- Nie mogą być takie złe, skoro żeglują po Morzu Śródziemnym od ponad czterech tysięcy lat - zauważył Emile, ignorując sprzeczkę braci.

Wpatrywał się w jedną z łodzi, pomalowaną na jasnozielono, z pomarańczowymi listwami wykończeniowymi. Nazywała się *Julie*, dziwnym trafem tak jak jego wkrótce już była żona.

- Z każdym rokiem jest ich coraz mniej - powiedział Philippe. Odwrócił się do braci. - A gdybyśmy tak kupili jedną? Moglibyśmy uczyć nasze dzieci żeglarstwa, a *papa* miałyby wielką frajdę. *Maman* też. Uwielbiała żeglowanie. To odciągnęłoby ich myśli od...

- Zawsze uwielbiałem te łacińskie żagle - wtrącił Ludovic, jak gdyby nie usłyszał Philippe'a. Zatrzymał się i spoglądał na morze, osłaniając oczy przed słońcem. - Trójkątne ożaglowanie lepiej ustawia się pod wiatr. Czy pamiętacie, jak łatwo się manewrowało? Zwrot i pod wiatr. Zwrot i pod wiatr. Zwrot i pod wiatr. Kiedy żeglowaliśmy naszą łodzią, wydawało się, że jesteśmy jedynymi ludźmi na morzu.

* * *

Manuel Arruda nie ukrywał zaskoczenia ani wrogości, kiedy w drzwiach frontowych ujrzał Verlaque'a. Nie wiedział, kim jest Verlaque, ale to nie miało znaczenia. Księżciu nie należało przeszkadzać. Służący właśnie miał powiedzieć sędziemu, że książę wyjechał, kiedy ten wszedł do holu miejskiego domu i zapytał:

- Czy to *frère* Joël? - Po czym, widząc Verlaque'a stojącego na progu, mruknął tylko: - Och...

Nawet z tego miejsca Verlaque czuł dym. Uśmiechnął się i zapytał:

- Czy mogę wejść, książę? Mam do pana kilka pytań...

Manuel powiedział szybko:

- Książę właśnie miał jeść lunch.

- To potrwa tylko chwilę - zapewnił sędzia, przechodząc po wykładanej kaflami podłodze, by ucisnąć dłoń księcia. Zerknął na prawo i zobaczył ostatnie dogasające płomienie w marmurowym kominku. - Nietypowy dzień na rozpalanie ognia - zauważył.

- Proszę do salonu - powiedział książę. - To nie potrwa długo, Manuelu. - Zamknął za nimi drzwi i wskazał sędziemu krzesło.

Verlaque usiadł i pochylił się do przodu, by podnieść z podłogi kawałek papieru, który wyfrunął z kominka, jego skraj wciąż się tlił.

- Oparzy się pan! - zawołał książę, starając się powstrzymać sędziego.

Verlaque założył okulary do czytania, by przyjrzeć się skrawkowi.

- „*A fleur-de-lys*” - odczytał i podniósł go do góry.

- Mam zbiory papierów z całego życia - wyjaśnił książę. - Próbuję zrobić w nich porządek.

- Zabawna pora: ciepły wiosenny dzień.

- Powiedział pan, że ma jakieś pytania - odezwał się książę, ignorując uwagę sędziego.

Verlaque nadal trzymał kawałek papieru, podniósł oczy zza okularów i spojrzał na gospodarza.

- Opuścił pan tutejsze stowarzyszenie rojalistów z powodu sporu.

- Nie sporu. Nie miałem już czasu.

Sędziemu wydało się niezwykle to, że ktoś, kto nie pracuje, używa jako wymówki braku czasu.

- Kiedy przestał pan chodzić na spotkania?

- Och, już bardzo dawno. Pewnie dziesięć lub dwanaście lat temu. Może pan sprawdzić ich rejestry, jeśli zależy panu na dokładnej dacie. - Książę wiedział, że jest złośliwy, ale był zmęczony i czekał na swojego przyjaciela, *frère* Joëla. Na ogół potrafił ukryć zniecierpliwienie - to jedna z rzeczy, z których był dumny - ale dzisiaj mu się to nie udawało.

- Ale pańska zmarła żona została w stowarzyszeniu.

- Zgadza się.

Verlaque zauważył, że książę wygląda na zakłopotanego.

- Jakiej relacji miała pani Marguerite z Charles'em de Saint-Félixem? To miejscowy prawnik...

- Dobrze wiem, kim jest Charles.

„Och, do czegoś dochodzimy” - pomyślał Verlaque.

- Czy pracowali razem w Stowarzyszeniu Szlachty? Osiem lat temu?

Księżę wzruszył ramionami.

- Tak, oboje byli członkami stowarzyszenia. Ale, jak mówiłem, ja już do niego nie należałem. - Doskonale wiedział, że Marguerite i Charles knuli coś razem, ale nie mógł tego powiedzieć sędziemu.

- Czy mieli ze sobą coś wspólnego? Czy pragnęli przywrócenia monarchii za wszelką cenę? Czy mieli podobne poglądy?

- Proszę się tutaj zatrzymać.

Verlaque nie ustępował.

- Czy oni dwoje mieli ze sobą więcej wspólnego niż pan z pańską żoną?

Księżę w końcu stracił cierpliwość.

- Tak, prawdopodobnie tak było. Jeśli musi pan wiedzieć, w miarę upływu lat nasze zainteresowania zmieniały się. Kochaliśmy się, ale nie zgadzaliśmy się ze sobą tak, jak w młodości. Właśnie się pan ożenił. Zobacz pan. To zupełnie możliwe, że któregoś dnia pan i pańska żona zaczniecie mieć na wiele tematów odmienne zdanie.

* * *

Zanim Verlaque dotarł do schodów wejściowych Pałacu Sprawiedliwości, przez całą drogę czuł się tak, jakby ktoś uderzył go w brzuch. Słowa księcia zasmuciły go i wiedział, że za bardzo naciskał na starszego pana. Wszedł do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Usiadł, ponownie zapalił upmanna i wyjął malutki kawałek papieru, który zabrał sprzed kominka księcia. „*Fleur-de-llys*” - litery były bardzo wyraźne, ale wydawało się, że pod spodem napisana została jeszcze data. Nie był w stanie jej przeczytać, nawet w okularach. Wstał i sięgnął z półki słownik Oxfordu. Miał dwa: jeden w swoim mieszkaniu - *Oxford English Dictionary*, który był własnością jego dziadków i należał do nielicznych przedmiotów zabranych przez niego z ich paryskiego domu, oraz ten właśnie egzemplarz, który trzymał przy sobie podczas studiów na uniwersytecie. Dużymi dłońmi chwycił za małą mosiężną gałkę, otworzył szufladkę znajdującą się w pudełku zawierającym dwa tomy słownika, i wyjął lupę. Zbliżając ją do skrawka papieru, zdołał teraz odczytać napis, umiejscowiony pod symbolem Francji, symbolem francuskiej monarchii. To była data: 15 sierpnia, osiem

lat temu. Właśnie miał zadzwonić do Marine, gdy usłyszał pukanie. Paulik uchylił drzwi i wsunął głowę w szparę.

- Przepraszam, ale myślę, że to ważne - powiedział.

Verlaque spojrział w górę i odłożył telefon na biurko.

- Powinien pan zejść na dół. Przyprawdzili pomywacza z restauracji La Fontaine.

- Co?

- Zatrzymano go za podejrzanę zachowanie, a przynajmniej tak powiedzieli mi na dole. Dwaj inspektorzy śledzili go przez ostatni tydzień.

- Ale dlaczego, u diabła?

- Myślę, że częściowo z powodu jego wzrostu, blizny na twarzy i...

- Koloru jego skóry - dokończył Verlaque, po czym wstał i podszedł do okna. Otworzył je i zgasił cygaro w centymetrowej przerwie pomiędzy drewnianymi żaluzjami a metalową okiennicą.

- Genialne - rzekł Paulik.

- W ten sposób cygara nie staczają się z parapetu - odpowiedział sędzia, zamykając okno. - Są to nadal kawałki kubańskich cygar, każde warte pięć euro.

Razem wyszli z gabinetu i skierowali się w stronę schodów.

- Coś się ze mną dzieje - zaczął Verlaque. Zamilkł, gdy ktoś zbliżał się do nich z tyłu, a kiedy kolega już się przywitał, mówił dalej: - Mniej jem, czekam na letnie wyprzedaże, zachowuję niedopałki cygar...

Paulik roześmiał się nerwowo. Chciał powiedzieć: „Witaj w prawdziwym świecie”, ale zamiast tego stwierdził:

- Nie sądzę, żeby dał się pan zwolnić z powodu restauracji u Marine czy samobójstwa Kévina Malongo.

- Och, doprawdy? - zapytał Verlaque.

Kiedy zeszli na dół, Yves Roussel maszerował w tę i z powrotem przed drzwiami pokoju 104.

- On tam jest - oznajmił, przechylając głowę w stronę zamkniętych drzwi.

Sędzia zerknął w dół, zawsze ciekawy tego, jakie obuwie ma na nogach Roussel, a szczególnie - z jak wysokimi obcasami.

- Nowe buty? - zainteresował się jak zwykle Paulik.

Roussel strzelił cholewkami.

- Kupiłem je w Dallas. Po konferencji prawniczej w zeszłym miesiącu. - To były buty kowbojskie, ulubiony model Roussela. Wykonane z turkusowej skóry, przesywanej złotą nicią.

- Ładne - powiedział Paulik beznamiętnie.

- Więc dlaczego pomywacz jest tutaj? - zapytał sędzia, wskazując na drzwi.

- Nazywa się Mamadou Zouma - poinformował Roussel. - Mieliśmy skargi, że włóczy się po ulicach...

- To znaczy spaceruje? - rzekł Paulik oschle. - Nie wolno tego robić w Aix?

- I - ciągnął Roussel niecierpliwie - sypia w Parc Jourdan. Ale ważniejsze jest to. - Wyciągnął złożoną kopertę i wręczył ją Verlaque'owi.

Ten przekazał ją Paulikowi, który przeczytał nazwisko adresata:

- Ludovic de Castelbajac, numer 18 rue Cardinale.

Roussel wyjaśnił:

- Zouma wślizgnął się do budynku, gdy drzwi nie były dobrze zamknięte, a konsjerż przyłapał go na gorącym uczynku, kiedy przeglądał pocztę księcia. Mówię o Ludovicu de Castelbajacu. Tak naprawdę to jego ojciec jest prawdziwym księciem, ale on dziedziczy tytuł, ponieważ...

- Ponieważ jest najstarszym synem - dopowiedział sędzia.

- *Voilà* - zgodził się Roussel. - Dzwoniliśmy do Ludovica de Castelbajaca po tym, jak policjanci przyprowadzili tu Zoumę. Książę wpadł w furję. Powiedział, żebyśmy go zatrzymali, bo jest niebezpieczny. Chce wnieść oskarżenie.

- Niebezpieczny? - zdziwił się Verlaque.

- Książę wpadł w furję, bo ktoś przeglądał jego pocztę? - zapytał Paulik.

- Nie, nie - odpowiedział Roussel z rozdrażnieniem. - On utrzymuje, że Zouma zabił jego brata.

20

L'Esméralda

- Nie mogliśmy zamykać oczu, bo by nas zemdliło, więc je mrużyliśmy. Padał deszcz - mówił Mamadou, ściskając w swoich wielkich dłoniach biały kubeczek dekorowany czerwonymi serduszkami. Paulik znalazł ten kubek w pokoju dla personelu i napełnił go herbatą. - Sztorm trwał osiem godzin. W łódź uderzały pięciometrowe fale. Leżeliśmy na wznak, przerażeni, że wypadniemy. Żaden z nas nie umiał pływać. Tak spędziliśmy całą noc, a następnego ranka wyszło słońce. Niebo było niebieskie, a morze się uspokoiło. Czuliśmy się tak, jakbyśmy znaleźli się w innym świecie. Męczyło nas pragnienie, ale mogliśmy mówić. Chcieliśmy mówić. Rozmawialiśmy o naszych rodzicach, o piłce nożnej. O Mandeli. O Obamie.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Verlaque, Paulik i Roussel - nawet Roussel - byli jak zahipnotyzowani. Mamadou drżącymi rękami podniósł kubek do ust i upił łyk herbaty. Verlaque czuł się prawie tak, jakby uwolnili Mamadou z tej łodzi, a on pił pierwszą herbatę od wielu dni. Być może naprawdę go ratowali, słuchając jego historii, pozwalając mu mówić.

Mamadou odstawił kubek i kontynuował:

- A potem nie mogliśmy już mówić. Byliśmy zbyt spragnieni, a kiedy zaszło słońce, zrobiło się nieznośnie zimno. Ale przynajmniej morze było spokojne. Nie wiem, jak spaliśmy, ale spaliśmy. Myślę, że byliśmy wycieńczeni. A następnego ranka, kiedy się obudziliśmy, Vianney zaczął wymiotować krwią. Wcześniej też nie czuł się dobrze i wiedziałem, że to zły znak. Modliłem się, by ktoś nas uratował. I po kilku godzinach zdarzył się cud. Usłyszeliśmy wołanie: „Dzień dobry!”, „Dzień dobry!”. Obróciliśmy się, a za nami była łódź rybacka.

- Czy Vianney to pański brat? - zapytał Verlaque.

- Tak. Młodszy. Nie żyje.

- Kiedy to się działo? - zapytał sędzia.
- Dziesięć lat temu.
- A co było później? - chciał wiedzieć Paulik.
- Przybyli rybacy z Liberii, zabrali nas do władz portowych w swoim mieście. Ulokowali nas w celi, to było takie tymczasowe więzienie, dopóki nie zdecydowali, co robić. My nie mieliśmy nic przeciwko temu... Czuliśmy taką ulgę, że nie jesteśmy już na otwartym morzu. Ale Vianney wciąż kasłał. Był zbyt odwodniony po chorobie morskiej, za bardzo głodny i spragniony. Sześć dni później już nie żył. Ja zostałem w tamtej celi na pięć miesięcy. Wciąż myślałem o Vianneyu, o tym, jak zawiodłem jego i naszych nieżyjących rodziców. Miałem go chronić, być starszym bratem. Później zabrali mnie samolotem z powrotem do Togo. Wkrótce wyruszyłem stamtąd do Kapsztadu, mając nadzieję znaleźć pracę, lecz nic nie znalazłem. Ale przynajmniej były tam doki. Więc zrobiłem to jeszcze raz.
- Popłynął pan na gapę na łodzi? - zapytał Verlaque, nie wierząc własnym uszom. No, ale jak inaczej Mamadou by się tutaj znalazł?
- Wiedziałem, że to zrobię. Mieszkanie pod tamtym mostem było gorsze niż morska podróż. Tamto miejsce było pełne złodziei i oprychów.
- To stamtąd ma pan tę bliznę? - zapytał sędzia, dotykając własnego policzka.
- Nie, to się stało wcześniej, kiedy Vianney i ja byliśmy dziećmi, tuż po śmierci rodziców. Zabrałem Vianneya do Kapsztadu, by znaleźć jakieś zajęcie. Zostaliśmy zaatakowani pod tym samym mostem. Więc kiedy po jego śmierci znowu się tam znalazłem, wiedziałem, że muszę jak najszybciej opuścić to miejsce. I że następnym razem na statku będę mądrzejszy i nie dam się złapać. Lepiej się przygotuję. I będę miał więcej szczęścia.
- I co dalej? - odezwał się Roussel, jak dziecko, które chce usłyszeć koniec bajki, zanim pójdzie spać.
- Do portu przybił statek płynący do Marsylii - odparł Mamadou. - Francja jest krajem, w którym się tobą opiekują. Darmowe szpitale, dobre jedzenie, plaże. - Zdołał się uśmiechnąć i dodał: - Chociaż piłkarze tacy sobie. To wyglądało jak sen. Podobnie jak na statku, którym płynęliśmy z Vianneyem, nie było nocnej wachty. Łatwo było przemknąć się na pokład.

- To brzmi nieprawdopodobnie - skomentował Verlaque.

- Miałem szczęście - stwierdził Mamadou.

Verlaque zauważył, że Mamadou często używał słowa „szczęście”.

- Na niektóre statki trudniej się dostać, ale zawsze znajdzie się jakiś sposób. Niektórzy wykorzystują drabinki pasażera na gapę. -
Widząc zaskoczone twarze rozmówców, Mamadou podniósł wysoko rękę. - To długie bambusowe kije z poprzeczkami i hakiem. Inni w nocy wchodzą na statek miłości, kiedy przybija do brzegu.

- Statek miłości? - zapytał Roussel.

- Przywozi prostytutki, narkotyki i alkohol - wyjaśnił Mamadou. - Jest mnóstwo takich w Kapsztadzie. Ale tym razem nie ukryłem się w maszynowni, tak jak zrobiliśmy to z Vianneyem na Esméraldzie. Tam było strasznie...

- Spaliny? - zapytał sędzia. Postanowił zapamiętać nazwę statku. Mamadou wspomniał ją po raz pierwszy.

Mamadou przytaknął.

- Spaliny szkodziły Vianneyowi, kręciło mu się od nich w głowie. Ale dla mnie jeszcze gorszy był hałas...

- Turbin - odpowiedział Verlaque.

- Tak, przez cały czas dzwoniło mi w uszach. I było nieznośnie gorąco, bez świeżego powietrza. Pomyślałem: następnym razem wolę zmarznąć. Następna kryjówka musi być zimna i cicha. Więc na statku płynącym do Marsylii ukryłem się w skrzyni na narzędzia obok kontenerów. Wyglądała na dawno nieużywaną. Nocami mogłem z niej wyjść i rozprostować kości. Zabrałem ze sobą trochę jedzenia i worek wypełniony kartonami z sokiem pomarańczowym. Pewnej nocy znalazłem butelkę wody i kilka krakersów, które ktoś zostawił w kącie. Nie miałem pojęcia, jak długo jestem na morzu, więc kiedy przybiliśmy do portu, wymknąłem się ze statku i dotarłem na jakąś ruchliwą ulicę. Pierwsze, o co zapytałem, to: „Jaki jest dzień?” Spędziłem w tej skrzyni dziewięć dni.

Mamadou wypił resztę herbaty i odstawił kubek. Dłonie już mu nie drżały.

Verlaque pochylił się do przodu i powiedział:

- Przykro mi, ale musimy wrócić do pierwszego statku i do chwili,

kiedy zmuszono pana i pańskiego brata do jego opuszczenia.

Mamadou zwiesił głowę.

- Co dokładnie się wtedy wydarzyło?

- Znalazł nas jeden z marynarzy - odparł Mamadou łamiącym się głosem. - Vianney robił za dużo hałasu, wciąż kasłał i wymiotował. Ten marynarz wyprowadził nas na pokład i zawołał kapitana. Rozmawiali po hiszpańsku, ale czułem, że to nie jest ojczysty język kapitana. Przerazał mnie. Pomyślałem: „To już. Już po nas”.

- Panie Mamadou, to właśnie tutaj rzeczy się komplikują. Chcę, żeby mi pan powiedział, kto był kapitanem Esméraldy.

Mamadou spojrział w górę.

- To Ludovic de Castelbajac.

- Czy to on zmusił was do zejścia do szalupy?

- To był jego rozkaz. Dwóch marynarzy - jeden z nich miał nóż - zepchnęło nas do szalupy. Kapitan spojrział na nas z nienawiścią i powiedział do nich: „Załatwcie to”.

* * *

Dochodziła już osiemnasta, jeden z policjantów przyniósł Mamadou kanapkę i jabłko. Paulik, Roussel i Verlaque spotkali się w gabinecie Verlaque'a, gdzie mogli sobie zrobić przyzwoitą kawę.

- Nie ufam mu - stwierdził Roussel.

- Byłeś zaabsorbowany jego opowieścią - zauważył sędzia.

- Jak zawsze, kiedy ktoś snuje ciekawą historię - odparł Roussel. - Ale to fikcja. Wybrał statek do Marsylii nie dla plaż i dobrego jedzenia, ale dlatego, że płynął do Francji. Miał zamiar tu dotrzeć, by rozprawić się z Ludovikiem de Castelbajac. Zemsta to taki dobry motyw morderstwa.

- Ale to nie Ludovic zginął - zauważył Paulik. - Tylko jego młodszy brat.

- Pomyłka - rzekł Roussel. - Może było ciemno i Zouma kiepsko widział. Albo pojawił się na jego drodze młodszy brat Ludovica i próbował go chronić.

- Grégory de Castelbajac został zabity w afekcie - przypomniał Verlaque. - Ty przedstawiasz to jako zbrodnię z premedytacją. Nasz afrykański pomywacz nie miał motywu. Poza tym Mamadou pracuje tuż za rogiem od mieszkania Ludovica, a mimo to nigdy nie zrobił mu krzywdy.

- Aż do teraz - stwierdził Roussel. - Nie wiemy, o czym myślał dzisiaj rano. Ludovic jest odpowiedzialny za śmierć jego młodszego brata. Może dlatego Zouma zabił Grégory'ego... by zranić Ludovica, tak jak zraniono jego.

Ta teoria miała dla Verlaque'a najwięcej sensu, ale nic nie powiedział.

Paulik skończył swoje espresso i spojrzał na zegarek.

- Możesz iść, jeśli chcesz - odezwał się sędzia. - Skończę przesłuchanie Mamadou.

- Za pół godziny Léa ma recital - wyjaśnił Paulik. - Czy na pewno mogę...?

- Tak, oczywiście. Wprowadzę cię we wszystko jutro.

- Dobrze - ucieszył się komisarz. Idąc w kierunku drzwi, zapytał jeszcze: - Dlaczego Ludovic de Castelbajac wnosi oskarżenie? Po tym, co właśnie opowiedział Mamadou, Ludovic sam jest w wielkich kłopotach. Czy nie chciałby zachować tego, co się stało tam na morzu, w tajemnicy? W historii przedstawionej przez Mamadou jawi się jako potwór.

- Jeżeli jest prawdziwa - zaproponował Roussel.

- Ludovic się boi - zaczął Verlaque.

- *Voilà!* - wtrącił się Roussel. - Mamadou Zouma wprawia go w przerażenie.

- Chciałem powiedzieć - mówił dalej Verlaque, starając się zachować spokój - że jeśli Mamadou zostanie oskarżony o morderstwo, to kto uwierzy mu w historię o statku? Okrucieństwo Ludovica na morzu zostanie zamiecione pod dywan. - Przerwał i zastanawiał się, jak jeszcze bardziej zirytować Roussela. - A może to Ludovic jest mordercą? Oskarża biednego afrykańskiego pomywacza w nadziei, że sędzia śledczy będzie pod wrażeniem jego kariery i pochodzenia.

- Nie miał żadnego powodu, by życzyć sobie śmierci własnego

brata! - zawołał Roussel.

- Cóż, pozostawię panów z tym problemem - odezwał się Paulik. Otworzył drzwi i opuścił gabinet, na odchodnym mówiąc:

- Powodzenia.

Sędzia uśmiechnął się, wiedząc, że życzenia dotyczyły raczej poradzenia sobie z Rousselem niż z Mamadou Zoumą.

Verlaque i Roussel wrócili do pokoju 104, gdzie Mamadou skończył jeść i siedział z głową opartą na przedramionach. Usiedli i Verlaque znów podjął przesłuchanie.

- Czy po przybyciu do Marsylii przyjechał pan do Aix?

Mamadou spojrzał w górę.

- Na kilka miesięcy zostałem w Marsylii. Było lato i złapałem łatwą fuchę - sprzedawałam na plaży podrobione zegarki. Nocami sypiałem w jakiejś przybudówce obok torów kolejowych. Było bezpieczniej niż w Kapsztadzie. Musiałem ukrywać swoje rzeczy przed Cyganami, ale to wszystko.

- Nie wiedział pan, że Ludovic de Castelbajac mieszka w Aix?

- Nie, nie od razu - odpowiedział Mamadou powoli. - Po kilku miesiącach mieszkania w Marsylii bez trudu dowiedziałem się, gdzie mieszka. Byłem w szoku - wiedziałem, że jest Francuzem, ale nie, że mieszka tak blisko Marsylii.

- I przyjechał pan do Aix? - zapytał Roussel.

- Tak, dziewięć lat temu jesienią. Od razu dostałem pracę w restauracji Flunch przy Rotundzie. Zmywałem naczynia. Zacząłem mieć obsesję na punkcie Castelbajaca. Obserwowałem jego ulicę, widziałem, jak wchodzi i wychodzi. Szedłem za nim, kiedy robił zakupy przy rue d'Italie. Ale potem zniknął - pewnie był na morzu. Rok później we wrześniu wielu z nas we Flunch straciło pracę, bo rozprawiano się z pracownikami bez papierów. Pojechałem więc autostopem do Paryża. Mam tam dalekiego kuzyna, w Barbès. I z czasem powoli udało mi się zapomnieć o tamtym kapitanie. Mieszkałem w stolicy przez osiem lat.

- Czy wiedział pan, że szkielet znaleziony w ogrodzie to szczątki jego brata?

- Nie, nie - odparł Mamadou, kręcąc głową. - Słyszałem, że to jest

to samo nazwisko, ale na początku nie wiedziałem, że to brat.

- Dobry motyw - stwierdził Roussel, pochylając się. - Pan stracił brata, więc on musiał stracić swojego.

Mamadou wyglądał na przerażonego.

- Co?

- Ludovic de Castelbajac oskarża pana o zamordowanie jego brata - powiedział Verlaque cicho.

- To szaleństwo! Kiedy on zginął?

- Tuż przed pańskim wyjazdem do Paryża. W sierpniu. Co spowodowało pana z powrotem do Aix?

- Nienawidziłem Barbès - wyjaśnił Mamadou. - Było chyba jeszcze gorsze niż Kapsztad. I marzłem. Tutaj ludzie byli dla mnie bardzo mili, było ciepło, a życie nie kosztowało tak wiele. Kiedy tylko znów przyjechałem do Aix, dostałem pracę u Beara.

- Przypadkiem tuż za rogiem od domu Ludovica de Castelbajaca - zauważył Roussel.

Verlaque nie mógł się z nim nie zgodzić.

Mamadou powiercił się na krześle i mówił dalej:

- Nie. To nie tak. Przyjechałem tu we wtorek, więc poszedłem od razu na duży rynek, mając nadzieję, że rolnicy dadzą mi parę owoców albo znajdę jakieś wśród tych, które wyrzucają. Usłyszałem Beara rozmawiającego z jedną z farmerek - teraz robię u niej zakupy do restauracji, nazywa się Mme Martin - a on opowiadał jej o swojej restauracji. Natychmiast go polubiłem. Był... - Mamadou przerwał, wpatrując się w stół, ale po chwili odnalazł właściwe słowa. - Pewny siebie. Przyjacielski. Miał tatuaże, ale i tak widziałem, że Mme Martin bardzo go lubi. Pokręciłem się dookoła, zebrałem się na odwagę i pomaszerowałem do niego z pytaniem, czy ma jakąś pracę. Miałem szczęście, bo jego pomywacz właśnie się zwolnił. Ale to przypadek, że restauracja znajduje się w Mazarin. Przysięgam.

- Czy przez cały ten czas sypiał pan w Parc Jourdan? - zapytał Verlaque.

- Nie. Dzieliłem mieszkanie w Jas de Bouffan z pewnym mechanikiem, ale on się zaręczył i wyprowadził. Nie udało mi się

znaleźć kolejnego współlokatora, więc zrezygnowałem. Myślałem, że znajdę coś mniejszego, ale ceny tak bardzo poszły tutaj w górę, nawet w Jas...

Verlaque skinął głową.

- A co pan robił w holu wejściowym w budynku Ludovica de Castelbajaca?

- W zeszłym tygodniu wszedł do restauracji z jakimś innym mężczyzną. Przyszli w porze lunchu i straszili Beara, mówiąc, że starają się zamknąć jego restaurację. Udało mi się zapomnieć o kapitanie, a on tam nagle stał, próbując zniszczyć życie jednej z osób, które były dla mnie dobre. Wiedziałem, gdzie mieszka, a pewnego dnia, kiedy wyszła stamtąd kobieta i drzwi się nie zatrzasnęły, mogłem się tam wślizgnąć...

- Często tak się pan wślizguje? - przerwał mu Roussel. - Na statki, do budynków mieszkalnych?

Mamadou mówił dalej, jakby nie usłyszał Roussela.

- Zamierzałem z nim porozmawiać. No dobrze, może nawet przeszło mi przez głowę, żeby go postraszyć, powiedzieć, by przestał nękać Beara, bo inaczej wszystkim opowiem - policji, gazetom - o tym, co zdarzyło się na morzu. I co zaszkodziło także ziemi.

- Co pan ma na myśli? - chciał wiedzieć Verlaque.

- Kiedy ukrywałem się w tamtej skrzyni na narzędzia, usłyszałem narzekania dwóch marynarzy. Jeden z nich był Filipińczykiem, ale ten drugi nie, więc rozmawiali łamanym angielskim, a ten język pamiętałem z czasów, gdy byłem w RPA. Mówili o tym, jak kapitan prawie każdego dnia kazał im wylewać do morza pozostałości oleju silnikowego. Jeden z nich powiedział: „Nie należę do tych, co to obejmują drzewa, ale robię to z ciężkim sercem”.

Nie wiedziałem, na którym piętrze mieszka kapitan, więc przejrzałem pocztę z nadzieją, że powie mi to jedna z zaadresowanych do niego kopert. Ani na drzwiach, ani przy przycisku domofonu nie było takich informacji.

- Poczta była gdzieś wyłożona, łatwo dostępna? - zapytał Roussel.

- Tak, na ozdobnym stoliku w holu - odparł Mamadou.

- To tak jak u mnie - wtrącił sędzia. - Nie mamy skrzynek pocztowych.

Przypomniał sobie, że miał porozmawiać z innymi lokatorami, by wyrazili zgodę na naprawę zewnętrznych drzwi. Podobnie jak u Castelbajaca zatrząskiwały się one tylko co drugi raz.

- I nie zamierzał pan go skrzywdzić? - zapytał Roussel.

- Przecież nawet nie miałem ze sobą noża! - zawołał Mamadou, wyciągając ręce.

Verlaque odnotował, że Mamadou wybrałby nóż jako broń, tymczasem Grégory de Castelbajac został popchnięty.

- Omija mnie wieczorna gorączka w restauracji - szepnął Mamadou, patrząc na stół.

- Może pan iść - oznajmił Verlaque. - Proszę powiedzieć Bearowi, gdzie pan był i że do niego zadzwonię. I musi pan na razie pozostać w Aix. Załatwię panu miejsce w katolickim hostelu, dopóki nie znajdzie pan mieszkania. Będę chciał jeszcze z panem porozmawiać, zwłaszcza o Esméraldzie.

Mamadou skinął głową i wstał.

- Dziękuję.

- Przykro mi z powodu pańskiego brata - powiedział Verlaque.

Roussel westchnął.

21

Album

- Wiem, że często mówię, że potrzebuję drinka - odezwał się Verlaque, przytulając Marine - ale dziś naprawdę go potrzebuję. Podwójnego.

- Już podaję - odparła Marine. - I ja też się napiję. Dzisiaj wdałam się w wielką awanturę z dziekanką. Powiedziała, że innym wykładowcom nie podoba się to, że spędzam tak dużo czasu ze studentami i że ich niańczy. - Wyciągnęła przed siebie ręce i skierowała się do kuchni. - Należę dwa kieliszki rumu. A tak przy okazji, zaprosiłam na wieczór Sylvie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Powinnam najpierw cię zapytać.

- Nie ma problemu - odpowiedział Verlaque, zdejmując krawat i wieszając go na oparciu krzesła. - Może nas rozweseli.

Usiadł w swoim ulubionym fotelu klubowym, położył głowę na oparciu i zamknął oczy. Nie mógł pozbyć się obrazu Mamadou i Vianneya, leżących w szalupie z twarzami skierowanymi w stronę spadających z łoskotem fal. Spojrzał w górę, kiedy weszła Marine, niosąc dwie szklaneczki złotawego rumu. Miała na sobie długie, białe, bawełniane spodnie, które rozszerzały się ku dołowi, ciemnozieloną bluzkę bez rękawów i espadryle na koturnach.

- Jesteś śliczna - powiedział, biorąc szklaneczkę. - Może twoi studenci przychodzą do ciebie po pomoc z powodu twojej urody.

- Dziękuję. - Roześmiała się i upiła łyczek rumu. - Czyli nie przychodzą dla mojej wiedzy!

- Nie to miałem na myśli. Uroda to bonus.

Rozległ się dzwonek domofonu i Marine wpuściła Sylvie do budynku. Usłyszeli trzaśnięcie drzwi wejściowych i roześmiali się, kiedy na trzecim piętrze Sylvie zaczęła kłąć.

- Czy kiedykolwiek przeszło wam przez myśl, żeby zamontować windę? - zapytała, wchodząc do mieszkania.

- Na klatce schodowej nie ma dość miejsca - zawołał Verlaque, obracając się tak, by widzieć gościa.

Marine obdarzyła przyjaciółkę *bise*, a po niej to samo zrobił Verlaque.

Sylvie wręczyła im butelkę wina, zapakowaną w bibułę.

- Zabójczy burgund - powiedziała. - Przynajmniej tak twierdził winiarz na rue Cordeliers. Wino pochodzi z Santenay.

- Będzie doskonale do pieczonej wieprzowiny - oznajmiła Marine, biorąc butelkę.

Sylvie roześmiała się.

- Antoine, już nie jesteś najważniejszym ekspertem od win w tym domu. Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

- Absolutnie. Masz ochotę na szklaneczkę rumu? Białe wino?

- Wino poproszę - odparła Sylvie. - Na studiach kilka razy przesadziłam z rumem.

Antoine zaśmiał się. Do pokoju weszła Marine i postawiła na stoliku do kawy miseczkę z oliwkami i talerz pokrojonego w plasterki chorizo. Sylvie pochyliła się i włożyła do ust cienkie plasterki kielbasy.

- Czy zauważyliście, że chorizo może być albo zdumiewająco dobre, tak jak to, albo naprawdę, naprawdę kiepskie?

- Właśnie - zgodził się Verlaque. - To ze sklepu spożywczego jest za tłuste. My kupujemy u rzeźnika, który kroi je w plasterki cienkie jak opłatek.

- To właśnie ten rzeźnik dał mi przepis na dzisiejszą pieczeń - oznajmiła Marine. - Poradził, by owinąć ją w liście kapusty dla utrzymania wilgoci. Ale będzie gotowa za godzinę z kawałkiem.

- Jesteśmy szczęściarzami - odezwał się nagle Verlaque. - Że mamy to wszystko. - Powiódł wzrokiem po pokoju.

Marine i Sylvie spojrzały na niego zaskoczone.

- Dzisiaj usłyszałem okropną historię - mówił dalej. - O dwóch braciach z Togo. Byli pasażerami na gapę na statku handlowym i zostali przyłapani. Kapitan i załoga zmusili ich siłą do wejścia do szalupy podczas burzy...

- O Boże - westchnęła Marine.
 - Marine, kapitanem był Ludovic de Castelbajac, najstarszy syn hrabiostwa - rzekł sędzia. - A rozbitkiem Mamadou.
 - Mamadou? - zapytała Marine z niedowierzaniem.
 - Tak - potwierdził. - Jego brat zmarł po tych ciężkich przeżyciach.
 - To straszne - rzekła Sylvie.
 - Poczekajcie - odezwała się Marine. Spojrzała na Sylvie. - Pamiętajcie ten lunch, kiedy Thomas Roche przyszedł do La Fontaine z tym facetem, który wyglądał na wojskowego?
 - Który tak się bał Mamadou! - dodała Sylvie.
 - To był Ludovic - potwierdził Verlaque. - A dzisiaj Mamadou został przyłapany w holu wejściowym Castelbajaca. Twierdzi, że chciał po prostu porozmawiać z gospodarzem.
 - Akurat - powiedziała Sylvie, parskając.
 - Castelbajac oskarżył Mamadou o zabicie Grégory'ego. Ale nie ma żadnego dowodu, więc wypuściłem Mamadou.
 - Jednak jest motyw - zauważyła Marine.
 - Ta historia przypomina mi fotografie Erica... - zaczęła Sylvie.
- Oboje spojrzeli na nią uważnie.
- Mów dalej - zachęcił Verlaque.
 - Eric Cassely i ja uczyliśmy się razem w Beaux Arts - wyjaśniła Sylvie. - On pracuje teraz jako fotografik w Marsylii i właśnie zdobył nagrodę za serię zdjęć ze statku handlowego. Te zdjęcia są niezwykle piękne, a historie marynarzy chwytają za serce. Na wernisażu Eric wygłosił wykład. Pamiętam, jak mówił, że każdego roku na statkach zatrzymuje się blisko dwa tysiące pasażerów na gapę. Oni są szczęściarzami - wielu innych umiera, ponieważ wybrali niebezpieczne kryjówki, takie jak kontenery, które wydają się przytulne, ale są skażone lub uszkodzane przez kotwice. A wielu spośród tych ludzi zmusza się do wejścia do szalup i wysyła na morze, tak jak naszego pomywacza.
 - Dlaczego po prostu nie wysadzić pasażerów na gapę w najbliższym porcie? - zapytała Marine.

Sylvie upiła duży łyk wina i mówiła dalej:

- Wcześniej tak się działo, ale europejskie procedury imigracyjne zostały zaostrzone i władze portów nakładają olbrzymie grzywny na statki, które mają na pokładzie ludzi spoza listy załogi i pasażerów. Te grzywny mogą wynosić pięćdziesiąt tysięcy euro, a nawet więcej, jeśli ładunek jest opóźniony.

- A wyrzucenie pasażerów na gapę za burtę nic nie kosztuje - skomentowała Marine.

- No cóż, Eric określił to jako pewnego rodzaju paragraf 22. Kapitanom nie wolno trzymać nielegalnych pasażerów na pokładzie, ale są karani, gdy przywożą ich na brzeg.

- Musi być jakieś rozwiązanie - powiedziała Marine.

- Żaden kraj nie chce wziąć odpowiedzialności - powiedział Verlaque. - Czytałem, że morza są jak Dzikie Zachód.

Sylvie mówiła dalej:

- Moje ulubione zdjęcia to seria portretów mężczyzn, którzy wydali całe swoje oszczędności, by dostać się na konkretny statek, i przekonują się, że został on opuszczony, że nie ma ani kapitana, ani właściciela. Nie mają dość pieniędzy, żeby wrócić do domu, więc zostają na pokładzie, czekają na wieści, powoli dopada ich głód i pogrążają się w depresji. Statek w końcu dociera do Marsylii po kilkukrotnej zmianie właściciela i omijaniu władz portowych.

- Czy przed kolacją przejrzymy nasze ślubne zdjęcia? - zapytała Marine.

Jak powiedziała Sylvie, historie pasażerów statków chwyciły za serce i Marine miała poczucie winy, że zmienia temat. Ale wątpiła, by losy Mamadou miały coś wspólnego z zamordowaniem Grégory'ego de Castelbajaca. Trudno go było pomylić z dużo starszym bratem, kapitanem statku. Wiedziała też, że jeśli nie siądą tego wieczoru razem, by wybrać zdjęcia, miną miesiące, zanim ponownie będą mogli to zrobić.

- *Volontiers* - odezwał się Verlaque, kładąc album na środku stolika kawowego, gdzie wszyscy mogli go widzieć. Marine odetchnęła z ulgą, widząc, że jej mąż czuł to samo co ona.

- Muszę powiedzieć - zaczęła Sylvie, otwierając album - że Régis zrobił świetną robotę. - Patrzyła na pierwszą stronę, na czarno-białe

portret Marine i Antoine'a, lekko uśmiechniętych, ale przede wszystkim zmieszanych, z barokowym kościołem w tle. – Całkiem elegancka para – skomentowała, przewracając kartkę. – Uwielbiam to ujęcie. – Wskazała na fotografię Marine, która poprawiała szminkę.

Verlaque spojrział na zdjęcie.

– *Pardon* – powiedział i podniósł album, żeby lepiej widzieć.

– Czy możesz jeszcze bardziej przyciągnąć album do siebie? – drażniła się z nim Sylvie.

Po chwili uśmiechnął się i odłożył album, więc Sylvie mogła przejść na kolejną stronę.

– Większy wybór będzie, kiedy dojdziemy do zdjęć z przyjęcia – powiedziała. – Ale strasznie podoba mi się to, że twoja mama ma nachmurzoną minę, Marine.

Roześmiali się, a Verlaque znów podniósł album i przyciągnął go pod sam nos.

– Musisz iść na kolejne badanie wzroku, Antoine – stwierdziła Marine.

– On wygląda tak bardzo jak... – wymruczał.

– Kto? – dopytywała Marine. – Kto wygląda jak kto?

Verlaque spojrział na sufit i zamknął oczy. Sylvie i Marine wymieniły spojrzenia. Otworzył oczy i strzelił palcami.

– *Mais oui...*

– Antoine, co u...? – zapytała Marine.

Podniosła album i spojrzała na fotografię.

– Kto to?

– Mężczyzna, który obserwuje mojego ojca i Rebecę, kiedy pozują do zdjęcia – wyjaśnił Verlaque. – Stoi po lewej stronie zdjęcia, przy bugenwilli pnącej się po ścianie kościoła, i pali. Jest też na twoim zdjęciu ze szminką.

– To jakiś mieszkaniec wioski – zasugerowała Sylvie.

– Tak i w końcu doszedłem do tego, kim on jest – oznajmił. – To kelner z restauracji. Żartowaliśmy, że wygląda jak Robert de Niro

w młodości.

Marine spojrzała na fotografię.

- Jesteś pewien? - Zerknęła jeszcze raz i mlasnęła językiem. - Tak, masz rację. Ma brodę. Nie poznałam go.

- Ostatnio popularne są takie niechlujne brody - zauważył Verlaque.
- Nierówne.

Przetarł oczy. Marine przyglądała się mu przez chwilę, po czym zapytała:

- O co chodzi, Antoine?

- To Yannis Malongo - odparł. - Brat Kévina...

- Faceta, który twierdził, że jest niewinny, a potem popełnił samobójstwo w więzieniu - wtrąciła się Sylvie. - Przepraszam, przeczytałam to dzisiaj rano w „La Provence”.

Marine wyprostowała się.

- Czy ten kelner przypomina ci Yannisa Malongo? Co ich łączy?

- Broda - powiedział Verlaque. - Yannis zapuścił taką nonszalancką brodę i go nie rozpoznałem. Przez ostatnie kilka dni wpadłem na niego w mieście co najmniej dwa razy.

Odłożył album i przeszedł przez pokój. Oparł się o ścianę tak, by móc wyjrzeć przez okno, nie będąc przy tym widzianym z zewnątrz.

- Dlaczego wyglądasz przez okno? - zapytała Marine. - Czy widzisz Yannisa?

Sylvie, patrząc na Verlaque'a, zaczęła obgryzać paznokcie.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale niedawno szedł za mną po ulicy - odparł. - Miałem wrażenie, że go znam, ale było ciemno i przeszedł obok mnie bardzo szybko.

Marine podniosła album i jeszcze raz spojrzała na fotografię.

- Ten wygląd De Niro, z brodą... Teraz też mam jakieś *déjà vu*.

- Przez was chodzą mi ciarki po plecach - powiedziała Sylvie.

- Teraz wiem, kogo przypomina mi ten kelner - oznajmiła Marine. - Tego faceta, który kilka dni temu pomógł mi otworzyć drzwi wejściowe, kiedy niosłam zakupy. - Spojrzała na męża, który teraz

odszedł od okna i usiadł z powrotem na sofie, obejmując ją ramieniem.

- Nie martw się - powiedział. - Pewnie już go znudziło śledzenie mnie.

Ale kłamał. Yannis Malongo stał na ich ulicy, patrzył w górę na ich mieszkanie i palił papierosa. Verlaque niespodziewanie pomyślał, że Mamadou Zouma, pomimo swoich tragicznych przeżyć, mógł być winny śmierci Grégory'ego. I, podobnie jak Zouma, Malongo miał obsesję na punkcie człowieka, który skrzywdził jego brata. Verlaque starał się opanować drżenie na myśl o najgorszym scenariuszu - obawiał się, że Yannis Malongo może się na nim zemścić, krzywdząc najdroższą mu osobę.

22

Wyznanie księcia

Tego wieczoru po kolacji Verlaque i Marine odprowadzili Sylvie do domu. Ulice były zupełnie puste – Yannis Malongo zniknął. Sylvie mieszkała dwie ulice od nich, a w okolicy nie było restauracji ani barów czynnych do późna. Sylvie paplała coś nerwowo i paliła, jakby chciała ostrzec potencjalnych śledzących ich ludzi, że jest ich troje. To przypomniało Verlaque'owi o hałasie, jaki musieli robić wędrowcy w Ameryce Północnej, by odstraszyć niedźwiedzie.

Będąc już na górze w swoim mieszkaniu, Sylvie zapłaciła opiekunce i na palcach weszła do pokoju Charlotte, by pocałować ją w ciepły policzek. Pogłaskała ją po kręconych włosach, myśląc o fotografii ślubnej, którą jej córka wybrała do oprawienia. Któregoś dnia po lekcjach poszła z Charlotte do ramiarza, gdzie wybrały prostą srebrną ramkę. Sylvie rozumiała, dlaczego jej jedenastoletniej córce podobało się to zdjęcie. Była na nim ona sama wraz z przyjaciółką Léą, córką Paulików. Poza tym byli na nim widoczni prawie wszyscy weselnicy, ponieważ zostało zrobione podczas przyjęcia. Charlotte stwierdziła, że przypomina jej *Ostatnią Wieczerzę* z Marine siedzącą w środku stołu jak Jezus.

- Kim więc jest Antoine? – zapytała Sylvie.
- Jednym z Trzech Króli.
- Ale Trzej Królowie nie uczestniczyli w Ostatniej Wieczerzy – poprawiła córkę Sylvie.
- Ja to zmyślam, *maman!*

Jeden długi stół ustawiono w aneksie restauracji, a na tej fotografii widać było tylko twarze osób siedzących po tej samej stronie stołu co Marine i Verlaque. Goście po przeciwnej stronie byli zwróceny do fotografa plecami, ale i tak dało się wyczytać ich uczucia, choćby z pochylenia głowy albo postawy ciała. Trzy butle czerwonego wina barolo zapowiadały udane przyjęcie. Pomimo nadmorskiej lokalizacji wioski Antoine upierał się, aby w menu znalazł się dzik.

Walczył o to z Marine i przegrał, kiedy Marine dodała opcję z rybą. Stół udekorowano białym, lnianym obrusem i nie było na nim kwiatów. Tylko kieliszki do wina i szklanki do wody, koszyki z chlebem, butelki z oliwą z oliwek i około dziesięciu butelek włoskiej, gazowanej wody. Puste butelki personel zbierał prawie natychmiast po tym, jak goście odstawiali je na stół. Régis słusznie wybrał czerń i biel dla tego ujęcia, dzięki temu stawało się ponadczasowe. Charlotte i Léa siedziały z prawej strony przytulone do siebie i z czegoś się śmiały. To, że tak bardzo się polubiły, ogromnie cieszyło Sylvie, gdyż dziewczęta bardzo się od siebie różniły. Léa śpiewała w chórze w prestiżowym konserwatorium muzycznym w Aix i była poważną, a przy tym towarzyską dziewczynką. Charlotte cechowały nieśmiałość i marzycielstwo.

- To doskonałe zdjęcie - powiedziała Sylvie, kiedy wyszły z warsztatu ramiarza. - Z czego się tak śmiałyście?

- Z Antoine'a - rzeczowo odpowiedziała dziewczynka. - Mama Marine coś do niego mówiła, a my patrzyłyśmy. On jej nie słuchał, ale udawał, że słucha. Jednak ona go na tym przyłapała i chwyciła go za ramię. Wtedy zaczęłyśmy chichotać, a Antoine nas usłyszał i puścił do nas oko.

* * *

W drodze powrotnej Verlaque ciasno obejmował Marine i oboje, jak wcześniej Sylvie, mówili trochę za głośno, wspominając dzień swojego ślubu i fantazjując o kupieniu mieszkania w Paradiso. Kiedy wrócili do domu, szybko opróżnili zmywarkę i schowali resztki jedzenia.

- Riedelsy wymyję jutro rano - powiedział Verlaque, mając na myśli trzy delikatne kieliszki do wina.

- Dobrze - odparła Marine. - Dziękuję.

Wyłączyli światła w kuchni, umyli zęby i przebrali się w piżamy.

- Jakie masz plany na jutro? - zapytał Verlaque, kładąc się do łóżka.

- Będę w domu i popracuję nad bibliografią do mojej książki - rzekła. - Antoine... czy grozi nam niebezpieczeństwo?

Podniósł wzrok na ogromne, czarne malowidło Soulages'a, a potem na Marine.

- Nie chcę, żebyś jutro wychodziła z mieszkania - odparł. - A jeśli musisz, to weź ze sobą Sylvie albo zadzwoń do Arnauda.
- Zakupy?
- Arnaud. Napisz mu listę. Powiedz, że masz dużo pracy.
- A ty?
- Pałac Sprawiedliwości jest tuż za rogiem, będzie jasno, a wokół mnóstwo ludzi.
- To samo mógłbyś powiedzieć o moim ewentualnym wyjściu - zaprotestowała.
- Dobrze, powiem Brunonowi, żeby po mnie przyszedł. Może przyniesie jakieś brioszki od Michauda.

Marine uśmiechnęła się, uspokojona, że jej mąż zadzwoni do Paulika, że wrócił mu jego pogodny nastrój i znowu myśli o czymś do zjedzenia. Wyciągnęła rękę i wyłączyła lampę przy łóżku.

* * *

Paulik przyszedł na ulicę Adanson tuż przed dziewiątą. Marine była już na górze i pracowała w biurze, które zorganizował jej Antoine. Przywitała się z komisarzem, przechylając się przez nowoczesną balustradę z czarnego żeliwa.

- Przyniosłem dla was brioszki - powiedział Paulik, podnosząc torbę.
- Ja dziękuję - odparła Marine. - Rano jadłam muesli.
- Muesli? - zdziwił się Paulik.

Verlaque włożył marynarkę i wzruszył ramionami.

- Wiem, to niewiarygodne, że można wybrać do jedzenia coś, co przypomina trociny, a nie brioszki od Michauda.

Kiedy rozległ się dzwonek jego telefonu komórkowego, spojrzał na numer, przeprosił i poszedł do sypialni na tyłach mieszkania. Paulik usiadł w fotelu klubowym i sprawdzał wiadomości w swoim telefonie. Po dziesięciu minutach Verlaque wrócił i wyjaśnił:

- To był Jean-Baptiste Dellaney.
- Trzeci muszkieter? Przyjaciel Sigisberta i Grégory'ego? - zapytał

komisarz.

- Tak - odparł Verlaque. - Długo nie mogliśmy się złapać z powodu różnicy czasu.

- Czy powiedział coś interesującego?

- Nawet bardzo. Słuchaj, mam do wykonania jeszcze jeden ważny telefon. Do Londynu. Nie masz nic przeciwko?

- Proszę dzwonić - powiedział Paulik.

Marine zeszła na dół i zapytała:

- Bruno, masz ochotę na kawę?

- Nie, nie - zaprotestował.

- I tak robię dla siebie.

- W takim razie poproszę.

Kilka minut później Verlaque wrócił do pokoju dziennego. Wydawał się poruszony i najwyraźniej chciał już wyjść.

- Ruszamy? - zapytał Paulik. - Możemy zjeść po drodze.

- Tak zrobimy.

Pożegnali się z Marine i opuścili mieszkanie. Na podeście otworzyli torbę i wyciągnęli po jednej brioszce.

- Trzecią podzielimy później - odezwał się Verlaque. - Dopilnuję tego.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Paulik powiedział:

- Nadal nie ma wiadomości od Juliette de Castelbajac.

- Hmm... - mruknął Verlaque.

Spojrzał za siebie w stronę Place des Martyrs de la Résistance, ale zobaczył tylko grupę turystów fotografujących Théâtre de l'Archevêché, gdzie co roku odbywał się letni festiwal operowy.

Skręcili w prawo i szli niemal opustoszałą rue Adanson do wąskiej rue Esquicho-Coude.

- Za każdym razem, gdy patrzę na te pozbawione twarzy figury - odezwał się sędzia, spoglądając na osłonięte kratą z kutego żelaza oratorium - myślę o ludziach takich jak Mamadou Zouma -

migrantach, uchodźcach szukających lepszego życia. Przybywają tutaj i znajdują ludzi pokroju Thomasa i Stéphanie Roche'ów.

- Oraz Ludovica de Castelbajaca - dodał Paulik.

Skręcili w lewo w rue Paul Bert, a potem od razu w prawo, w rue Granet, która poprowadziła ich prosto do pracy.

- Czy powie mi pan, co się dzieje? - zapytał Paulik, kończąc brioszkę i wyjmując trzecią z torby. - Czy też potrzebował pan tylko dostawy z Michauda?

- Wypijmy szybką kawę w Café Verdun - zaproponował sędzia. - Wyjaśnię ci, dlaczego chciałem, żebyś przyszedł dziś rano, co miał nam do powiedzenia nasz przyjaciel z Melbourne i dlaczego dzwoniłem do Londynu. A potem możemy iść do mieszkania Marine. Będzie tam Sigisbert Valets i jego wspólnik, Mamadou Zouma.

* * *

Ksiązę klęczał na desce, do której Manuel przybił małą, prostokątną poduszkę, i jak szalony pielął ogród. Był ciepły poranek i pot spływał mu z karku na koszulę, ale mężczyzna nie dbał o to. Wiedział, że powinien przerwać już kilka minut temu i napić się wody, lecz nie potrafił się zatrzymać. W głowie brzmiał mu skomponowany przez Haydna hymn niemiecki, który usłyszał rano w Radio France, i teraz nie był w stanie wyrzucić melodii z pamięci. Nie kojarzył mu się z nazistami, którzy uważali tę pieśń za własny hymn, ale raczej z wszystkimi dobrymi stronami Niemiec: białymi winami z nad Mozeli, portretami Albrechta Dürera, angielskim ogrodem w Monachium, maślanymi ciasteczkami z jabłkami, orzechami włoskimi i gałką muszkatołową, no i oczywiście z Marguerite. Dużo o niej myślał.

- *Bonjour, mon ami* - usłyszał za sobą.

Spojrzał w górę i uśmiechnął się.

- Tak miło ojca widzieć - rzekł ksiązę. *Frère Joël* pomógł mu wstać. - Poproszę Manuela, żeby przyniósł nam wodę i kawę. I ciasto.

Frère Joël rozpromienił się.

- Jest pan pewien?

- Całkowicie - odparł ksiązę. - Pracowałem bardzo ciężko i potrzebuję przerwy. Poza tym chciałem z ojcem porozmawiać.

Pójdę umyć ręce. To zajmie chwilę.

Frère Joël usiadł i z podziwem patrzył na ogród. Księża mieli własny mały ogródek pomiędzy kościołem a Musée Granet, ale kiedykolwiek tam wchodził, zaraz pojawiał się inny ksiądz lub brat i chciał rozmawiać o następnej mszy, zbieraniu funduszy na organy czy o grupie młodzieży. Tutaj mógł robić to, co chciał.

Po kilku minutach wrócił ksiązę, a za nim szedł Manuel, niosąc tacę z kawą, wodą i ciastem.

- Dziękuję, Manuelu - powiedział ksiązę. - To korzenne ciasto - wyjaśnił *frère* Joëlowi, wskazując na tacę. - Wiem, że to nie Boże Narodzenie, ale nagle przyszła mi na nie ochota. A Manuel co do joty trzyma się przepisu Marguerite. - Usiadł i ukroił kawałek dla każdego z nich, kładąc go na biało-czarny, porcelanowy talerzyk marki Wedgwood.

- Josiah Wedgwood, abolicjonista - rzekł *frère* Joël, dostrzegając napis na spodzie talerzyka.

- Ten sam - odparł ksiązę, nalewając kawę.

Lubił towarzystwo zakonnika, choć zauważył, że podobnie głębokie rozmowy prowadził także z Gaëlle Dreyfus, która jednak, w przeciwieństwie do braciszka, była atrakcyjna i szczupła. Wręczył *frère* Joëlowi kawę i usiadł, uśmiechając się.

- Mam nadzieję, że nie jestem niedyskretny - powiedział *frère* Joël - ale czy ma pan jakieś wieści od pańskiego lekarza?

- Tak - odrzekł ksiązę, obracając się w stronę przyjaciela. - Guz nie jest złośliwy.

- Wspomniała wiadomość - ucieszył się *frère* Joël, podnosząc filiżankę kawy. - Wypiję za to.

- Jeśli ojciec ma ochotę, wypijemy za to niebawem któregoś wieczoru. Jeśli lubi ojciec stary armaniak.

- Och, oczywiście!

Ksiązę uśmiechnął się. Podziwiał zakonnika, jego spokój i skromność.

- *Frère* Joëlu - zaczął. - Jednym z powodów, dla których tak ojca lubię, oprócz naszych rozmów, jest ojca powściągliwość i zrównoważenie.

Zakonnik uśmiechnął się, wiedząc, że książkę znowu cytuje Montaigne'a.

- Montaigne z tego powodu nie był popularny wśród romantyków - powiedział, odgryzając kęs korzennego ciasta.

- Wiem - odparł książkę. - Nie miał wystarczająco gorącej krwi.

- Rozumiem, dlaczego tak uważali - odezwał się *frère* Joël. - Weźmy na przykład wizytę Montaigne'a u przyjaciela, Torquata Tassa. W Ferrarze...

Książkę skinął głową. Szybko, chcąc przykryć swój błąd sprzed kilku dni - kiedy pomylił Eurypidesa z Sofoklesem - powiedział:

- Doskonały przykład. Do czasu, kiedy nasz eseista odwiedził Tassa w Ferrarze, poeta stracił zmysły i przebywał w zakładzie dla obłąkanych. Montaigne był przerażony warunkami panującymi w tej instytucji i zły, że Tasso sam doprowadził się do szaleństwa, zbyt często zatracając się w poetyckiej ekstazie. Montaigne wiedział, że pisanie poezji wymaga twórczej gorączki, ale jaka miała ona sens, jeśli doprowadzała do szaleństwa i uniemożliwiała pisanie?

Frère Joël odrzekł:

- George Sand uważała, że Montaigne był zbyt obojętny na cierpienie, więc przestała go czytać.

- W takim razie go nie rozumiała. Montaigne był bardzo zasmucony sytuacją Tassa, ale to, czego nie mogli wybaczyć romantycy, to złość. Kupili całą tę gorączkę, całą tę osłepiającą błyskotliwość, tworzenie aż do wyniszczenia...

- Dajcie mi wyciszenie i spokój każdego dnia - odezwał się *frère* Joël, krzyżując nogi i zakładając ręce za głowę.

- Moją zmarłą żonę, Marguerite, wypełniała ta sama gorączka. Nie była tak szalona jak poeta Tasso, ale pod koniec jej życia już jej nie rozumiałem.

Frère Joël, chociaż uwielbiał spokój, znów położył ręce na kolanach i spojrzał na księcia. Delikatnie skinął głową, zachęcając go do mówienia. Ale ten, zamiast wspominać Marguerite, wymienił inne imię.

- Delphine była dla mnie jak promień słońca - zaczął książkę, spoglądając na błękitne niebo. - Od lat nie umiałem komunikować się z Marguerite, a mąż Delphine nie żył.

Frère Joël wychylił się do przodu. Oczekiwał pewnego rodzaju spowiedzi, być może wiążącej Marguerite z zabójstwem Grégory'ego de Castelbajaca. Nie spodziewał się, że ksiązę przyzna się do romansu.

- Czy pamięta ojciec, kiedy rozmawialiśmy o domu Freuda w Hampstead?

Zakonnik skinął głową.

- Pojechałem tam z Delphine - kontynuował ksiązę. - „To godzina uczuć”, lubiła mówić Delphine. Cytowała Wordswortha, swojego ulubionego poetę.

- To wszystko o tym, by zwolnić - skomentował *frère* Joël. - Doceniać chwilę.

- Tak, ale niestety... nie mieliśmy wiele czasu dla siebie. Nie chciałem zostawić Marguerite, a z drugiej strony Delphine wiedziała, że jest chora, że zostało jej niewiele czasu. Pragnęła go spędzić z wnukami. Ale jakie wspaniałe to były chwile.

- Tak. Nie musi pan czuć się winny.

- Och, nie czuję się winny z powodu romansu - zapewnił ksiązę, klepiąc zakonnika po ramieniu. - Czuję się winny, ponieważ nie mogłem... nie opuściłem swojej żony.

- Był pan żonaty, związany boskim...

- Och, proszę sobie darować te bzdury. Nie mogłem opuścić Marguerite, ponieważ potrzebowałem pieniędzy jej rodziny.

23

Podejrzanie morderstwa

Verlaque i Paulik weszli do mieszkania Marine tuż przed dziesiątą. Byli tam Bear, Florian i Mamadou, wszyscy pracowali w kuchni. We wnętrzu rozlegała się głośna muzyka i Paulik, miłośnik opery, skrzywił się.

- Przepraszam - powiedział Bear, sięgnął do iPada i go wyłączył.
- Czy możemy porozmawiać w innym pokoju? - zapytał sędzieja.
- Wszyscy? - Bear popatrzył na swoich współpracowników.
- Tylko pan i pan Mamadou.
- Wszystkim się tu zajmę, szefie - zapewnił Florian.

Czterej mężczyźni usiedli w pokoju dziennym Marine. Verlaque, opierając ręce na stole, spojrzał na Beara i zaczął mówić:

- Powinienem wcześniej zadać panu więcej pytań o pana przyjaźń z Grégorym de Castelbajac. Ale byłem zbyt pobłażliwy. Pewnie z powodu pańskiej świetnej kuchni.

Bear próbował się uśmiechnąć, ale nie potrafił ukryć zdenerwowania.

- Mówiłem panu...
- Nie, nie mówił pan - stwierdził Paulik.
- Dziś rano rozmawiałem z Jean-Baptiste'em Dellaneyem - powiedział Verlaque. - Czy myślał pan, że do niego nie dotrę?

Bear spojrzał na stół, a Mamadou zapytał:

- Co się dzieje, szefie?

Verlaque, zmęczony tą farsą, powiedział:

- Wie pan, co się dzieje, panie Mamadou.

- Co? - zdziwił się Bear.

Mamadou wyglądał na naprawdę zaskoczonego.

- Może powie nam pan, co wydarzyło się między wami trzema?

- Byłem w Londynie - wyjaśnił Bear.

Verlaque odchylił się do tyłu i skrzyżował ręce na piersiach.

Bear spojrział na niego i mówił dalej:

- Dobrze, pojechałem do szkoły do Londynu nie dlatego, że myślałem, że francuski system szkolnictwa jest do dupy, tak jak wszystkim mówiłem, ale dlatego, że Grégory oszalał. Zaczął mnie nękać...

- Byliście kochankami? - zapytał sędzia.

Myślał o fotografii Grégory'ego w bibliotece Castelbajaców i o tym, jak bardzo przypominał on Bruce'a Chatwina, którego książki o podróżach Verlaque pożerał, mając dwadzieścia kilka lat. Oczywiście wiedział, że geje wyglądają bardzo różnie, ale fakt, że Grégory był tak podobny do Chatwina, który był gejem, doprowadził go do takich założeń.

- Nie - odparł Bear. - To część problemu. Grégory był we mnie zakochany, ale ja go nie kochałem... tak jak on chciał.

Verlaque odezwał się:

- Dellaney powiedział mi, że kiedy wyjechał pan z Aix, Grégory był zdruzgotany. Wiem też, że kilkakrotnie wybierał się do Londynu, by pana odzyskać.

Bear potwierdził, zwieszając nisko głowę.

- W co takiego zamieszany był Grégory, że musiał pan opuścić Aix? Może pan mi to powiedzieć albo ja powiem panu, co Dellaney ujawnił mi dziś rano.

Bear chwycił za krawędź stołu.

- Grégory popadał w coraz większe szaleństwo. Zawsze opowiadał się przeciwko arystokracji i bogaczom, zawsze był orędownikiem biednych i pokrzywdzonych. Ale wtedy znajdował się pod jakimś wpływem...

- Kochanka? - chciał wiedzieć Verlaque.

- Nie, nie - zaprzeczył Bear. - Nie sędzę. To był ktoś starszy, anarchista. Nie wiem nawet, czy to kobieta, czy mężczyzna. Grégory chciał, żebym im pomógł...

- Ponieważ miał pan naukowe wykształcenie? - zapytał Paulik.

- Tak - potwierdził Bear łamiącym się głosem. - W szkole byliśmy radykałami. - Przerwał i się roześmiał. - To zabawne być radykałem w wieku czternastu lat. Jean-Baptiste bardzo interesował się polityką, podobnie jak Grégory i ja, ale powoli tracił pazur i w liceum właściwie opuścił Grégory'ego. Po ukończeniu uniwersytetu nagle wyjechał do Australii. Pomogli mu w tym rodzice. Myślę, że martwili się, że ćpał, czy coś takiego. - Bear uśmiechnął się znacząco. - A on stał się kimś jeszcze gorszym, bo zajął się reklamą. Ale wystarczająco dużo wiedział o planie...

Verlaque skinął głową.

- Planie podłożenia bomby na następnym spotkaniu rojalistów? Tutaj w Aix?

- Nie chciałem im pomagać! - zarzekał się Bear. - Powiedziałem Grégory'emu, by przekazał swojemu mentorowi, że im kompletnie odbiło.

- Mogli tam być rodzice Grégory'ego - zauważył Paulik. - Albo jego bracia.

- Powiedział, że upewniłby się, czy nie ma ich w sali - odparł Bear. - Nie mam pojęcia jak. Zależało im na konkretnej osobie. Nie wiem, o kogo chodziło.

- Dlaczego pan tego nie zgłosił? - zapytał Verlaque.

Bear spojrział na wiszącą po przeciwnej stronie pokoju fotografię wykonaną przez Sylvie.

- Powinienem to zrobić, ale byłem przerażony, że stracę pracę. Tak wiele wysiłku włożyłem w to, by zostać kucharzem. I chyba miałem nadzieję, że dopadnie ich strach i nie zrealizują swego planu. Wydawał mi się wtedy taki nierealny.

- I okazuje się - rzekł sędzia - że plan spalił na panewce?

- Problemy techniczne - wyjaśnił Bear. - Dzięki Bogu, bomba nie wybuchła.

- Czy Grégory kiedykolwiek groził, że zadenuncjuje pana jako

kolegę anarchistę? – zapytał Verlaque. – By pana pograć?

– Tak, wtedy się wściekłem – odparł Bear. – Zadzwońłem nawet do Jean-Baptiste’a w Melbourne, żeby się wygadać.

– Jean-Baptiste mi o tym powiedział – odezwał się Verlaque.

– Ale to nie oznacza, że zabiłem Grégory’ego!

– Dobrze pan sobie żył w Londynie – zauważył sędzia. – I to wszystko mogło zostać zrujnowane. Zadzwońłem do pańskich byłych szefowych.

– Co pan zrobił? – wykrzyknął Bear, podnosząc się z krzesła.

Paulik natychmiast również wstał, więc Bear z powrotem usiadł, chwytając się za głowę.

– Nie mogę uwierzyć, że pan do nich dzwonił...

Verlaque spojrzał na Mamadou.

– Pytałem je także o pana.

Mamadou wydał stłumiony okrzyk.

Sędzia kontynuował:

– Nie powiedział nam pan, że przed laty pracował w Londynie i znał Beara.

– Nie chciałem wpędzać go w kłopoty – wyszeptał Mamadou.

– Rozmawiając w przerwach w Cavallo Nero, musieliście, panowie, uznać to za niezwykle zbieg okoliczności, że znacie tę samą rodzinę w Aix – powiedział Verlaque. – I pan, panie Sigisbercie, nie mogąc opuścić londyńskiej restauracji, dowiedział się, że dawny współpracownik mieszka teraz w pańskim rodzinnym mieście i pracuje w lokalu Flunch. To degradacja – spojrzał na pomywacza – od najmodniejszej restauracji w stolicy do sieciowej kawiarni.

– Tylko to udało mi się znaleźć – wyjaśnił Mamadou.

– Co wy wiecie o takiej pracy? – krzyknął Bear.

Verlaque zignorował ten komentarz i mówił dalej:

– Więc kazał pan Mamadou zabić Grégory’ego.

– Bzdura! – powiedział Bear.

- A Mamadou miał doskonały motyw - stwierdził Verlaque. - Zemsta.
- Nigdy bym nikogo nie zabił - rzekł Mamadou, po raz pierwszy podnosząc głos. - To dlatego opuściłem Afrykę. Widziałem tam tylko... przemoc i śmierć.
- Widzi pan? Niczego pan nie rozumie! - wrzasnął Bear, uderzając pięścią w stół. - Znowu! Gazety się co do pana nie mylą!
- Zabieramy was obu do Pałacu Sprawiedliwości - odezwał się Paulik, wstając. - Podejrzenie morderstwa. Na dole czeka furgonetka.

24

Krewetki z imbirem

Kiedy Verlaque wrócił z pracy do domu, rozboleła go głowa. Razem z Paulikiem przez długie godziny przesłuchiwali Beara i Mamadou. Dzięki szczegółowym rejestrom prowadzonym w Cavalo Nero Bear miał alibi, chociaż Grégory de Castelbajac mógł zostać zamordowany w dowolnym czasie w sierpniu osiem lat temu. Ale Bearowi trudno byłoby wyjść z pracy, przelecieć z Londynu do Marsylii, zamordować Grégory'ego i polecieć z powrotem do Londynu. Na wszelki wypadek jednak Sophie Goulin sprawdzała to w liniach lotniczych. Z Verlakiem rozmawiała z Londynu Jane Clark, ale w pewnym momencie Judith wyrwała jej słuchawkę i obrzuciła go stekiem przekleństw, od których Jane prawdopodobnie zrobiła się czerwona. Verlaque odłożył słuchawkę, żałując, że grał w Anglii tak wiele rozgrywek w rugby. Wiedział, co oznaczała większość tych słów.

Mamadou nie mógł sobie przypomnieć, co robił osiem lat temu, poza tym, że pracował w kawiarni Flunch. Pamiętał nazwisko swojego byłego szefa, który teraz otrzymał awans do kawiarni w Paryżu. Paulik znalazł numer lokalu i zadzwonił do menedżera, który miał do powiedzenia wyłącznie dobre rzeczy na temat swojego dawnego pracownika.

- Przestraszyła mnie ta jego blizna, przyznaję - powiedział menedżer. - Ale Mamadou wspaniale pracował i był naprawdę łagodny jak baranek. - Zniżył głos i dodał: - Awansowałbym go, gdyby nie zjawiała się tamta inspekcja.

Wchodząc do swojego mieszkania, Verlaque opróżnił kieszenie i umieścił ich zawartość na marmurowym kuchennym blacie. Odłożył telefon i sprawdził, która jest godzina. Dochodziła dziewiętnasta. Zwalczył pokusę, by rozsiąść się w klubowym fotelu, zdjęć krawat i buty i zapalić cygaro. Zamiast tego otworzył lodówkę, by zobaczyć, czy może pomóc Marine w przygotowaniu kolacji. Na talerzu leżały wielkie krewetki, które tego ranka wyjęła z zamrażalnika. Przypomniało mu się danie, które jedli w Marsylii.

Przygotowała je szefowa kuchni, teraz już emerytowana, i nazwała po prostu „krewetki z imbirem Suzette”. Zajrzał do szuflady na warzywa i zobaczył duży kawałek gruzłowatego imbiru i mnóstwo czosnku. Dostrzegł też coś zielonego i pomyślał, że to bazylia. Marine właśnie kupiła małą doniczkę z tym ziołem i postawiła ją na tarasie, ponieważ dni i noce stały się już ciepłe. Następnym składnikiem, którego potrzebował, było białe wino - dwie butelki. Suzette powiedziała im, że krewetki trzeba „szczodrze” przyprawić winem. Domyślał się, że oznaczało to jakieś dwie filiżanki, tak żeby wino się zredukowało. Kolejna butelka była im potrzebna do kolacji. Tak naprawdę ugotowanie ryżu zajmie więcej czasu niż przygotowanie krewetek, zatem chyba może pozwolić sobie na cygaro na tarasie.

Chwycił za klucze i ruszył w kierunku schodów wiodących do piwnicy, żeby przynieść z niej dwie butelki wina, na którego punkcie miał ostatnio obsesję - chardonnay z winnic rozrzuconych na wzgórzach na zachód od Mâcon, wyprodukowane przez Jean-Pierre'a Michela. Verlaque był pewien, że zostało im kilka butelek. Szybko schodził po schodach, czekając z radością na prosty posiłek przy muzyce i dzielenie się doskonałym winem z żoną.

Kiedy był już na parterze, włożył długi, zabytkowy klucz w drzwi do piwnicy i zapalił światło u szczytu schodów. Starał się nie zauważać pułapek na szczury i szybko znalazł się na piwnicznym klepisku. Znajdowały się tam małe, oddzielone *caves*, po jednym na mieszkańca. Prowadziły do nich drewniane drzwi. Włączył światło w swoim *cave* i otworzył drzwi. Wino Jean-Pierre'a Michela stało tuż przed nim, na środkowej półce, nietrudno było zauważyć wielkie „M”. Właśnie otworzył kartonowe pudło i wyjął jedną butelkę, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi do piwnicy.

- *Merde!* - krzyknął. - Nie zamykajcie za mną tych cholernych drzwi!

Chwycił kolejną butelkę i odwrócił się do wyjścia, ale wtedy zobaczył Yannisa Malongo celującego weń z małego pistoletu.

- Zamienię się z tobą - rzekł Verlaque, podnosząc butelki i wskazując na pistolet.

- Bądź cicho i cofnij się - powiedział Malongo, jego ręce drżały. Zamknął za sobą drzwi. - Nareszcie znalazłem cię w miejscu, gdzie możemy być sami.

- Śledziłeś mnie, Yannis.

Verlaque pomyślał, jakie szczęście miał tamtego wieczoru, kiedy los postawił pijanych studentów pomiędzy nim a Yannisem Malongo.

- Tak, przyznaję, powiedzmy, że wpadłem w pewną obsesję.

- To nie moja wina, że twój brat...

Yannis syknął:

- Nie waż się wspominać o Kévinie. To przez ciebie nie żyje!

Sędzia zamknął oczy, starannie dobierając słowa. Zdecydował się być szczerzy.

- Może myliłem się co do Kévina. - Ból ścisnął mu czoło.

Dłoń Malongo drżała teraz bardziej niż wcześniej. Jego oczy napełniły się łzami.

- Wiedziałem!

- Poprosiłem niezależną sędzię z Marsylii, by ponownie przesłuchała świadka - kobietę, która twierdziła, że widziała Kévina...

- Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

- To będzie jutro w gazetach - odparł Verlaque. - Jeśli mnie stąd wypuścisz, możemy zadzwonić do sędzi i będziesz mógł sam ją zapytać.

Ramiona Malongo opadły, a on osunął się i usiadł na podłodze.

- Siadaj - rozkazał.

Verlaque rozejrzał się, żałując, że nie znajduje niczego, na czym mógłby usiąść. Westchnął i usadowił się naprzeciwko Malongo, krzyżując nogi. Butelki z winem postawił za sobą na podłodze.

- Właśnie teraz w Pałacu Sprawiedliwości jest facet zatrzymany jako podejrzany w sprawie morderstwa - powiedział.

- I co z tego?

- Być może zabił kogoś niewinnego, żeby zemścić się za śmierć swego brata - wyjaśnił Verlaque. - Czy uważasz, że druga śmierć wymazuje tę pierwszą?

- Co?

- Cofa ją. Albo unieważnia.

Malongo milczał, nadal nie odłożył pistoletu, ale teraz trzymał go między kolanami. Siedzieli tak mniej więcej pół godziny. Verlaque spojrział na pistolet i zobaczył, że Malongo mocno trzyma jego kolbę. Mężczyzna dostrzegł to spojrzenie i pomachał bronią.

- Niczego sobie nie wyobrażaj.

- Powinieneś mnie uwolnić, żebyśmy mogli zadzwonić do tej sędzi. Znalazłeś się w niezłym gównie, ale będzie jeszcze gorzej, jeśli mnie tu zatrzymasz albo... - zrobił pauzę, a napastnik uśmiechnął się znacząco.

Verlaque widział jednak, że Malongo jest tak samo zmęczony jak on i trudno mu się skoncentrować.

Obaj podskoczyli, gdy otworzyły się drzwi do piwnicy i Marine krzyknęła ze szczytu schodów:

- Antoine? Jesteś tam? Jesteś w *cave*?

Przyszła do domu przed dwudziestoma minutami i zobaczyła na blacie telefon Antoine'a oraz wyjęty z lodówki imbir i czosnek. Najpierw myślała, że poszedł do sklepu spożywczego za rogiem, by kupić brakujące składniki do jakiejś tajemniczej potrawy, którą przygotowywał, ale on zawsze zabierał ze sobą telefon komórkowy. Nie zabierałby go jednak, schodząc na dół po wino - tam nie było zasięgu. Poczekała kilka minut i zaczęła się denerwować. Arnaud zamontował kilka haczyków w szafkach kuchennych i pamiętała, że Verlaque powiesił tam zapasowe klucze do piwnicy. Chwyciła je, a dodatkowo wzięła latarkę, na wypadek, gdyby nie działało światło, a on zasnął. Wybiegła z mieszkania i skierowała się po schodach w dół. Na drugim piętrze załomotała w drzwi Arnauda, poczekała dwie sekundy, zaklęła pod nosem i zbiegła pozostałymi schodami. Szarpiąc się z wiekowymi kluczami, otworzyła drzwi do piwnicy.

- Powiedz jej, że wybierasz wino i zaraz wrócisz - szepnął Malongo.
- Nie chcę jej tutaj.

Marine zbiegła po piwnicznych schodach i słyszeli jej oddech po drugiej stronie drewnianych drzwi *cave*.

- Wybieram wino! - zawołał Verlaque, starając się brzmieć wesoło.
- Wracaj na górę!

- Antoine, co robisz?

- Idź już, Marine! Chcę wybrać dobre dębowe białe wino do kolacji!

Marine poczuła gwałtowne bicie serca. Wiedziała, że Verlaque nie znosił wina o dębowym posmaku, ani białego, ani czerwonego.

- Idź już - krzyknął ponownie Verlaque. - Zaraz przyjdę do góry z Castello Spegnere le Luci¹! - Miał nadzieję, że jego włoski jest na tyle dobry, że Marine go zrozumie.

Marine sięgnęła do kontaktu, wyłączyła światło i odsunęła się na bok. Verlaque kopnięciem wytrącił pistolet z ręki Malongo i obaj zwarli się w walce. Marine ponownie włączyła światło, drżącą dłonią włożyła mniejszy kluczyk do zamka i otworzyła drzwi. Wtem obok niej znalazł się Arnaud - słyszał walenie w drzwi, ale nie otworzył na czas. Teraz odsunął Marine na bok, mruczając:

- Przepraszam!

Chwycił Malongo pod pachami i podciągnął do góry.

- Nie ruszaj się - powiedział, przyciskając go do kamiennej ściany. - Przepraszam panią - zawołał, nie spuszczając oka z Malongo.

Verlaque sięgnął po pistolet, który potoczył się w okolice jego starej walizki. Wybiegł z *cave* do Marine. Ta opierała się o ścianę i z trudem łapała powietrze. Szybko ją przytulił.

- Wszystko dobrze - stwierdziła.

- Czy możesz pobiec na górę i wezwać policję? Ja zostanę tu na dole.

- Oczywiście - odparła, otrzepując tył spódnicy. - A ty dobrze się czujesz?

Verlaque skinął głową i na chwilę zamknął oczy.

Marine uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku. Kiedy była na pierwszym stopniu, obróciła głowę i powiedziała:

- *Spegni la luce*. Użyłeś bezkolicznika.

Przypisy:

¹ *Spegnere le Luci* - wł. zgasić światło (przyp. tłum.).

25

Goldman

Następnego ranka Verlaque i Marine spali do późna. Byli tak zmęczeni wydarzeniami poprzedniego wieczoru, że oboje zapomnieli nastawić budzik. Długo rozmawiali o Yannisie, starając się zrozumieć, jak udało mu się tego wieczoru ukryć przed Verlakiem. Najprawdopodobniej Yannis usłyszał, jak sędzia schodzi ze schodów, nucąc coś pod nosem, i ukrył się za tylnymi drzwiami prowadzącymi na wewnętrzny dziedziniec budynku.

Wzięli prysznic, ubrali się, a potem, stojąc obok siebie w kuchni, popijali kawę i jedli tosty z jednego talerza. Verlaque spojrzał na Marine i zobaczył, że się uśmiecha. Starł z ust okruszki i zapytał:

- O co chodzi?

- Chciałam ci to powiedzieć wczoraj wieczorem - zaczęła - ale oboje byliśmy zbyt zmęczeni i zszokowani. Mam dobre wieści...

Verlaque poczuł gulę w gardle i ścisnął mu się żołądek.

- Mów dalej.

- Wczoraj otrzymałam wiadomość od wydawcy - zaczęła.

- O! - wykrzyknął, czując ulgę, że wieści dotyczyły jej książki, a nie tego, że wkrótce mieliby zostać rodzicami.

- Chcą wydać moją książkę. Powiedzieli, że chociaż napisano kilkanaście książek o Sartrze i Beauvoir, żadna z nich nie skupiała się na ich relacji jako pary.

Otoczył Marine ramionami.

- Gratuluję.

- Chcą się ze mną spotkać w przyszłym tygodniu.

- Pojadę z tobą - zaproponował. - Możemy zatrzymać się u mojego ojca.

- Byłoby wspaniale. Czy skończysz wszystko tutaj?
- W sprawie zabójstwa Grégory'ego de Castelbajaca? - upewniał się Verlaque. - Tak...
- Mówisz to z wahaniem.
- Wciąż jest kilka niepewnych tropów - powiedział.
- Masz wątpliwości w sprawie Kévina Malongo.
- Sam nie wiem...

Marine klepnęła go po pośladku i kazała mu iść do pracy.

- Sprzątnę po śniadaniu, potem pójde do biblioteki na uniwersytecie, żeby sprawdzić adnotacje bibliograficzne. Później mam lunch z kolegami i koleżankami... tymi, którzy mnie nie nienawidzą.
- Tymi, którzy nie są zazdrośni - rzekł, wkładając telefon komórkowy i klucze do kieszeni marynarki.
- Nie masz krawata - zauważyła Marine.

Verlaque spojrział w dół na swoją klatkę piersiową.

- Rzeczywiście.

* * *

Zdecydował się iść do pracy dłuższą drogą, w dół Gaston de Saporta i przeciąć Place Hôtel de Ville, jeden z jego ulubionych w Aix. Uświadomił sobie, że celowo omijał rue Esquicho-Coude i wybierał raczej duże, otwarte przestrzenie, pieniające się fontanny, turystów robiących zdjęcia osiemnastowiecznej Halle aux Grains i kelnerów obsługujących stoliki na zewnątrz. Przeciął Place Richelme, gdzie codzienny rynek był już w pełnym rozkwicie. Nie spieszył się, przechodząc obok straganów wypełnionych karczochami, sałatą, szparagami i poziomkami, których zapach czuł z kilku metrów. Kupił małą tackę *fraises des bois*, spróbował dwie lub trzy, zachowując resztę dla Mme Girard.

Wchodził na schody Pałacu Sprawiedliwości, gdy zadzwonił telefon. Wyjął go z kieszeni. Nie rozpoznał numeru, ale ponieważ nieczęsto podawał swój numer, odebrał:

- Verlaque.

- Sędzia Verlaque? - po drugiej stronie rozległ się kobiecy głos.

- Tak.

Zszedł na dół schodów, szukając spokojnego miejsca do rozmowy. Rozpoznał ten głos.

- To ja, Juliette de Castelbajac.

- Czy wszystko u pani w porządku? - zapytał szybko.

- Tak, tak - odparła. - Wyjechałam w pośpiechu.

- Wiem. Dlaczego? Gdzie pani jest?

- W należącym do naszej rodziny wiejskim domu w Finistère.

- W Bretanii? - zapytał. - Dlaczego tam?

- Bałam się. Jechałam cały dzień i część następnego.

- Kogo się pani boi? - zapytał.

- Nie wiem - brzmiała odpowiedź. - To część problemu. Przed zniknięciem Grégory powiedział mi, że to się może zdarzyć.

- Obawiał się o swoje bezpieczeństwo?

- Tak...

- Powinna mi pani o tym powiedzieć - stwierdził Verlaque.

- Wiem, ale próbowałam uciec.

- Czy to pani wysłała wszystkie te anonimowe listy do Sigisberta Valetsa?

- Tak. Obiecałam to Grégory'emu - odparła. - Powiedział mi, że jeśli cokolwiek mu się stanie, mam ostrzec Sigisberta. Kiedy znaleźli ciało Grégory'ego, zaczęłam wysyłać listy do restauracji.

- Obawia się pani Beara? - zapytał.

Roześmiała się.

- Nie, oczywiście, że nie! Dlaczego?

Verlaque nie odpowiedział, myśląc o porannej rozmowie z Marine.

- Do czego pan zmierza? - zapytała chropawym głosem. - Kochali się. Dobrze, Grégory oczekiwał więcej i nie mógł zaakceptować

faktu, że Sigisbert nie jest gejem, ale żaden z nich nigdy nie skrzywdził drugiego. Czy pan mnie rozumie? Bear nigdy nie skrzywdziłby Grégory'ego.

- A kto mógłby to zrobić?

- Mentor Grégory'ego - odparła. - Nie wiem, kto to był. Ale w dniu pogrzebu naszej babci Grégory powiedział mi, że mentor grozi, iż go wyda.

- Ujawni jego homoseksualizm?

- A to, jak pan może sobie wyobrazić, nie zostałyby dobrze przyjęte w naszej rodzinie.

- Nawet w obecnych czasach?

- Nie zna pan mojej ciotki i wuja ani moich kuzynów, szczególnie Ludovica i Philippe'a. Ale ta osoba powiedziała Grégory'emu, że ujawni też, komu sprzedawał trawę, a on wpadł w przerażenie. To był taki jego biznes na boku, tak to nazwijmy. Potem Grégory zrewanżował się groźbą - zapowiedział, że zdradzi ich idiotyczny plan podłożenia materiału wybuchowego na spotkaniu Stowarzyszenia Szlachty. Dzięki Bogu ten plan się powiódł, ale mentor dostał szału z powodu groźby Grégory'ego. Kiedy ostatni raz widziałam Grégory'ego, dał mi kopertę i powiedział, że gdyby kiedykolwiek coś mu się stało, mam zanieść ją na policję.

- Dlaczego pani tego nie zrobiła? - zapytał Verlaque, starając się opanować irytację.

- Spanikowałam - wyjaśniła. - Dopiero po dwóch dniach ponownie ją znalazłam, a tego ranka, kiedy pan przyjechał do Awinionu, wreszcie zebrałam się na odwagę, żeby zajrzeć do środka.

- I?

- To negatywy - odpowiedziała. - Trzymałam je pod światło. Ale niczego nie rozpoznałam.

- Czy są tam jacyś ludzie? - zapytał.

Pomyślał, że może Grégory kogoś przekupywał.

- Nie, to krajobrazy.

- Krajobrazy? Musimy zobaczyć te negatywy - powiedział. - Jak najszybciej.

- Chciałabym tu zostać...

Verlaque usiłował zachować spokój.

- Proszę zatem wysłać je do mnie specjalną przesyłką. Zapłacę przy odbiorze. Czy domyśla się pani, kim mógł być ten tajemniczy mentor?

- Nie, ale kiedyś przypadkiem Grégory wymamrotał jego pseudonim. Był wtedy trochę naćpany.

- I?

Powiedziała coś stłumionym głosem.

- Nie dosłyszałem - odparł Verlaque, powstrzymując złość.

- Przepraszam, właśnie wchodzę po skarpie - wyjaśniła. - Grégory powiedział „Goldman”. Przynajmniej tak to brzmiało. „Goldman”.

Verlaque podziękował Juliette i rozłączył się, ale nie zdążył schować telefonu do kieszeni, bo ten znów zadzwonił. Sędzia zobaczył, że to Jean-Marc.

- *Salut*, Jean-Marc - odezwał się. - Czy to krótka rozmowa? Nie chcę być niegrzeczny...

- Zjemy jutro razem lunch? - zapytał Jean-Marc.

- Tak, chętnie. Gdzie?

- U mnie - odparł Jean-Marc. - Zaprosiłem moją mamę. Pomyślałem, że to najwyższy czas, żebyście się poznali. Polubisz ją. Ojciec wyjechał ze starymi kumplami ze studiów medycznych na wędrowną. Zamierzają wspominać stare, dobre czasy.

- Brzmi doskonale - powiedział sędzia.

- Dobrze, przyjdź w południe.

Po skończeniu rozmowy Verlaque pobiegł schodami w górę. Kiedy dotarł na swoje piętro, położył koszyk poziomek na biurku Mme Girard. Zobaczył Paulika i Schoelchera, którzy rozmawiali w rogu biura. Gestem przywołał ich do siebie.

- Właśnie dzwoniła do mnie Juliette de Castelbajac. Szukamy kogoś, kto nazywa się Goldman. Nie sądzę, żeby Bear i Mamadou mieli coś wspólnego ze śmiercią Grégory'ego.

- My też tak sądzimy.

- Goldman? - zapytał Schoelcher.
- Tak - potwierdził Verlaque. - Coś wam to mówi?
- Po angielsku to mógłby być jakiś bogacz - zasugerował Schoelcher. - Człowiek ze złota.

Paulik wyglądał na zaskoczonego.

- *Un homme d'or* - wyjaśnił Schoelcher.
- Kim dokładnie jest Goldman? - chciał wiedzieć Paulik.
- Wspólnik Grégory'ego de Castelbajaca w przestępczej działalności - poinformował ich sędzia. - Goldman to pseudonim. Bogaty człowiek?

Paulik strzelił palcami.

- Książę de Pradet.
- A motyw? - zapytał Schoelcher.
- Juliette powiedziała, że Grégory groził, iż wyda Goldmana i ujawni ich plan wywołania eksplozji podczas spotkania rojalistów - powiedział Verlaque.
- Czy książę jest radykałem? - zainteresował się Schoelcher.
- Może udaje mu się ukrywać swoje prawdziwe poglądy - odezwał się Paulik. - Poza tym nie byłby pierwszym arystokratą albo bogaczem, który się radykalizuje i rezygnuje z tytułów.

Verlaque przejechał ręką po włosach.

- Wydaje mi się taki staroświecki i porządny - powiedział.
- Myślałem, że nie całkiem pan wierzył w jego odpowiedzi, kiedy się pierwszy raz spotkaliście.
- Teraz znam go lepiej. Co więcej, gdyby był radykałem, coś byśmy zauważyli. On nadal żyje w bogactwie, ma nieruchomości w Paryżu i w Burgundii. Dobrze, już nie należy do stowarzyszenia, ale nie wierzę, by był anarchistą.
- Więc może chroni zmarłą żonę - podsunął Schoelcher. - Jeśli to ona zamordowała Grégory'ego.
- To już bardziej prawdopodobne - uznał sędzia. - Ona była skrajną rojalistką. Może przypadkiem usłyszała o ich planie. A potem

pokłóciła się z Grégorym. Książę chciał ukryć morderstwo, by chronić jej dobre imię. A Grégory został zakopany w płytkim grobie. To dla mnie zawsze wskazuje na kobietę albo starego mężczyznę.

- W tym wypadku może oboje - zauważył Paulik.

- Dowiedzmy się wszystkiego o Marguerite i Stowarzyszeniu Szlachty Francuskiej. Jules, zajmiesz się tym?

- Nie ma problemu - odrzekł Schoelcher, usiadł przy swoim biurku i przyciągnął do siebie myszkę.

- Juliette ma kilka negatywów, które powierzył jej Grégory - powiedział Verlaque.

- Co przedstawiają? - zapytał komisarz.

- Nie do końca rozpoznała. Uważa, że krajobrazy.

Paulik zmrużył oczy.

- Czy Grégory chciał szantażować Goldmana? Ale jaki związek mogły z tym mieć krajobrazy?

- Nieudana transakcja na rynku nieruchomości? - zastanawiał się Schoelcher, spoglądając znad komputera.

- Trawka - zasugerował Verlaque. - Może Grégory uprawiał konopie na ziemi Goldmana? Może książę miał pole konopi za swoją posiadłość w Burgundii? Ale to wydaje się raczej nieprawdopodobne. Chodźmy do mojego gabinetu, Bruno - powiedział. - Musimy przemyśleć, co zrobić z Mamadou i Bearem. Taktownie.

- I po cichu - dodał Paulik, po tym, jak zobaczył nagłówek z pierwszej strony „La Provence” z tego ranka: „Sędzia Antoine Verlaque przyznaje się do błędu w wyroku w sprawie Kévina Malongo”.

* * *

- Podejdźcie do mnie, państwo, jak najbliżej - Gaëlle przekrzykiwała wiatr. - Ponieważ jest duży ruch, popatrzymy na fontannę przed nami z tego bezpiecznego miejsca na chodniku.

Wszyscy turyści z wyjątkiem jednego, który od początku zwiedzania bawił się swoim telefonem, obrócili głowy w stronę Cours

Mirabeau. Tych trzydzieścioro emerytów przyjechało wynajętym autobusem ze swojego małego, targowego miasteczka w Bretanii. Druga połowa grupy, oprowadzana przez Anthony'ego Sauze, znajdowała się teraz gdzieś w pobliżu katedry w Aix. Gaëlle lubiła te wycieczki historyczne. Zamykała swój sklep wcześniej niż zwykle – późnym rankiem, i w czasie przerwy na lunch oprowadzała turystów. Czasem zarabiała na tym więcej niż na handlu bibelotami i obrusami.

- Nazywa się Dziewięć Armat – wyjaśniała – nie dlatego, żeby były tu jakiegokolwiek armaty, ale z powodu dziewięciu wodnych dyszy. Jak państwo widzą, ta fontanna ma szczególnie niską misę w porównaniu z innymi fontannami, które widzieliśmy w Aix. Dlaczego?

Siwowłosa kobieta w okularach, którą Gaëlle uznała za emerytowaną pielęgniarkę lub nauczycielkę, podniosła rękę.

- Dla koni? – zapytała. – By mogły się napić?

- Och, bardzo blisko – odpowiedziała Gaëlle z uśmiechem. – Tak naprawdę dla owiec. Owce były prowadzone tu późną wiosną aż z Arles, gdzie zaczynały swoją letnią wędrówkę po górach wokół Aix. Prawo do korzystania z Dziewięciu Armat przez pasterzy z Aix datuje się na XII wiek.

Fotograf z zaangażowaniem strzelał fotki, a Gaëlle mówiła dalej:

- Chciałabym rozpocząć tę część wycieczki, skupionej na drugiej wojnie światowej w Aix, właśnie od Dziewięciu Armat. Jeśli popatrzą państwo na drogę, zobaczą państwo wokół fontanny dwa rzędy osadzonych w posadzce kamieni.

Cała grupa wyciągnęła szyje, niektórzy potwierdzali skinieniem głowy.

- Dobrze – powiedziała. – Kamienie wskazują ulokowanie oryginalnego basenu fontanny, który przez lata był wyszczerbiany przez przejeżdżające obok samochody i ciężarówki. Ostateczne zniszczenie nastąpiło pewnego wspaniałego dnia w Aix, siedemnastego sierpnia 1944 roku, po którym misa fontanny została na stałe przebudowana. – Spojrzała na swoją grupę i czekała.

- W mieście pojawili się alianci! – zawołał starszy mężczyzna z pasiastą muszką.

- Właśnie tak! – rzekła Gaëlle. – Jeden z ich czołgów uderzył

w część misy. Ale nikt nie miał im tego za złe.

- Tak przypuszczam - powiedziała jedna z kobiet. - Fontanna widziała gorsze czasy.

- Rzeczywiście - potwierdziła Gaëlle, myśląc o bezimiennej fontannie w jej ogrodzie. Gdyby tylko umiała mówić. Tyle widziała, oby więcej radości niż smutku. - Podejźmy do *hôtel particulier* pod numerem 38.

Poprowadziła grupę na Cours, wskazując na interesujące elementy architektoniczne i ostrzegając przed luźnymi kamieniami bruku czy psimi odchodami. Złapała się na tym, że znów myśli o Grégorym de Castelbajacu, co ostatnio zdarzało jej się coraz częściej. Fontanna wiedziała, kim był jego morderca. Gaëlle wzruszyła ramionami i zawiązała ciasniej jedwabny szal. Czy naprawdę po ośmiu latach musieli wiedzieć, kto był za to odpowiedzialny? Czy to cokolwiek zmieni?

- I jesteśmy - powiedziała Gaëlle, zatrzymując się przed drzwiami, nad którymi znajdował się balkon podtrzymywany przez dwa posągi brodatych mężczyzn.

- Czy ktoś wie, jak nazywają się takie kamienne rzeźby mężczyzn?

- Atlasy - odparła nauczycielka, czy też pielęgniarza.

- Właśnie - przytaknęła Gaëlle. - Niektórzy mówią, że tych dwóch facetów to jedyne osoby w Aix, które pracują.

Całej grupie spodobał się ten żart, a jeden z mężczyzn zawołał:

- *C'est le sud!*

- *Hôtel* został zbudowany w 1650 roku dla Pierre'a Maurela i dzięki atlasom jest jednym z najczęściej fotografowanych budynków w Aix.

- Na to hasło fotograf zaczął robić zdjęcia. - Maurel zaczynał jako skromny handlarz tkaninami, ale po trzech małżeństwach, z których każde powiększało jego majątek, mógł kupić jedną z tych pustych działek przy nowo budowanej i popularnej ulicy. Nie tylko wznosił piękny dom i założył ogród, ale także nadał sobie tytuł - od tamtej pory nazywał się Pierre Maurel de Pontèves. Budynek jest teraz znany jako Pontèves. Kiedy w 1660 roku do Aix przybył Ludwik XIV, Pierre Maurel jeszcze żył i był pewnie ogromnie uradowany, że mógł gościć kuzynkę króla, Anne-Marie de Montpensier.

Kilka osób z grupy zauważyło jej sarkazm i parsknęło śmiechem.

- Gdy w 1672 roku Maurel zmarł, pozostawił swoim ośmiorgu dzieciom dwa miliony funtów. Wyobrażają sobie państwo, ile to byłoby dzisiaj. Sto lat później dom został przejęty w czasie Rewolucji Francuskiej i wykorzystywany jako Trybunał Karny. Te rzeźby za mną musiały budzić przerażenie w nieszczęśnikach, których tu wleczono w tamtych czasach. Przynajmniej tutaj rewolucjoniści nie zniszczyli rzeźb na fasadzie, jak idiotycznie robili w innych miejscach we Francji.

Gaëlle przerwała, zdając sobie sprawę, że za bardzo ujawnia swoje monarchistyczne, proslacheckie poglądy. Powinna powiedzieć „bezmyślnie” zamiast „idiotycznie”. Szybko podjęła opowieść:

- Ale nasza historia się tutaj nie kończy, ponieważ budynek znów miał... niechcianych lokatorów... Od 1942 do 1944 urzędowało tu swoją siedzibę Gestapo.

- Czy było tu dużo Niemców? - zapytała któraś z kobiet.

Gaëlle skinęła głową. Lubiła, kiedy zwiedzający uważali i okazywali zainteresowanie.

- Niemieccy i włoscy żołnierze. Stacjonowało ich tutaj więcej niż dziesięć tysięcy. Rezydencja du Roi René służyła tym wyższym rangą, tutaj znajdowało się Gestapo, z byłego Biura Turystyki korzystała policja... dobrze, że nie było wtedy żadnych turystów... A Lycée Mignet, szkoła Cézanne'a i Zoli, użytkowane było jako magazyn broni.

- *Et les soldats Aixois?* - zainteresował się mężczyzna z muszką.

- Przed inwazją stacjonowało tu prawie dwa tysiące francuskich oficerów, którzy później dołączyli albo do ruchu oporu, albo do sił gromadzących się w Afryce. Spośród nich trzystu osiemdziesięciu pięciu zginęło w walce, w tym jedenastu nauczycieli z École Militaire. Dwóch członków ruchu oporu, braci, zostało zabitych za moim sklepem. Teraz skierujemy się właśnie w tamtą stronę.

26

Gabriella de La Serna

Verlaque zatrzymał się na schodach prowadzących do wyjścia z Pałacu Sprawiedliwości i wybrał numer Marine.

- *Oui*, Antoine? - odezwała się szeptem.

- Przepraszam - powiedział, otwierając drzwi. - Jesteś na lunchu?

- Tak naprawdę jestem w restauracyjnej toalecie - odparła. - Więc mów.

- Goldman. Czy to nazwisko ma jakieś znaczenie historyczne?

- Radykalna filozofka - odpowiedziała Marine.

- Kobieta? - zapytał Verlaque, zbiegając w dół.

- Tak, Emma Goldman.

- Jesteś genialna.

Marine roześmiała się.

- Bo słyszałam o Emmie Goldman? Była anarchistką, ale także wczesną bojowniczką o prawa kobiet. To nazwisko powinien znać każdy. Ona także...

- Dziękuję, kochanie - przerwał jej Verlaque, zupełnie nie miał czasu na jeden z jej wykładów.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Goldman to pseudonim kogoś bardzo wpływowego w życiu Grégory'ego de Castelbajaca. Razem zamierzali zabić kogoś na spotkaniu Stowarzyszenia Szlachty Francuskiej, a potem się pokłócili i każde z nich z różnych powodów groziło wydaniem drugiej osoby. Dobry motyw morderstwa.

- To interesujące, bo Emma Goldman raz próbowała...

- Dziękuję!

- Antoine! Jeśli się rozłączysz, będziesz żałował!

Szedł w stronę Passage Agard, niepewny, dokąd się kieruje. Myślał tylko o tym, że chce znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł coś zjeść.

- Emma Goldman i jej partner, którego nazwiska zapomniałam...

Verlaque uśmiechnął się. Wiedział, jak bardzo Marine irytowała się, kiedy nie mogła przypomnieć sobie daty albo nazwiska.

Mówiła dalej:

- Widzę tu pewien związek. Oni także chcieli kogoś zabić. Nazywał się Frick. Wydaje mi się, że to był Henry Clay Frick.

- Frick? Jak to muzeum? - zdziwił się sędzia.

- Tak, jak twoje ulubione nowojorskie muzeum.

- Jeszcze raz ci dziękuję.

Zatrzymał się w pasażu i popatrzył na kolorowe zdjęcia nieruchomości zawieszane za szkłem. Widział duże i luksusowe wiejskie domy, z basenami i eleganckimi ogrodami. Coraz częściej myślał o ich dwóch mieszkaniach, o nadchodzących gorących miesiącach i o tym, jak miło byłoby mieć basen, kilka drzew oliwnych, a nawet kilka rzędów winorośli.

- Do zobaczenia wieczorem. - Rozłączył się, zastanawiając się nad powiązaniem między dwoma niedoszłymi zabójstwami. Kim był Henry Clay Frick? Ponownie wybrał numer Marine.

- *Merde*, Antoine! - odezwała się.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - powiedział. - Kogo w Stowarzyszeniu Szlachty widzisz jako potencjalny cel zamachu? Kogoś znienawidzonego...

- Byłam tam tylko raz - odparła, pochylając się nad umywalką. - Nie będę cię pytać, kim według ciebie może być Goldman.

- Dziękuję.

Zmarszczył brwi, zdając sobie sprawę, że księciu bardzo daleko do rewolucjonisty, jakiego sobie wyobrażał, a jego status arystokraty pozostał nietknięty. To sprawiało, że bardziej prawdopodobną morderczynią stawała się Marguerite. Zbrodnia w afekcie, po kłótni z radykałem, Grégorym.

Marine mówiła dalej:

- Gdybym to ja była zła na kogoś w stowarzyszeniu, byłaby to osoba, która bada zasadność roszczeń rodziny do szlachectwa. To okropne zadanie. A jak wygląda dla drugiej strony... Wyobrażasz sobie, że budzisz się pewnego dnia, a twoja rodzina nie ma już tytułu? Więc Goldman może być osobą znieślawioną i szukającą zemsty.

- Oczywiście - powiedział Verlaque pośpiesznie. To trop, za którym będzie musiał podążyć. - Wspomniałaś, że w trakcie spotkania stowarzyszenia ogłaszano nazwiska rodzin, którym niedawno odebrano status.

- Tak.

- Kto je czytał? - zapytał. - Czy ktoś konkretny zbiera te dane?

- Na tym spotkaniu to był Charles de Saint-Félix.

* * *

Sędzia zjadł tempurę i sushi przy rue d'Italie. Nie dlatego, że był w nastroju na japońskie jedzenie, ale dlatego, że z okna restauracji widział drzwi wejściowe do domu księcia de Pradeta. Tylko częściowo zgadzał się z opinią Marine, wszak uczestniczyła zaledwie w jednym spotkaniu. Być może członkowie stowarzyszenia walczyli między sobą, a księżę, albo nawet Marguerite, nienawidzili któregoś z nich. Nikt jednak nie wchodził ani nie wychodził z domu księcia, kiedy Verlaque jadł. Nie zaskoczyło go to, szansa, że zobaczy jakieś oznaki winy księcia, była nikła, a Marguerite od dawna nie żyła. Dostrzegł jedynie *père* Jean-Luca, który spieszył w górę ulicy ze sportową torbą i rozglądał się tak, jakby właśnie obrabował bank. Verlaque roześmiał się pod nosem - być może grubawy ksiądz nie chciał, by widziano go w drodze powrotnej z siłowni. Sędzia zapłacił rachunek i wyszedł, po czym zadzwonił do Paulika.

- Przeczytałem twoją wiadomość, dojadając lunch - powiedział, kiedy Paulik odebrał. - Dokąd mam iść?

- *Ici* - odparł komisarz. - *Palais de Justice. Vite.*

Verlaque szybko ruszył przed siebie. Kiedy dotarł na miejsce, jeszcze raz wbiegł na górę do swojego gabinetu.

- Zamierzam zjeść dzisiaj ogromy stek - oznajmił, wsuwając głowę

do biura Paulika. - Przez cały dzień chodzę i biegam, a na lunch zjadłem japońszczyznę.

Paulik roześmiał się.

- Chodźmy do pańskiego gabinetu - zaproponował. - Ma pan ekspres do kawy.

- Co się dzieje? Napisałeś, że to pilne.

- Oddzwonił ten włoski fotograf. Jego pochodząca z Argentyny dziewczyna chce z nami rozmawiać, ale po angielsku.

- A czy nikt tu nie mówi po hiszpańsku? Skąd taki pośpiech?

Paulik wyjaśnił:

- Chce rozmawiać z panem albo ze mną. Ja nie mówię w żadnym z tych języków. Zawsze wiedziałem, że powinienem bardziej uważać na lekcjach angielskiego. To supermodelka. Jest pan gotowy? Gabriella de la Serna.

Verlaque zatrzymał się.

- Gabriella de la Serna? - Otworzył drzwi swojego gabinetu i wpuścił Paulika przed sobą. - Och! Więc przepraszam. Będę musiał z nią porozmawiać. Ale dlaczego nie zadzwoniła wcześniej?

- Wyjechała na zdjęcia. Na Alaskę.

- Oczywiście - skomentował sędzia.

Usiadł, a Paulik wręczył mu kartkę papieru. Założył okulary do czytania i wybrał zapisany przez Paulika numer, przełączając telefon na tryb głośnomówiący. Odebrała po trzech dzwoneczkach.

- Tu Gabriella.

- Hmm, dzień dobry, tutaj Antoine Verlaque - zaczął, odchrząkując.

- Jestem sędzią śledczym w Aix-en-Provence. Czy dobrze mnie pani słyszy?

Paulik uśmiechnął się szeroko, widząc, że jego szef jest podenerwowany, a ten zamachał do niego otwartą dłonią.

- Tak, oczywiście - odparła. - Nazywam się Gabriella de la Serna. Jestem dziewczyną Federica Renziego.

- Rozmawialiśmy z panem Renzim. Czy ma pani jakieś informacje o Grégorym de Castelbajacu?

- Och, biedny Grégo - zaczęła. - Tak, chyba mogę pomóc. On był taki słodki. Wszyscy jesteśmy zdruzgotani.

- Proszę mówić dalej - zachęcał.

- Tuż zanim Grégory wrócił do Francji - na pogrzeb, jak sądzę... rozmawiał ze mną o swojej rodzinie. Był podekscytowany, że wraca do Prowansji, i powiedział, że ma... jak to powiedzieć... jakieś sprawy do załatwienia z jednym ze swoich braci.

Verlaque podniósł długopis i kartkę papieru, a jego kręgosłup się usztywnił.

- Nie znam jego imienia, ale był kapitanem statku - kontynuowała. - A Grégory, będąc ekologiem, miał informacje o statku brata... o tym, co robili na pokładzie...

- Czy pamięta pani nazwę statku?

- O tak. Esméralda - odrzekła. - Jestem wielką fanką Victora Hugo.

- Co robili na pokładzie?

- Grégo nie zdradzał szczegółów - powiedziała - ale ujawnił, że dopuszczali się rzeczy niehumanitarnych, jak wyrzucanie pozostałości olejowych do morza. Mówił, że robiły to wszystkie duże frachtowce, ale miał dowody takiego postępowania na Esméraldzie. Zamierzał spotkać się z bratem i poruszyć ten temat. Mówiłam mu, że to błąd, że powinien porozmawiać z... zapomniałam nazwy...

- *Les douanes* - odezwał się Verlaque. - Przepraszam. Ze strażą przybrzeżną.

- Właśnie - przytaknęła Gabriella. - Federico też tak uważał.

- Mieliście rację - stwierdził sędzia.

- Obawiam się, że to wszystko - powiedziała Gabriella. - Ale Federico i ja myśleliśmy, że może być ważne.

- Bardzo pani dziękuję. Wiem, jak bardzo jest pani zajęta...

Paulik uśmiechnął się znacząco, a Verlaque zrewanżował się uśmiechem i pomachał ręką.

- Ostatnie pytanie. - Powstrzymał się przed powiedzeniem: „Zawsze chciałem to wiedzieć”. - Czy jest pani w jakikolwiek sposób spokrewniona z Che Guevarą?

- Kuzyn w trzeciej linii - odparła. - Niewielu ludzi wie, że matka Ernesta nazywała się de la Serna.

- Raz jeszcze pani dziękuję - powiedział sędzia. - Czy zechce pani zeznawać przed sądem i powtórzyć to wszystko, co właśnie nam pani powiedziała?

Zawahała się.

- Tak, jeśli to pomoże schwytać tego, kto zabił Grégo. Tak.

Verlaque rozłączył się, a Paulik oznajmił:

- Jeśli przyjedzie do Aix, może zatrzymać się u mnie.

- Zamknij się - powiedział Verlaque ze śmiechem.

* * *

Gaëlle spojrzała na zegarek i próbowała przyspieszyć bieg rzeczy. Byli spóźnieni na lunch zamówiony w przeciętnej, ale przyjaznej restauracji przy rue Fernand Dol, gdzie często przyjmowano grupy turystów.

- To najstarsza wolnostojąca rzeźba w Aix, wzniesiona w 1667 przez arcybiskupa Michela Mazarina - powiedziała. - Początkowo to miejsce przeznaczone było dla brata arcybiskupa, ale ten szczęśliwie zmarł, zanim rozpoczęto budowę posągu. Otrzymaliśmy więc tę cudownie żartobliwą barokową fontannę, zwaną z oczywistych przyczyn Les Quatre Dauphins. - Zrobiła przerwę, żeby turyści mogli sfotografować się nawzajem przed czterema grubymi delfinami wypluwającymi wodę. - To typowe Aix - mówiła dalej. - I moja ulubiona część miasta, dlatego zdecydowałam się tu mieszkać i pracować. Jesienią z czterech ogromnych drzew lecą kasztany, dzieci chodzą do lokalnych szkół i wracają do domów, a latem odbywają się tu improwizowane koncerty. Widoki są piękne z każdego kierunku. Jeżeli popatrzą państwo w górę rue Cardinale, zobaczą państwo gotycki kościół Saint Jean de Malte, który stał już tutaj, gdy arcybiskup Mazarin zatrudnił architekta, Jeana Lombarda. Miał on przeprojektować ten wcześniej kościelny teren w nową elegancką dzielnicę, rywalizującą z Paryżem.

- Tu jest ładniej niż w Paryżu - powiedział ktoś.

Gaëlle uśmiechnęła się, świadoma niechęci mieszkańców prowincji do stolicy. Ona sama kochała Paryż.

- Czy woda jest dobra? - zapytał ktoś inny.

- O tak - odrzekła Gaëlle. - Chociaż nowa fontanna w tej okolicy nie była konieczna, bo zgodnie z ówczesnym krzykiem mody większość domów miała fontanny w swoich ogrodach, a nawet w holach wejściowych.

- Czy zobaczymy tę fontannę? - zapytała ta sama kobieta. - Gdzie członkowie *résistants* zostali zabici przez Niemców?

- Przez nazistów - poprawiła Gaëlle. - Nie, nie możemy, gdyż ogród jest prywatny, wykorzystywany przez wielu mieszkańców. A poza tym teraz policja otoczyła rejon fontanny kordonem...

Wszyscy w grupie pochylili się do przodu i nawet fotograf przestał patrzeć na zdjęcia, które zrobił tego dnia. Gaëlle żałowała, że ta informacja jej się wymknęła, ale i tak za chwilę mieli przechodzić obok La Fontaine w drodze na lunch i grupa zobaczyłaby policyjną taśmę, otaczającą restaurację Beara. Gaëlle gestem pokazała turystom, by podeszli bliżej.

- Ostatnio w ogrodzie znaleziono szkielet - powiedziała szybko. Mogła przecież przekazać im prawdziwe wiadomości. - Leżał tam przez osiem lat i okazało się, że to młody człowiek z okolicy. A teraz fontanna przestała działać.

Kilkoro turystów wstrzymało oddech.

- Czy przestała też działać w czasie wojny? - zapytała nauczycielka.
- Kiedy zostali zamordowani członkowie *résistance*?

Gaëlle nie odezwała się, ale po prostu pokiwała głową dla bardziej dramatycznego efektu.

- Jest przeklęta - zawołał jeden z mężczyzn.

- *Exactement* - przytaknęła Gaëlle.

- Czy znała pani tego młodego człowieka? - zapytał jeden z młodszych mężczyzn, który nie mógł mieć jeszcze sześćdziesięciu lat.

Gaëlle skinęła głową.

- Znałam.

Turyści zamrugali oczami, a kilkoro z nich wymruczało kondolencje.

Pomyślała o Grégorym. O braciach Béatrice Germain i o chłopie

Maurinie, który odmówił złożenia ukłonu przed Ludwikiem XIV. Życie czterech młodych mężczyzn zostało przerwane w tym samym ogrodzie i każda z tych śmierci była gwałtowna. Zobaczyła, że starszy mężczyzna z muszką gładzi się po brzuchu, i spojrzała na zegarek.

- Och, jesteśmy spóźnieni na lunch - powiedziała, zadowolona, że ktoś wywołał inny temat. - Restauracja jest tuż za rogiem.

* * *

- Co ona sobie, u diabła, wyobrażała? - zastanawiał się Verlaque. - Szli z Paulikiem korytarzem do pokoju, w którym czekał Ludovic de Castelbajac. - Kiedy zadzwoniła do Ludovica de Castelbajaca i oskarżyła go o Bóg wie co. To takie naiwne.

- Mamy szczęście, że nie wyjechał z miasta - odparł Paulik.

- I szczęście, że nie podążył za nią - zauważył sędzia. - Wyraźnie prosiłem Juliette o przesłanie mi negatywów.

- Okazuje się, że usługa wywoływania zdjęć w godzinę jest nadal dostępna w Bretanii. Rozumiem jej szok, kiedy zauważyła, że fotografie nie były krajobrazami, lecz widokami znad morza, ale jednak...

- Jesteśmy - odezwał się Verlaque, kiedy zatrzymali się przed drzwiami. - Ty pierwszy.

Ludovic de Castelbajac siedział przy stole z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Patrzył przez okno, ale Verlaque nie był pewien, czy zauważa widoczne tam dachy Aix.

Odwrócił głowę, kiedy sędzia i komisarz przywitani się.

- Większość ludzi ma fioła na punkcie tych dachów z czerwonej dachówki - powiedział Castelbajac. - Właściciele mieszkań robią wszystko, żeby zbudować tarasy na dachach, tylko po to, by uzyskać ten widok. Ale jest on niczym w porównaniu z widokiem wody i nieba, kiedy jest się na morzu przez wiele dni czy tygodni.

Verlaque i Paulik usiedli i pozwolili kapitanowi mówić dalej.

- Po tym, jak Juliette do mnie zadzwoniła, wiedziałem, że dokopiecie się do informacji o Esméraldzie - powiedział. - Przyszedłem tu nieomal z własnej woli.

- Ale i tak musieliśmy pana znaleźć w pańskim mieszkaniu - wtrącił komisarz. - Więc trochę trudno panu uwierzyć.

- Grégory groził, że ujawni, co dzieje się na Esméraldzie - rzekł Verlaque. Nie wspomniał, jak ironicznie brzmi to, że Ludovic nielegalnie zanieczyszczał piękne morze, którym tak się zachwycił. Nie przejmował się też wyrzucaniem pasażerów na gapę. - Co zdarzyło się między wami, kiedy widzieliście się po raz ostatni?

Castelbajac wyglądał na zaskoczonego.

- Zaraz, chwileczkę...

- Kiedy Grégory zginął, był pan w Aix, a nie na morzu - zaczął sędzia. - Na pogrzebie swojej babci.

- Oczywiście. Spotkałem się z Grégo wieczorem przed pogrzebem - powiedział Castelbajac. - I następnego ranka na pogrzebie. Później już nie. Ostatni raz widziałem go przed kościołem ósmego sierpnia.

- A tego wieczoru przed pogrzebem? Co zaszło między wami?

- Grégory był naćpany, wciąż się śmiał - zaczął Castelbajac. - Byliśmy u mnie na górze i powiedział mi, że jego przyjaciel, fotografik, ma zdjęcia mojego statku gdzieś na morzu.

- Kiedy zrzucacie olej?

Castelbajac skinął głową.

- Dlaczego Juliette tak to zmartwiło? - zapytał Verlaque. - Podjęła duże ryzyko, dzwoniąc do pana.

Ludovic de Castelbajac podniósł rękę.

- Juliette zawsze była wariatką! Tak naprawdę oskarżyła mnie o zamordowanie Grégo. Możecie sobie, panowie, coś takiego wyobrazić? - Jego oczy zaczerwieńczyły się i zwilgotniały.

- Czy nazwisko Goldman coś panu mówi? - zapytał Paulik.

Castelbajac odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Tylko nie to znowu! Grégory wspomniał o nim raz czy dwa. Jego mentor. Co za farsa. Myślę, że Grégory czasami wierzył, że jest jakimś rewolucjonistą.

- Czy wiedział pan, kim mógł być Goldman? - zapytał Verlaque.

- Oczywiście, że nie. Może on w ogóle nie istnieje - odparł

Castelbajac. Dotknął czoła. - Grégory miał bardzo bujną wyobraźnię.

Sędzia oparł się pokusie, by spojrzeć na Paulika. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Goldman mógł być wymyśloną postacią.

- Czy Grégory wspomniał o Goldmanie tego wieczoru przed pogrzebem? - chciał wiedzieć Verlaque.

- Nie, raczej nie - odparł Castelbajac. - Był w lepszym nastroju niż zwykle, zanim zaczął szydzić ze mnie z powodu tych fotografii i czegoś, co według niego było kodeksem morskim.

- Porozmawiajmy o tym, co zdarzyło się na morzu - odezwał się Verlaque. - I o Mamadou Zoumie.

Castelbajac zwiesił głowę.

- Przyznaję się do wszystkiego, o czym prawdopodobnie panom powiedział. - Spojrzał w górę i dodał: - Nie jestem jedynym kapitanem, który wysłał pasażerów na gapę na morze. Nie mamy wielkiego wyboru...

- Dlaczego oskarżył go pan o zamordowanie Grégory'ego?

- To dla mnie logiczne! - rzekł Castelbajac, podnosząc głos. - Uważał, że jestem odpowiedzialny za śmierć jego brata. Więc zabił mojego!

- Naprawdę sądzi pan, że to możliwe? - zdziwił się sędzia.

- Och, sam już nie wiem!

- Zatem kto zabił Grégory'ego? - mówił dalej Verlaque.

- Nigdy nie zabiłbym własnego brata, jeśli do tego pan zmierza! - krzyknął kapitan. Głęboko wciągnął powietrze i próbował się uspokoić. - Zaraz po pogrzebie byłem w Sanary. Mogą panowie zapytać o to moich braci. Wszyscy czekaliśmy na pojawienie się Grégory'ego, ale oczywiście nie przyjechał. Zostałem tam z nimi przez dwa dni, a trzeciego stwierdziliśmy, że Grégo się zmył. Wyruszyliśmy na żeglarską wyprawę do Włoch, którą od dawna planowaliśmy z całą rodziną. *Grand-mère* zostawiła nam pieniądze. Nie musiałem nawet wracać do Aix, przywiozłem już wszystkie potrzebne rzeczy.

Sędzia milczał. Castelbajac mógł wymknąć się w środku nocy i pojechać samochodem do Aix. To tylko godzina drogi.

- Potwierdzimy to u pańskich braci i rodziców - oznajmił Paulik. - W międzyczasie pojawią się tutaj członkowie Międzyrządowej Komisji Oceanograficznej i będą chcieli zadać panu kilka pytań.

Castelbajac ponownie zwiesił głowę i potarł oczy.

- Tego się spodziewałem i jestem gotów współpracować. Ale musicie mi uwierzyć, że nigdy nie tknąłem brata. Nigdy.

* * *

Następnego dnia o dwunastej trzydzieści Verlaque pojawił się na ulicy Papassaudi. Wbiegł na schody, zakłopotany, że spóźni się na lunch, ponieważ poranne spotkania się przedłużyły. Wszedł do pokoju dziennego, a tam w fotelu, z kieliszkiem wina w ręku, siedziała żeńska wersja Jean-Marca Sauvata. Kobieta podniosła się i Verlaque zauważył, że była wysoka i szczupła, tak jak Jean-Marc, i podobnie jak on miała szerokie ramiona. Jej powieki były opuchnięte, co, podobnie jak u jej syna, nie było nieładne, ale dodawało jej wyglądowi dramatyzmu. Miała wysokie kości policzkowe, co według babci Verlaque'a, Emmeline, świadczyło o arystokratycznym pochodzeniu. Uśmiechnęła się i ucisnęła jego dłoń.

- Antoine - powiedziała. - Bardzo się cieszę, że w końcu cię spotykam. Jestem Anne Sauvat.

- Wspaniale panią poznać - odparł. Podobał mu się jej głęboki, chropowaty głos.

- Antoine, nalej sobie kieliszek wina - zawołał z kuchni Jean-Marc. - Pierwsze danie jest prawie gotowe! Szparagi w sosie winegret. Mam nadzieję, że szparagi ci się nie znudziły.

- Zdecydowanie nie - odparł Verlaque.

- Kiedy byliśmy dziećmi, zbieraliśmy szparagi przy drodze - powiedziała Mme Sauvat. - Nasza mama za to na nas krzyczała. Nie chciała, by sąsiedzi widzieli, że tak zbieramy jedzenie.

- Arystokraci nie robią takich rzeczy? - zapytał Jean-Marc, wychodząc z kuchni z zabytkowym podłużnym półmiskiem wypełnionym pęczkami szparagów powiązanych cienkimi paskami blanszowanego pora.

- *À table!* - powiedział.

- Oczywiście, że nie - odparła Mme Sauvat, podchodząc do stołu. - Nie miała nic przeciwko temu, żebyśmy przeczesywali pola za domem, ale to przy drodze rosło najwięcej szparagów.

- *Maman*, możesz usiąść u szczytu stołu - zaproponował Jean-Marc - a my usiądziemy po obu stronach.

Verlaque wziął białe wino ze stolika kawowego i obrócił kieliszki. Cieszyło go to, że mógł czuć się u Jean-Marca zupełnie swobodnie, i, ku własnemu zaskoczeniu, powiedział to na głos. Jean-Marc spojrział na niego ze zdumieniem, ale szybko zmienił wyraz twarzy.

- Co za miła uwaga, Antoine - skomentowała Mme Sauvat, po czym usiadła i rozłożyła na kolanach białą, wyprasowaną serwetkę. - Trudno zdobyć przyjaciół i trudno ich zatrzymać - mówiła dalej. - I nie mam na myśli trudne w znaczeniu skomplikowane, ale raczej wymagające czasu. To jest praca i wysiłek.

- I naprawdę warto - stwierdził Jean-Marc. - Weź sobie pęczek szparagów, *maman*.

- Kiedy wyszłam za twojego ojca, straciłam przyjaciół - zaczęła, nakładając szparagi na talerz, i podała półmisek Verlaque'owi.

- To przykre - zauważył Verlaque.

- No cóż, jeśli tak się stało, to nie zasługiwali na przyjaźń - powiedział Jean-Marc.

- Jednak bolało. - Mme Sauvat spojrzała na Verlaque'a i oznajmiła: - Urodziłam się jako Anne d'Estève de Bosch.

- Tak, Jean-Marc niedawno mi o tym powiedział.

- Ale dokonałam wyboru - mówiła dalej, opierając łokcie na stole, a brodę na dłoniach. - Dla niektórych arystokratów to może być dużo trudniejsze.

- Co masz na myśli, *maman*? - dociekał Jean-Marc.

Gestem wskazał Antoine'owi, by zaczął jeść, widząc, że jego mama oddaje się wspomnieniom.

- Rodziny, którym odebrano szlachectwo - wyjaśniła, podnosząc nóż i widelec tylko po to, by je zaraz odłożyć.

- Dziewiętnastowieczni fałszerze? - dopytywał Jean-Marc. - Chyba tak bardzo im nie współczujesz.

- Ale wyobraź sobie, że pewnego dnia odkrywasz, iż całe twoje życie opiera się na oszustwie - powiedziała. - Taka sytuacja doprowadziła jednego z naszych miejscowych hrabiów do zakładu dla obłąkanych. Po rozprzedaniu rodzinnego mienia jego żona umarła bez grosza. To przydarzyło się wielu rodzinom... także jednej z tutejszych. Ojciec popełnił samobójstwo, a jego żona zmarła wkrótce potem. Dzieci nigdy się z tego nie otrząsnęły, zwłaszcza córka jest rozgoryczona do dzisiejszego dnia. Słyszałam, że stała się radykałem - przynajmniej tak było. Ojej, za dużo mówię.

Verlaque pomyślał o rozmowie z Marine, w której zachwycał się nieruchomościami, reklamowanymi w Passage Agard. Przypomniały mu się słowa Marine: „Czy możesz sobie wyobrazić, że budzisz się pewnego dnia, a twoja rodzina nie ma już tytułu?”

Jean-Marc roześmiał się, puszczając oko do przyjaciela.

- Nie martw się, *maman*, to nie nasze kręgi.

- Och, masz rację, nie znacie jej - powiedziała Mme Sauvat, pociągając łyk wina. - Żaden z was nie ma dzieci.

- Miałem na myśli snobistycznych arystokratów. Co ma do tego posiadanie dzieci? Czy ta kobieta jest opiekunką do dzieci? - naciskał Jean-Marc. - Albo przedszkolanką?

- Nie, uczy nastolatków, z tego, co pamiętam - odparła, wbijając nóż w szparagi. - W szkole średniej.

- Przepraszam - odezwał się nagle Verlaque, wstając od stołu. - Muszę iść. Bardzo mi przykro.

* * *

Szedł w dół rue du 4 Septembre, aż dotarł do fontanny z delfinami i wtedy skręcił w lewo w rue Cardinale. Przy rue Mistral znów skierował się w lewo i zadzwonił pod numer dwadzieścia dwa. Czekając, wysłał esemesa do Paulika.

Bénédicte Tivolle otworzyła drzwi.

- Dzień dobry - rzekła. - Właśnie mam wychodzić na popołudniowe lekcje. Czy to nie zajmie dużo czasu?

- Niestety, obawiam się, że tak - odparł sędzia. - Muszę przesłuchać panią w związku z pani udziałem w zamordowaniu Grégory'ego de Castelbajaca.

Zauważył, że z jej twarzy odpływa krew.

- Więc lepiej niech pan wejdzie - powiedziała, przesuając się na bok.

* * *

- Całkowicie się pan myli - powiedziała Bénédicte Tivolle, siadając naprzeciwko sędziego w zaskakująco małej kuchni. Zadzwoiła już do szkoły, żeby odwołać zajęcia, i zrobiła kawę.

Verlaque oznajmił:

- Na pewno pani wie, dlaczego tu jestem. Pani to Goldman.

- Och - odezwała się, odwracając się od ekspresu do kawy. - Jak pan się o tym dowiedział?

- To nie ma znaczenia - rzekł. - Nie uczyła pani Grégory'ego w szkole, ale była pani jego prywatną nauczycielką, prawda?

Bénédicte skinęła głową.

- Zarówno jego bracia, jak przyjaciele mówili mi, że miał korepetytorów, ale na początku tego nie powiązałem, aż do chwili, kiedy odkryłem, że pani pseudonim dla Grégory'ego brzmiał Goldman.

Bénédicte usiadła, wręczając mu kawę, cukierniczkę i łyżeczkę.

- Emma Goldman była niedocenianą myślicielką polityczną.

- Tak słyszałem.

Mówiła dalej:

- Goldman wyprzedzała swój czas. Pisała i wykladała na tak wiele tematów, niektóre z nich wydają nam się dzisiaj oczywiste, przynajmniej na zachodzie. Wypowiadała się o reformie więziennictwa, ateizmie, wolności słowa, wolnej miłości, prawie wyborczym dla kobiet, o homoseksualizmie. Zachęcała amerykańskich mężczyzn, by nie zaciągali się na wojnę 1917 roku, i za to została deportowana do swojej ojczystej Rosji.

- W 1917?

- Tak, nie był to dogodny czas, by wracać do Rosji.

- Czy groziła pani Grégory'emu? - zapytał Verlaque.

Bénédicte mieszała cukier w filiżance.

- Tak i żałuję tego. Byłam taka zła...

- Na Charles'a de Saint-Félixa?

- Odrobił pan lekcje - powiedziała, unosząc brwi. - Tak, Saint-Félix grzebał w dokumentach, które pozwoliły Stowarzyszeniu Szlachty odebrać tytuł mojej rodzinie. To mała gnida i przez lata winiłam go za samobójstwo mojego ojca. Czy pańscy rodzice wciąż żyją, panie sędzio?

- Mój ojciec żyje - odparł Verlaque. - Ale moja matka nie. Ona też popełniła samobójstwo.

- Z użyciem strzelby, jak mój ojciec?

- Nie - odparł. - Zagłodziła się na śmierć. Anoreksja.

- Przykro mi - powiedziała ze szczerością, która go zaskoczyła.

- Więc pani i Grégory planowaliście zabić Saint-Félixa? - powiedział, zmieniając temat.

- Tak - potwierdziła wyraźnie i nawet trochę za głośno. - Jak pan wie, to się nie udało. Mógłby mnie pan za to aresztować, gdyby miał pan dowód. Ale nie może mnie pan aresztować za zabójstwo Grégory'ego. W tym czasie bardzo mnie zawodził i byłam na niego tak zła, że zagroziłam, iż ujawnię...

- ...jego homoseksualizm - dokończył sędzia. - A Emma Goldman broniła homoseksualistów pod koniec XIX wieku. Groziła pani także, że ujawni jego handel narkotykami. Komu sprzedawał?

- Nigdy mi tego nie mówił - przyznała. - Udawałam, że to odkryłam, ale blefowałam. On mówił, że to w szlachetnej sprawie. - Zaśmiała się lekko i przetarła oczy.

- Czy przed ośmioma laty pokłóciliście się? - zapytał Verlaque. - Tutaj? Albo na dworze, w ogrodzie? To było lato, musiała pani tam być. Grégory zagroził, że panią wyda, i pani go popchnęła.

Jej oczy zwęziły się, kiedy na niego spojrzała. Pochyliła się nad stołem kuchennym i powiedziała:

- Nie ma pan dowodów. Znaleziono szkielet w ogrodzie i to wszystko...

Na piętrze nad nimi otworzyły się drzwi, Bénédicte lekko obróciła

głowę, ale oboje zignorowali ten dźwięk.

Verlaque odpowiedział:

- Nasza patolog dokonała nowego odkrycia. - Patrzył na nauczycielkę filozofii, mając nadzieję, że jego kłamstwo odniesie skutek. On także potrafił blefować.

Ale ona tylko się roześmiała.

- Odkrycie na kościach pochowanych przed ośmioma laty?

Jej komentarz sprawił, że Verlaque pomyślał o chłopcach Paulika, szukających kości farmera w lasach Luberonu. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na jego telefonie pojawił się esemes od Paulika i telefon zawibrował na drewnianym stole. Sędzia podniósł go, przeczytał wiadomość i powiedział głośno:

- To patolog z nowymi informacjami.

- Kłamie pan! - syknęła Bénédicte. - Nie może pan mnie powiązać z zabójstwem Grégory'ego.

- Jednak mogę.

W drzwiach kuchni pojawił się mężczyzna, obiema rękoma trzymał się framugi. Bénédicte odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nie bądź głupi, Serge - odezwała się.

- Nie możemy dłużej kłamać - powiedział Serge Tivolle. Stał w drzwiach, jakby nie był w stanie wejść do kuchni.

Verlaque spojrzał na niego, zaskoczony jego gwiazdorską urodą - grubymi, siwiejącymi włosami, szerokim uśmiechem pokazującym idealne zęby i wysokim wzrostem. Wyobrażał sobie, że mąż Bénédicte jest niewysokim, raczej nieatrakcyjnym mężczyzną.

Bénédicte wstała od stołu i sędzia szybko zrobił to samo.

- Serge, nie ma dowodów i dobrze o tym wiesz - powiedziała, podchodząc do niego.

- Ja jestem dowodem, Bénédicte - odparł, przesuając się lekko w stronę pokoju dziennego. - Przyszedłem do domu wcześniej... - Spojrzał na Verlaque'a błagalnym i przeproszającym wzrokiem. - Zamierzałem wrócić następnego dnia po odwiezieniu dzieci do dziadków, ale miałem do skończenia kilka rysunków.

- Tak, i oczywiście musiałeś się śpieszyć do domu, by kończyć je w środku nocy, ty... - powiedziała Bénédicte, unosząc rękę.

- Mme Tivolle. - Verlaque zrobił krok w jej kierunku. - Usiądźmy, proszę.

Zamachnęła się i sędzia poczuł piekący ból na lewym policzku. Zaszokowany, chwycił się za twarz. Serge Tivolle pochylił się w stronę żony, ujął ją za ramiona i posadził na krześle. Verlaque wyjął swój telefon komórkowy i wysłał esemesa do Paulika: „Przyjedź jak najszybciej”.

- Już się ciebie nie boję - rzekł Serge, patrząc żonie prosto w oczy. - Musimy teraz wyznaczyć prawdę. Zabiłaś Grégory'ego de Castelbajaca i go pochowałaś, a ja nic nie powiedziałem.

- On się przewrócił! - krzyknęła.

Serge dodał:

- Tak, ale potem zmarł na twoich oczach, a ty nic nie zrobiłaś...

Głowa Bénédicte opadała na stół i w ostatniej chwili Serge prawą ręką ochronił ją przed uderzeniem.

- To koniec - powiedział, otaczając żonę lewym ramieniem. - To nie twoja wina, że Grégory uderzył się głową o fontannę, ale powinnaś wezwać pogotowie.

Verlaque patrzył na Serge'a Tivolle, starając się wypełnić luki w swoim rozeznaniu sytuacji. To, co właśnie usłyszał, potwierdziło hipotezę doktor Cohen, mówiącą, że morderca patrzył, jak Grégory umiera. Po kilku minutach rozległ się dzwonek do drzwi i Verlaque wstał, by otworzyć. Bénédicte płakała, powtarzając bez końca:

- Przepraszam.

27

Klątwa fontanny

- Miałem nadzieję na mięso i ziemniaki - powiedział Verlaque, wpatrując się w swój talerz. Marine odłożyła nóż i widelec, a on się uśmiechnął. - Żartuję. Jestem wdzięczny, nawet jeśli to ryba.

- Łosoś jest bardzo zdrowy - odezwała się Marine, nalewając mężowi kieliszek wina - a ty tamtego wieczoru zadałeś sobie tyle trudu, żeby przynieść z piwnicy wino Jean-Pierre'a Michela.

- Drażnisz się ze mną - odparł Verlaque, kręcąc kieliszkiem złotawego chardonnay. Powąchał wino, następnie upił łyček i zamknął oczy. - Burgundia.

- Naszym problemem jest to, że kochamy zbyt wiele miejsc - zauważyła Marine, zbliżając kieliszek do nosa. - Włochy, Burgundia...

- Lizbona.

- Dublin.

- Potrzebujemy stu żywotów, byśmy mogli mieszkać w każdym z tych miejsc - skomentował.

- Albo innej pracy - dodała Marine. - A jak się masz? Pewnie czujesz ulgę, że morderstwo Castelbajaca zostało rozwiązane.

- Tak. Bénédicte Tivolle jest już oficjalnie aresztowana.

- A jej mąż? - zapytała i wzięła do ust kawałek łososa, którego ugotowała na parze i poliała ciepłym winegretem z oliwy z oliwek, soku cytrynowego, kaparów i oliwek.

- Dostanie mniejszy wyrok, ale tak, też został aresztowany.

Marine zadrżała.

- A dzieci?

- Przypuszczam, że zamieszkają z dziadkami albo kuzynami. Trudno

mi to sobie wyobrazić.

Oczy Marine zaszkliły się, a Antoine sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. Zapytała:

- Co się stało? Czy Serge Tivolle przyszedł do domu w środku nocy?

- Tak - odparł. - Grégory już nie żył, a Bénédicte właśnie skończyła go zakopywać.

- Dlaczego nie pomógł jej wykopać głębszego grobu?

- Idziesz w makabrę - odparł z lekkim uśmiechem. - Oboje wpadli w panikę, ale wyobrażam sobie, że głównie on. Mówił, że nie potrafił podejść do ciała... Gdyby zadzwonili po karetkę nawet po śmierci Grégory'ego, byłiby teraz w lepszej sytuacji. Ale stracili głowę.

- Jedz, póki ciepłe - powiedziała nagle Marine.

Verlaque skinął głową. Ryba wydawała mu się mdła i każdy jej kęs popijał łykiem chardonnay Michela.

Uśmiechnęła się i naląła im więcej wina.

- Jaki dowód miał Grégory na nielegalne praktyki na Esméraldzie? - zapytała. - Wspomniałeś o tym przez telefon po rozmowie z supermodelką.

Verlaque poczuł, że się czerwieni, i miał nadzieję, że Marine tego nie zauważyła. Ale zauważyła.

- Grégory miał zdjęcia zrobione przez przyjaciela - chłopaka tej supermodelki - który był na pokładzie statku Partii Zielonych. Używał potężnego zooma. Paulik rozmawiał dzisiaj z właścicielem Esméraldy, Grekiem.

- Grek? Co za niespodzianka.

- No cóż, ten facet to prawdziwy morski magnat. Przekazywał Ludovicowi de Castelbajacowi pieniądze na legalne pozbywanie się nadmiaru oleju i pozostałości olejowych w zakładach przetwórczych, ale Castelbajac brał te pieniądze do kieszeni.

- I zanieczyszczał morze.

- Castelbajac powiedział inspektorom, którzy go aresztowali, że spalił te fotografie. Grégory nierozważnie mu je pokazał tego wieczoru, kiedy zginął.

- A co z negatywami?
- Są na moim biurku.
- Słucham?
- Miała je Juliette de Castelbajac - wyjaśnił. - Tylko raz im się bliżej przyjrzała. Powiedziała mi, że to krajobrazy, ale morze na małym negatywie może wyglądać jak ląd. Grégory powiedział Ludovicowi, że negatywy zaginęły.
- Więc Ludovic ma kłopoty - stwierdziła Marine.
- Tak, ale nie ze względu na morderstwo. Grecki potentat powiedział Paulikowi, że będzie zeznawał. Mamy też zeznania Mamadou.
- Biedna rodzina - powiedziała. - Im więcej słyszałam o Grégorym, tym większą sympatię do niego czułam. Miał serce po właściwej stronie.
- Zgadza się. Dzisiaj po południu zadzwonił do mnie książę Pradet. Zaprosił mnie na herbatę jutro rano.
- Och, jakie to miłe.
- Mam poczucie winy - powiedział Antoine. - Przez chwilę go podejrzewałem, podobnie jak jego zmarłą żonę.
- Ale przynajmniej nie wezwałeś go na przesłuchanie. - Marine usiadła, śmiejąc się. Zakasłała, po czym dodała: - Przepraszam. Kiepski żart.
- I nie wyraziłem swoich podejrzeń otwarcie, tak jak w wypadku Beara i Mamadou, a potem Ludovica.
- Wszyscy popełniamy błędy.
- To wielkie błędy, błędy, które mogą zrujnować komuś życie.
- Nie przesadzaj. - Marine naląła im resztę wina. - No cóż, Beara i Mamadou możesz po prostu przeprosić. Żaden z nich nie wydaje się osobą, która chowa urazę. Nie mają czasu na takie bzdury. Możesz porozmawiać z nimi jutro, jesteśmy zaproszeni na lunch w La Fontaine. Bear chce nam podziękować za użyczenie mojego mieszkania.
- Och, więc chce sprawić nam przyjemność. Ja też powinienem coś dla niego zrobić.

- Przeprasiny w zupełności wystarczą. Jesteś jutro wolny?
- Tak, oczywiście - odparł i zjadł ostatni kawałek łososa. Otarł usta lnianą serwetką. - To był wyjątkowo dobry łosoś. Bardzo dobry. Dziękuję.
- Będiesz dzisiaj lepiej spał niż po zjedzeniu steku.

Verlaque chrząknął i zdobył się na uśmiech.

- Czy będą sery?

* * *

Księżę przechadzał się przez cały poranek, nie mógł nawet wypić pierwszej kawy. Zjadł kawałek tostu. Próbował zagłębić się w lekturze i podskoczył, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych. Słyszał, jak Manuel rozmawia z sędzią i prowadzi go do pokoju dziennego. Odłożył książkę, wykorzystując zdjęcie jako zakładkę - zawsze używał fotografii do zaznaczenia miejsc, do których chciał wrócić. Wyszedł z biblioteki i skierował się włożonym płytami korytarzem do salonu.

- Dzień dobry, sędzio Verlaque - odezwał się, potrząsając dłonią gościa.
- Dzień dobry - odparł Verlaque. - Dziękuję za zaproszenie.
- Chociaż tyle mogłem zrobić. Manuel przygotował dla nas herbatę earl grey, która tak bardzo pasuje do cytrynowego ciasta - powiedział księżę, wskazując na porcelanowy dzbanek marki Spode i na ciasto.
- Moja babcia mawiała to samo - rzekł sędzia.

Księżę gestem pokazał mu, aby usiadł.

Verlaque powiedział:

- Kiedy byłem tu ostatnio, rozmawiałem z panem bardzo szorstko. Przepraszam. Myślałem, że chroni pan zmarłą żonę, jakby miała ona coś wspólnego ze śmiercią Grégory'ego de Castelbajaca.
- Rozumiem, dlaczego miał pan pewne wątpliwości co do mnie i co do Marguerite - powiedział księżę. - Powinienem wyjaśnić to i owo. Marguerite i ja oddaliliśmy się od siebie, choć wciąż mieszkaliśmy pod jednym dachem. Stała się taka radykalna... ta monarchistyczna

grupa, pan wie. Nie rozumiała, dlaczego nie chciałem uczestniczyć w ich spotkaniach. Towarzystwo wzajemnej adoracji. - Odstawił filiżankę i zadumał się.

- Co planowała Marguerite przed ośmioma laty?

- Och, więc słyszał pan o tym? - zapytał ksiązę. - Nic złego, proszę mi wierzyć. Ale to było dla mnie, dla nas, niezręczne. Nie byliśmy tak dobrze sytuowani, jak się wydawało. Utrzymanie tego domu oraz domu w Burgundii i mieszkania w Paryżu wymagało dużo nakładów. Były miesiące, w których nie mogliśmy zapłacić współmieszkańcom czynszu za paryskie mieszkanie ani ogrodnikowi za utrzymanie trawników w Burgundii. - Pochylił się i wyszeptał: -

Nigdy nie mógłbym zwolnić Manuela. Może pan to sobie wyobrazić? Jest ze mną, od kiedy byłem nastolatkiem. Jedna czy dwie rezydencje musiały zostać sprzedane, choć należały do rodziny od pokoleń. Nigdy tak naprawdę nie nauczyłem się zarabiać pieniędzy.

Verlaque skinął głową, a ksiązę mówił dalej:

- Nie byliśmy jedynymi arystokratami borykającymi się z takimi problemami. Dlatego Marguerite wpadła na pomysł, z którym zupełnie się nie zgadzałem - otwarcie tego domu i domu w Burgundii dla odwiedzających.

Verlaque uświadomił sobie, że Marguerite prawdopodobnie omawiała tę kwestię z Charles'em de Saint-Félixem. W porannym wydaniu „La Provence” na pierwszej stronie widniało zdjęcie *château* z opisem: „Otwarte dla zwiedzających, od soboty”. Wcześniej pokazał Marine ten nagłówek, a ona odparła: „Właśnie o to on i Luis kłócili się na zebraniu Stowarzyszenia”.

- To sensowne - powiedział do księcia. - To samo dzieje się w Narodowym Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków.

Książę wzdrygnął się.

- *Quelle horreur.*

- Więc nigdy nie musieliście otwierać żadnego z waszych domów dla zwiedzających?

- Nie - odparł ksiązę. - Ciotka Marguerite, mieszkająca w Niemczech, zmarła i zostawiła nam wystarczającą ilość pieniędzy, żebyśmy mogli przeżyć. I poszedłem na kompromis w sprawie paryskiego mieszkania - kiedy z niego nie korzystam, jest

wynajmowane bogatym, amerykańskim turystom. Agentka, która się tym zajmuje, mówi, że mógłbym je bez problemu wynajmować przez okrągły rok. W Paryżu zawsze jest sezon.

- Mój brat mówi to samo - odezwał się Verlaque. Spojrzał na znajdującą się obok niego książkę - tom poezji Racine'a z XVIII wieku - i podniósł ją. - Racine... - odezwał się, nie wiedząc, co powiedzieć dalej.

- Rozumiem, że to nie pańska bajka - powiedział książę. - Pewnie lubi pan tych wiecznie pijanych, sarkastycznych, angielskich poetów.

Verlaque roześmiał się.

- Tak, angielskich i polskich. - Kiedy odkładał książkę, wypadła z niej na dywan fotografia. - Przepraszam - rzekł. Pochylił się i ją podniósł. Wręczył ją księciu.

- To Delphine, przyjaciółka, podczas jednego z naszych pobytów w Londynie - powiedział książę, patrząc na zdjęcie. - Już nie żyje. - Wręczył fotografię z powrotem Verlaque'owi.

Ten spojrział na nią i starał się uśmiechnąć. Nie był pewien, dlaczego książę dzielił się z nim tą informacją. Kobieta uśmiechała się, zakładając ręce za siebie. W tle znajdował się budynek mieszkalny o płaskim dachu z oknami wielkości okien studia artystycznego i z garażem poniżej.

- To naprawdę Londyn? Wygląda bardziej jak Los Angeles.

- To Hampstead, proszę mi uwierzyć. Nadal pamiętam adres. Willow Road numer 2. To była Delphine, zawsze szukająca przygód. Emerytowana architekt z Paryża, czytała o tych budynkach w gazetach. Były budowane przez modernistycznych architektów, ku niezadowoleniu sąsiadów, w tym tego gościa, który napisał książki o Jamesie Bondzie.

- Ian Fleming.

- Właśnie. Teraz to chronione budynki wpisane na listę zabytków. W tamten weekend oprowadzali wycieczki... Właśnie wspomniał pan o Narodowym Funduszu na rzecz Renowacji Zabytków.

Verlaque uśmiechnął się i wręczył księciu fotografię.

- Byliśmy wtedy szczęśliwi - powiedział książę, wsuwając ją z powrotem między kartki książki. - Lubi pan Wordswortha?

- Jestem wielkim fanem.

- Delphine też była fanką. Kiedy po raz pierwszy pana spotkałem, nie sądziłem, że jest pan takim człowiekiem - odezwał się książę, uśmiechając się. - I przepraszam za to, co powiedziałem o tym, że pan i pańska żona oddalą się od siebie. Chyba odczuwałem pewną żalobę po Delphine i po Marguerite. Powiedziałem nawet mojemu dobremu przyjacielowi *frère* Joëlowi, że kościelny ślub to brednie. Jego także muszę przeprosić.

- Proszę zabrać go na lunch - zaproponował Verlaque z uśmiechem.
- La Fontaine znowu się otworzyła.

- Wiem - powiedział książę. - Mme Dreyfus zadzwoniła do mnie wczoraj późnym wieczorem, by powiedzieć, że ze starej fontanny znowu płynie woda. Słyszała to z okien swojego mieszkania.

* * *

Do czasu kiedy Verlaque dotarł do La Fontaine, Marine już tam była i siedziała na swoim ulubionym krześle przy oknie. Pomachała mu i podniosła kieliszek szampana. Verlaque podszedł i pochylił się, by ją pocałować.

- Zaraz wrócę - szepnął. Przeszedł na tyły restauracji i spojrzał przez okno na szesnastowieczną fontannę, na wodę płynącą z jej mosiężnych dyszy. „Jest radość w górach, jest życie w fontannach” - recytował w myślach Wordswortha, uśmiechając się.

Kiedy usłyszał głos Gaëlle Dreyfus, odwrócił się.

- Dzień dobry, panie sędzio - powiedziała. - Chciałabym, żeby poznał pan moich dwóch szanownych kolegów z Towarzystwa Historycznego, Roberta San Martina i Anthony'ego Sauze.

Mężczyźni szybko wstali i uścisnęli Verlaque'owi dłoń, a on gestem pokazał Marine, by podeszła.

- Podziwia pan fontannę? - zapytała Gaëlle.

- Tak - odparł Verlaque. - Obiecano mi, że znów popłynie.

- Po rozwiązaniu sprawy morderstwa?

- No cóż, normalnie nie jestem przesądny - rzekł sędzia.

U jego boku pojawiła się Marine, która wręczyła mu kieliszek

szampana.

- Wyrazy uznania od Beara - szepnęła.
- Och, ja jestem przesądna - powiedziała Gaëlle.
- Ja też - oznajmiła Marine.

Verlaque spojrział na żonę, zdumiony.

- Nie powinniście wierzyć w te bzdury - odezwał się Robert San Martin, zgarniając resztki tapenady, którą Bear zawsze stawiał na stole, zanim pojawiło się pierwsze danie. Rozsmarował ją na kawałku chleba tak, że na jego koszulę spadły okruszki. Verlaque się skrzywił.

- A to dlaczego? - zapytała Gaëlle.

San Martin strzepnął okruszki i lekko mu się odbiło.

- To nie ma nic wspólnego z klątwą - rzekł.

Podniósł miseczkę z tapenadą i wpatrzył się w nią, jakby chciał, żeby znów się wypełniła. Jacques Oller szybko i bezszelestnie pojawił się z większą ilością pasty i kolejnym koszykiem pieczywa. San Martin uśmiechnął się i zatarł ręce.

- Skup się, Robert - powiedziała Gaëlle, wznosząc oczy do nieba.

- Och, tak - odrzekł. - Nie ma żadnej klątwy. Przez kilka ostatnich miesięcy badałem ruchy ziemi i to, jak oddziałują one na ciekły wodne.

Tym razem przemówił Anthony Sauze:

- Robert pracuje dla TKP.

- Towarzystwa Kanałów w Prowansji - wyjaśniła Gaëlle, wzdychając.

- Och, rozumiem - odezwał się sędzia. - Ale co kanały mają wspólnego z fontanną?

- Nic - odparł San Martin, wgrzając się w kolejną kanapkę z tapenadą. - Ale drobne trzęsienia ziemi, jakie mamy prawie co tydzień w Prowansji, mają wpływ na wody termalne, czasem odcinając ich przepływ, a czasem go przywracając. W zeszłym tygodniu mieliśmy mały wstrząs i źródło wody w fontannie przestało płynąć. Wczoraj zdarzył się kolejny i woda znów się pojawiła. To

wszystko jest na moim arkuszu kalkulacyjnym w biurze. To zupełnie proste, naprawdę.

- Fascynujące, Robercie - powiedziała Gaëlle, opierając łokcie na stole, a brodę na splecionych dłoniach.

- Jestem trochę zawiedziona - odezwała się Marine. - Podobała mi się historia o kłątwie.

- Podobnie jak mnie - zgodził się Verlaque.

Frontowe drzwi otworzyły się i wszedł książę de Pradet z *frère* Joëlem. Gaëlle uśmiechnęła się na myśl o tym, że wieczorem zje z księciem kolację, w jego domu. Jacques Oller pokierował księcia i brata zakonnego do ostatniego wolnego stolika.

- Miłego lunchu - powiedział Verlaque, patrząc na Gaëlle i jej przyjaciół.

- Dziękujemy - odparli unisono.

Marine, z szerokim uśmiechem na ustach, ujęła Verlaque'a pod ramię. Podeszli razem do swojego stolika. Szepnęła, że jest zaskoczona, widząc członków Towarzystwa Historycznego w Aix w restauracji Beara, a Verlaque się z nią zgodził.

- Pewnie przyszli zawrzeć rozejm - zasugerował.

O wpół do trzeciej Bear wyszedł zza lady, która oddzielała kuchnię od sali jadalnej, żeby przywitać się z pozostałymi gośćmi.

- Jacques poda państwu grappę lub nocino - powiedział. - W ramach podziękowania za państwa wsparcie.

Frère Joël rozpromienił się, właśnie zjadł jeden z najlepszych posiłków w swoim życiu. Nie mógł się doczekać, aż opowie *père* Jean-Lucowi, który był wytrawnym smakoszem, o ostrej zupie z małży i combrze cielęcym pieczonym z szałwią.

- Panie Sigisbercie, tak się cieszę, że udało nam się dojść do porozumienia w kwestii stolików na zewnątrz - rzekła Gaëlle.

- Nigdy nie wystawię ich tutaj - obiecał Bear. - Ale będą w mojej nowej restauracji na Place des Fontêtes po drugiej stronie miasta. Będzie się nazywała Les Fontêtes.

Marine zaklaskała w dłonie i pochyliła się do męża.

- Uwielbiam ten plac!

- To tak jak ja - powiedział. Jedną z rzeczy, które w nim kochał, było jego stylowe zaniedbanie. Miał nadzieję, że modna restauracja nie zabije tego uroku. - Jak będzie pan gotował w dwóch miejscach? - zapytał.

- Zostanę tutaj - odparł Bear. - Ale będę krążył między lokalami, dopóki Florian nie poczuje się gotowy, by przejąć stery w nowej restauracji.

Wszyscy zaklaskali, a Florian, z nożem w dłoni, ukłonił się zza lady.

- A Mamadou będzie jego zastępcą - oznajmił Bear.

W sali restauracyjnej rozległo się więcej okrzyków i Mamadou, pochylony nad zlewozmywakiem, uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Gratulacje, Bearze - odezwała się Marine, kiedy podszedł do ich stolika.

- To dobry kompromis - stwierdził Bear. - I nie martwcie się, postaram się, żeby urok Place des Fontêtes nie ucierpiał.

Marine zaczęła:

- Nigdy nie pomyślałam...

- Nie - odparł Bear, śmiejąc się. - Ale twój mąż pomyślał. Widziałem przerażenie na jego twarzy.

- Wierzę w ciebie, przyjacielu - rzekł Verlaque.

- Myślałem, że przyniesie nam grappę - powiedział Robert San Martin do Gaëlle szeptem słyszalnym dla każdego w malutkiej restauracji.

28

Pionierzy

Następnego dnia Verlaque obudził się wcześniej, wziął prysznic, ubrał się i zasiadł do lektury „Le Monde”. Spał dobrze, ale nie był całkowicie zadowolony z dochodzenia w sprawie śmierci Grégory’ego de Castelbajaca. Pomimo rozmowy z Paulikiem nie mógł sprecyzować, co było nie tak.

Marine siedziała na górze i pracowała, słyszał, jak uderza w klawisze klawiatury. Rozmawiali już na temat planu sprzedaży jej mieszkania i zakupu domu na wsi. Mniejsze mieszkanie Verlaque’a chcieli zatrzymać, żeby mieć lokum, gdy będą chcieli pobyc w mieście. Nie dyskutowali o tym, żeby Marine miała zrezygnować z pracy, ale wiedział, że zbliżają się do tych rozważań. Teraz musieli podjąć decyzję o sprzedaży jednego z mieszkań.

- Idę już - powiedział, wstając. - Wyjdę dziś trochę wcześniej, by wpaść do Michauda. - Zamierzał też przespacerować się obok kilku agencji nieruchomości i popatrzeć na ich oferty.

- Dobrze - krzyknęła Marine z góry. - Miłego dnia.

Wyszedł z mieszkania. Zbiegając w dół, zatrzymał się przy mieszkaniu Arnauda, by wsunąć pod drzwi kopertę z pieniędzmi za zakupy i za doraźne prace, które student wykonał dla nich w ostatnim miesiącu. Będąc na ulicy, skierował się na Place de la Mairie, a gdy doszedł do ratusza, zadzwonił jego telefon. Nie rozpoznał numeru, ale odebrał.

- Antoine Verlaque - przedstawił się.

- Sędzia Verlaque?

- Tak - potwierdził.

- Przepraszam, że zajęło mi to cały tydzień, by do pana zadzwonić - powiedział mężczyzna, odchrząkując. - Dopiero dwa dni temu otrzymałem wiadomość od *frère* Joëla z Saint Jean de Malte, że ma pan pytania dotyczące Grégory’ego de Castelbajaca. Najwyraźniej

père Jean-Luc zapomniał do mnie zadzwonić. Przykro mi.

- Wszystko w porządku - powiedział sędzia. - A pan to...

- Bardzo przepraszam - odparł mężczyzna. - *Père* Etienne Fronton. Przed wieloma laty pracowałem w Saint Jean de Malte, kiedy jeszcze byłem zakonikiem.

- O tak - odezwał się Verlaque. - Z grupą młodzieży?

- Właśnie.

- Morderca został aresztowany - poinformował sędzia. - Ale jeżeli ma pan jakiegokolwiek informacje na temat Grégory'ego...

- Raczej nie - odpowiedział ksiądz. - Nie będę pana zatrzymywał, mogę zadzwonić do kościoła, by dowiedzieć się, co przydarzyło się biednemu Grégory'emu. To taka strata, był dobrym chłopcem. Trochę marzyciel, ale wnosił tyle energii, zawsze kiedy przychodził na grupę młodzieżową. Uwielbialiśmy jego obecność i jego miły głos.

Verlaque zatrzymał się. Widział przed sobą Cours Mirabeau, z rozłożonymi straganami i otaczającymi je tłumami, wypatrującymi taniej odzieży i zabawek. Prawie zaklął pod nosem. We wtorkowe i czwartkowe poranki starał się omijać Cours.

- Śpiewał?

- O tak, ale przysparzał pracy dyrygentowi chóru - odparł *père* Etienne. - Nie będę pana zatrzymywał. Do widzenia.

- Do widzenia - pożegnał się Verlaque.

Przebiegł przez Cours, a potem w dół rue Mistral i biegł nadal, dopóki nie znalazł się na placu Quatre Dauphins. Skręcił w lewo w Cardinale i biegł dalej do rue d'Italie. Zauważył Manuela Arrudę idącego ulicą z koszykiem w rękę. Skinął głową w jego kierunku i podążył dalej, aż zobaczył dwa rowery przymocowane do latarni przy czerwonych drzwiach. Drzwi były otwarte, więc wszedł do środka.

Przy biurku pracowała Philomène Joubert. Nuciała coś i przyklejała znaczki do kopert.

- Zbiórka na organy - powiedziała, podnosząc kopertę. - Ale pan już przekazał szczerą darowiznę.

Usiadł naprzeciwko niej i milczał.

- Odebrało panu dzisiaj mowę - stwierdziła Philomène, wypełniając kopertę.

- Próbuję zrozumieć, dlaczego powiedziała pani, że nie знаła Grégory'ego de Castelbajaca. Jest pani prezeską chóru, a jak mi powiedziano, Grégory był jego członkiem i dobrym śpiewakiem.

Philomène polizała kolejny znaczek, przykleiła go do koperty i odłożyła ją na bok.

- Och, rozumiem. - Skrzyżowała swoje krótkie, grube ramiona na biurku i bawiła się obrączką.

- I dlaczego *père* Jean-Luc obiecał, że *frère*, teraz *père* Etienne Fronton zadzwoni do mnie w sprawie Grégory'ego, a on nigdy nie zadzwonił? Musiał zadbać o to *frère* Joël. A *père* Etienne właśnie się odezwał.

Père Jean-Luc był już w holu, kiedy Verlaque się pojawił. Teraz wszedł do gabinetu i zbliżył się do biurka.

- Co powinniśmy zrobić? - zapytała Philomène.

Verlaque rozejrzał się i zobaczył rowerowy kosz Philomène z boku biurka, przykryty ściereczką w czerwono-białą kratkę.

- Pani dostawy wypieków - rzekł. - Czy Grégory pomagał?

Père Jean-Luc skinął głową, a Philomène wykręcała ręce.

- Czy odwiedza pani chorych na raka, Mme Joubert? - zapytał sędzia.

Potwierdziła ruchem głowy.

- Nie wierzę, że muszę zadawać te wszystkie pytania - powiedział Verlaque. - Uzyskiwanie informacji od was dwojga to jak...

Czekał, aż Philomène podrzuci mu jakieś prowansalskie powiedzenie, najlepiej z Menpenti w Marsylii, ale ona milczała.

Père Jean-Luc podszedł do czerwonych drzwi wychodzących na rue d'Italie i je zamknął.

- Grégory, niech go Bóg błogosławi, sprzedawał nam marihuanę - szepnął.

- Po niższej cenie niż na ulicy - wyjaśniła Philomène, a Verlaque musiał powstrzymać uśmiech.

Skinął głową i starał się przybrać poważny wyraz twarzy.

- A pani, Mme Joubert, dodawała ją do ciast.

- I ciasteczek - powiedziała Philomène. - Bardzo małe ilości.

- Mogę zapytać, skąd teraz bierzecie marihuanę?

- Lepiej nie - odparł Jean-Luc. - Ale mogę pana zapewnić, że jest organiczna i uprawiana lokalnie.

- Może pan skosztować kawałka ciasta - zaproponowała Philomène, wskazując na koszyk.

- Nie, dziękuję - powiedział Verlaque. Przetarł oczy, żałując, że odebrał telefon i nie skierował się wprost do Michauda.

- To bardzo uspokaja pacjentów - oznajmił *père* Jean-Luc. - Nawet ja od czasu do czasu pozwalałam sobie na kawałek brownie.

Verlaque spojrział na niego, zaskoczony.

- Chroniczny ból pleców - wyjaśnił ksiądz, dla lepszego efektu pocierając się po krzyżu.

- Wiemy, że to wbrew prawu - przyznała Philomène. - Ale w wielu miejscach marihuanę już się legalizuje, przynajmniej do celów medycznych, i na pewno tutaj też do tego dojdzie. To taki nasz mały falstart. Pionierzy. To chyba odpowiednie słowo. Jesteśmy pionierami.

Epilog. Ostatnia fotografia

Florence Bonnet założyła okulary do czytania i z uśmiechem spojrzała na fotografię. Tłum składający się z około sześćdziesięciu ludzi, w większości ubranych w swoje najelegantsze stroje, wypełniał malutką rue Clemenceau. Niektórzy przechodnie uśmiechali się i wskazywali na grupę, a inni zatrzymywali się i patrzyli, jakby zastanawiając się, czy nie udać, że należą do gości, i nie poczęstować się kieliszkiem szampana. Chociaż Florence nigdy, przenigdy nie pomyślałaby o zorganizowaniu przyjęcia w kawiarni i na ulicy, naprawdę dobrze się bawiła i zdecydowała, że oprawi to zdjęcie. Odczuła pewną ulgę, kiedy Marine i Antoine zasugerowali cywilną ceremonię w Aix i ślub kościelny z uroczystym lunchem we Włoszech. Nigdy nie należała do tych matek, które urządzają perfekcyjne przyjęcia urodzinowe swoich dzieci, i z lękiem myślała o przyjęciu ślubnym Marine. Niektóre z jej koleżanek z radością rzucały się w wir przygotowań wesela swych córek. Nieraz poświęcały temu ponad rok - wycinały zdjęcia z czasopism, wymieniały się adresami firm cateringowych, kwiaciarni i *châteaux* w regionie Aix, które wynajmowały budynki i ogrody. Przyjęcie na ulicy okazało się swobodne i zabawne, a ona mogła zaprosić kolegów i koleżanki z uniwersytetu, sąsiadów i niektórych chórzystów, nie troszcząc się o logistykę, jedzenie i picie.

Uwielbiała to zdjęcie - jej córka ze swoim ojcem w środku tłumu, patrzyli na siebie z uśmiechem. Anatole mówił coś podekscytowany, a Marine, rozradowana, w jednej ręce trzymała kieliszek z szampanem, a drugą oparła na ramieniu ojca. Stali tak na środku fotografii, a goście wokół nich wydawali się zamgleni, jakby poruszali się w zwolnionym tempie. Florence nie była pewna, czy to był celowy zabieg fotografika, wiedziała, że fachowcy posługują się trikami z ostrością. Nie było jej na tym zdjęciu, ale to nie miało znaczenia - nie znosiła, kiedy robiono jej zdjęcia. Liczyło się to, że była tam Marine i jej ojciec i że byli sobie bliscy. Być może gdyby mieli syna - gdyby mały Thomas przeżył - ona związałaby się z nim równie blisko i miała z nim taką relację, jaką cieszyli się Marine

i Anatole. Na prawo od Marine stał brat Antoine'a, Sébastien - bo chyba tak miał na imię - i rzucał ukradkowe spojrzenie na swoją komórkę. Parsknęła śmiechem. We Włoszech podczas uroczystego lunchu próbowała z nim rozmawiać, ale on był zajęty wpatrywaniem się w Sylvie. Z drugiej strony przeprowadziła interesującą rozmowę z Verlakiem seniorem, Gabrielem. Zdybała go, gdy jego stanowczo za młoda dziewczyna zaangażowała się w pogawędkę z Marine. Rozmawiali o swojej miłości do obrazów Ghirlandaio, szczególnie do rzadko odwiedzanej *Ostatniej Wieczery* w refektarzu kościoła Ognissanti. Być może Antoine Verlaque także znał i kochał malarstwo renesansowe, ale nigdy z nim o tym nie rozmawiała. Wiedziała, że to ona częściowo jest temu winna, gdyż za bardzo zajmowała się ocenianiem go, starała się stwierdzić, czy jest wystarczająco dobry dla jej córki. Jeszcze nie zdecydowała.

Spis treści

Prolog. Dei Corallini

1. Książę i jego ogród
2. Świat według Philomène Joubert
3. Kolacja
4. Początek problemów Beara
5. L'anchoiade
6. Lunch w La Fontaine
7. Rzut kostką
8. Jeden dzień z życia
9. Pięć rozmów
10. Poszukiwanie kości
11. Syn marnotrawny
12. Sanary-sur-Mer
13. Działalność Philomène
14. Nieudany lunch
15. Trois Frères et Une Cousine
16. La Fontaine znowu działa
17. Stowarzyszenie Szlachty Francuskiej
18. Historia sędziego Joissona
19. „Witamy w prawdziwym świecie”
20. L'Esméralda
21. Album
22. Wyznanie księcia
23. Podejrzenie morderstwa
24. Krewetki z imbirem
25. Goldman
26. Gabriella de La Serna

27. Klątwa fontanny

28. Pionierzy

Epilog. Ostatnia fotografia

www.smakslowa.pl

